



GABRIELLE  
ZEVIN  
MIEDZY  
KSIĄPKAMI



Gabrielle Zevin

MIĘDZY KSIĄŻKAMI

Przełożył Łukasz Witczak



Tytuł oryginału: *The Storied Life of A.J. Fikry*

Copyright © 2014 by Gabrielle Zevin

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Wydanie I

Warszawa, MMXIV

# *Spis treści*

## Motto

### Część pierwsza

Baran na rzeź. 1953, Roald Dahl

Diament wielki jak góra. 1922, F. Scott Fitzgerald

Luck z Roaring Camp. 1870, Bret Harte

Oczy całego świata. 1985, Richard Bausch

Trudno o dobrego człowieka. 1953, Flannery O'Connor

O sławnej skaczącej żabie z Calaveras. 1865, Mark Twain

Dziewczęta w letnich sukienkach. 1939, Irwin Shaw

### Część druga

Rozmowa z ojcem. 1972, Grace Paley

Idealny dzień na ryby. 1948, J.D. Salinger

Serce oskarżycielem. 1843, Edgar Allan Poe

Żelazkogłowy. 2005, Aimee Bender

O czym mówimy, kiedy mówimy o miłości. 1980, Raymond Carver

Sprzedawca książek. 1980, Roald Dahl

### Przypisy

*chodź, kochanie  
miłujmy się  
zanim ślad po nas zniknie.*

Rumi

# *Część pierwsza*



## *Baran na rzeź*<sup>1</sup>

1953, Roald Dahl

*Żona zabija męża zamrożonym baraním udźcem, po czym pozbywa się narzędzia zbrodni, częstując nim policjantów. Całkiem zgrabna rzecz, choć Lambiase wyraził wątpliwość, czy szanująca się gospodyni rzeczywiście przyrządziłaby barani udziec w taki sposób, w jaki zostało to opisane, to znaczy bez rozmrażania i marynowania w przyprawach. Czy mięso nie byłoby aby twarde i nierównomiernie upieczone? Nie znam się na gotowaniu (ani na zbrodniach), ale jeśliby zakwestionować ten szczegół, cała historia zaczyna się sypać. Mimo wszystko dopisuję to opowiadanie do listy, bo znam pewną dziewczynę, która kiedyś uwielbiała Jakubka i brzoskwinie olbrzymkę.*

A.F.

Amelia Loman płynie promem z Hyannis na Alice Island. Maluje sobie paznokcie na żółto i czekając, aż wyschną, przegląda notatki poprzednika. „Island Books, roczny obrót około trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, większość w miesiącach letnich, gdy zjeżdżają się wczasowicze – pisał Harvey Rhodes. – Pięćdziesiąt pięć metrów przestrzeni handlowej. Brak stałych pracowników poza właścicielem. Bardzo skromny dział literatury dziecięcej. Strona internetowa dopiero raczkuje. Słabe więzi z miejscową społecznością. Nacisk na literaturę piękną, co jest nam na rękę, aczkolwiek Fikry ma bardzo specyficzny gust i w przeciwieństwie do zmarłej Nicole nie potrafi namawiać ludzi do kupna książek. Jego szczęście, że nie ma żadnej konkurencji”. Amelia ziewa – jest lekko skacowana – i zastanawia się, czy warto jechać taki kawał, żeby spotkać się z jednym zdziwaczałym księgarzem. Natychmiast odzywa się w niej niepoprawna optymistka. Oczywiście, że warto! Zdziwaczali księgarze to jej specjalność. Ma też inne talenty: jest wielozadaniowa, potrafi wybrać odpowiednie wino do obiadu (a także zająć się przyjaciami, którzy wypili go za dużo), niestraszne jej rośliny domowe, przybłąkane zwierzęta i inne przegrane sprawy.

Gdy schodzi z promu, dzwoni jej telefon. Numer nic jej nie mówi – znajomi Amelii już dawno przestali używać telefonów do dzwonienia. Ale zawsze to jakaś atrakcja, poza tym Amelia nie chce zaliczać się do osób uważających, że dobre wieści można usłyszeć jedynie od ludzi, których znamy i od których

spodziewamy się telefonu. Odbiera więc i słyszy głos Boyda Flanagana, porażki numer trzy w historii jej randek z internetu. Boyd przed pół rokiem zabrał ją do cyrku.

– Parę tygodni temu wysłałem ci wiadomość. Doszła do ciebie?

Amelia tłumaczy, że ostatnio zmieniła pracę i ma straszny bałagan w skrzynce.

– Poza tym przestałam wierzyć w umawianie się na randki przez internet. To chyba jednak nie dla mnie.

Boyd jak gdyby nie usłyszał.

– Może miałybyś ochotę znów się spotkać?

Ich pierwsza randka. Cyrk miło ją zaskoczył; minęło trochę czasu, zanim dostrzegła, że nic ich nie łączy. Po wspólnej kolacji nie miała już złudzeń. Powinna była się domyślić już wtedy, kiedy nie mogli się porozumieć w sprawie przystawek albo kiedy on przyznał, że nie lubi „niczego, co stare” – mebli, domów, psów, ludzi. Mimo to nie położyła na nim krzyżyka, dopóki przy deserze nie zapytała o książkę, która wywarła największy wpływ na jego życie. Odparł: „*Podstawy księgowości, tom drugi*”.

Teraz grzecznie odpowiada, że nie, wolałaby się już nie spotykać.

Boyd zaczyna dyszeć do słuchawki.

– Wszystko w porządku? – pyta Amelia, bojąc się, że może doprowadziła go do płaczu.

– Nie chcę od ciebie litości.

Amelia wie, że powinna się rozłączyć, ale tego nie robi. Jakaś jej część jest ciekawa, co się wydarzy. Niech ma pożytek z nieudanej randki, choćby w postaci zabawnej anegdoty.

– Słucham?

– Zwróć uwagę, że nie zadzwoniłem do ciebie od razu. Poznałem kogoś lepszego i dopiero gdy nic z tego nie wyszło, postanowiłem dać ci drugą szansę. Więc nie wyobrażaj sobie za dużo. Może i ładnie się uśmiechasz, ale masz wystające zęby i duży tyłek i nie masz już dwudziestu pięciu lat, mimo że pijesz, jakbyś miała. Nie powinnaś wybrzydzać. – Po tych słowach w słuchawce rozlega się płacz. – Przepraszam. Strasznie cię przepraszam.

– Nie szkodzi, Boyd.

– Co jest ze mną nie tak? Przecież podobało ci się w cyrku? Przecież nie jestem taki okropny.

– Bardzo dobrze się z tobą bawiłam. Ten cyrk to był fajny pomysł.

– Ale musi być jakiś powód, dla którego ci się nie podobam. Bądź ze mną szczerą.



Na tym etapie znajomości Amelia ma wiele powodów. Wybiera jeden.

– Pamiętasz, jak powiedziałam, że pracuję w branży wydawniczej, a ty powiedziałeś, że mało czytasz?

– Jesteś snobką.

– W niektórych sprawach pewnie tak. Słuchaj, Boyd, jestem w pracy. Muszę kończyć.

Rozłącza się. Nie jest próżna, jeśli chodzi o własny wygląd, a już na pewno nie przywiązuje wagi do opinii Boyda Flanagana, zwłaszcza że każdej innej powiedziałyby to samo. Spotkał go miłosny zawód. Jej też nieraz się to przydarzyło.

Skończyła trzydzieści jeden lat i uważa, że w tym wieku powinna już kogoś mieć.

Ale jej wewnętrzna optymistka upiera się, że lepiej żyć samemu niż z kimś, kto nie podziela jej zainteresowań i wrażliwości. Prawda?

Matka lubi jej powtarzać, że naczytała się za dużo książek. Amelię obraża ukryta w tych słowach sugestia, że czyta jedynie książki z typowo romantycznymi bohaterami. Owszem, od czasu do czasu zdarza jej się sięgnąć po romantyczną powieść, ale jej gust jest o wiele bardziej zróżnicowany. Uwielbia na przykład postać Humberta Humberta, co wcale nie znaczy, że chciałaby go mieć za życiowego partnera, chłopaka czy nawet znajomego. To samo dotyczy Holdena Caulfielda oraz panów Rochester'a i Darcy'ego.

Idąc ulicą, w ostatniej chwili spostrzega wyblakły szyld nad gankiem starego fioletowego domu.

## ISLAND BOOKS

*Jedyne źródło dobrej literatury na Alice Island*

*Od 1999 roku*

*Żaden człowiek nie jest wyspą. Każda książka jest wszechświatem.*

W środku, przy kasie siedzi nastolatka czytająca nowy zbiór opowiadań Alice Munro.

– I co, dobra? – pyta Amelia. Uwielbia Munro, ale poza wakacjami ma niewiele czasu na czytanie książek spoza oferty wydawnictwa.

– To do szkoły – odpowiada dziewczyna, jak gdyby to zamykało temat.

Amelia przedstawia się jako przedstawicielka handlowa oficyny Pterodactyl Press. Nastolatka, nie podnosząc oczu znad książki, wskazuje niedbałym gestem zaplecze.

– Ajay jest w biurze.

W korytarzu, wzdłuż ściany pną się chwiejne stosy egzemplarzy przedpremierowych. Na ich widok Amelię przeszywa znany niepokój. W płócienną torbę na ramieniu niesie książki, które powiększą te stosy, oraz katalog pełen innych tytułów. Nie ma w zwyczaju zmyślać. Nigdy nie mówi, że któraś książka z oferty ją zachwyciła, jeżeli było inaczej. Zwykle potrafi powiedzieć o każdej coś pozytywnego, a jeśli się nie da, to przynajmniej o okładce, a jeśli się nie da, o autorze, a kiedy i to jest niemożliwe – o stronie internetowej autora. „Dlatego tak dobrze mi płacą” – żartuje sobie czasem w myślach. Zarabia skromne trzydzieści siedem tysięcy dolarów rocznie, z możliwością premii, ale dawno już nikt na jej stanowisku nie doczekał się premii.

Drzwi do biura Ajaya Fikry’ego są zamknięte. W połowie korytarza Amelia niechcący zahacza rękawem swetra o jedną ze stert i sto, może więcej książek spada z hukiem na podłogę. Drzwi się otwierają, Ajay Fikry spogląda najpierw na pobożowisko, a potem na zakurzoną blond olbrzymkę rozpaczliwie usiłującą pozbierać rozrzucone tomy.

– Kim pani jest, u licha?

– Amelia Loman. – Odkłada na stos dziesięć książek i połowa z nich zaraz ląduje z powrotem na ziemi.

– Proszę zostawić. Tylko mi pani wszystko pomiesza. To żadna pomoc. Proszę sobie pójść.

Amelia się prostuje. Przewyższa księgarza co najmniej o dziesięć centymetrów.

– Ale byliśmy umówieni.

– Nie wydaje mi się.

– W zeszłym roku wysłałam panu maila w sprawie oferty zimowej. Napisał pan, że mogę wpaść w czwartek albo w piątek po południu. A ja odpisałam, że przyjadę w czwartek. – Ich korespondencja była bardzo zwięzła, lecz Amelia nie ma wątpliwości, że naprawdę wymienili ze sobą tych kilka wiadomości.

– Jest pani przedstawicielką handlową?

Amelia z ulgą potakuje.

– Którego wydawcy?

– Pterodactyl Press.

– A gdzie Harvey Rhodes? Dostałem tego maila, ale myślałem, że jest pani jego asystentką lub kimś w tym rodzaju.

– Jestem jego następczynią.

Ajay wzdycha ciężko.

– Do której firmy się przeniósł?

Harvey nie żyje. Amelia po szybkim namyśle rezygnuje z kiepskiego żartu o zaświatach jako nowym miejscu pracy Harveya.

– Zmarł – oznajmia krótko. – Myślałam, że pan wie. – Większość jej kontrahentów już się dowiedziało. Harvey był legendą, o ile można tak rzec o przedstawicielu handlowym. – Był nekrolog w biuletynie księgarzy – dodaje przeprasząco. – I chyba w „Publishers Weekly”.

– Nie śledzę zbyt uważnie wiadomości branżowych. – Ajay zdejmuje okulary w grubych, czarnych oprawkach i długo przeciera szkła.

– To pewnie dla pana szok. – Amelia kładzie mu dłoń na ramieniu, lecz Ajay się spod niej wyślizguje.

– Niby dlaczego? Prawie nie znałem człowieka. Widywałem go trzy razy w roku. To trochę za mało, żeby uważać go za przyjaciela. Nie mówiąc o tym, że za każdym razem próbował mi coś sprzedać. Przyjaźń chyba nie na tym polega.

Amelia wyczuwa, że Ajay nie jest w nastroju do rozmowy o zimowej ofercie. Powinna zaproponować spotkanie w innym terminie. Ale przypomina sobie o dwóch godzinach jazdy samochodem do Hyannis i półtoragodzinnej przeprawie promem, który na dodatek z początkiem listopada zaczyna kursować znacznie rzadziej.

– Skoro już tu jestem, czy zechciałby pan rzucić okiem na naszą ofertę zimową?

Biuro Ajaya przypomina szafę. Żadnych okien, obrazków na ścianach ani zdjęć na biurku, żadnych bibelotów i żadnej drogi ucieczki. Są natomiast książki, upchnięte na tanich metalowych półkach, jakie widuje się zwykle w garażach, jest duża szafka z mnóstwem szufladek i stary komputer stacjonarny, zapewne pamiętający dwudziesty wiek. Amelii chce się pić, ale księgarz nic jej nie zaproponował, a sama nie zamierza się dopominać. Zdejmuje stertę książek z krzesła i siada.

Zaczyna omawiać zimowe tytuły. To najskromniejsza lista w roku, zarówno pod względem rozmiarów, jak i oczekiwań wydawcy. Kilka ważnych (lub przynajmniej obiecujących) debiutów, poza tym jednak głównie książki bez większych zadatków na sukces komercyjny. Mimo to Amelia właśnie zimową ofertę lubi najbardziej. To tutaj można znaleźć rzeczy mniej oczywiste, czarne konie (nie będzie wielkiej przesady w stwierdzeniu, że podobnie myśli o sobie). Na koniec zostawia tytuł, który najbardziej przypadł jej do gustu: wspomnienia osiemdziesięciolatka, wiecznego kawalera, który ożenił się,

mając lat siedemdziesiąt osiem. Jego wybranka zmarła dwa lata po ślubie, w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Nowotwór. Według notki biograficznej autor pracował jako dziennikarz naukowy dla różnych gazet na Środkowym Zachodzie. Książka jest zabawna, napisana zwięzłym stylem, bez ckliwości. Amelia popłakała się nad nią w pociągu z Nowego Jorku do Providence. Intuicja podpowiada jej, że czytelnicy pokochają *Roślinę późno kwitnącą*, o ile nie zniechęci ich niewielka objętość i trącający banałem opis. Z jej doświadczenia wynika, że ludzie mieliby dużo mniej problemów, gdyby nie zniechęcali się zbyt łatwo.

Zaczyna opowiadać Ajayowi, o czym jest książka, lecz ten głośno wzdycha i kładzie czoło na blacie.

– Coś się stało? – pyta Amelia.

– To nie jest książka dla mnie.

– Niech pan chociaż przeczyta pierwszy rozdział. – Amelia wpycha mu egzemplarz do ręki. – Wiem, że temat może się wydawać strasznie łązawy, ale proszę zobaczyć, jakim stylem to jest...

– To nie dla mnie – przerywa jej.

– Dobrze, w takim razie opowiem panu o czymś innym.

Ajay wzdycha po raz kolejny.

– Sprawia pani wrażenie miłej osoby, ale pani poprzednik... Chodzi mi o to, że Harvey znał mój gust. Miał podobny.

Amelia odkłada książkę na biurko.

– Chciałabym poznać pańskie upodobania. – Wypowiadając te słowa, czuje się trochę jak postać z filmu porno.

Księgarz mamrocze coś pod nosem. Chyba: „Jaki to ma sens?”, ale nie jest pewna.

Amelia zamyka katalog.

– To może powie mi pan, co lubi.

– Co lubię? – Ajay Fikry powtarza z niesmakiem. – A może powiem pani, czego nie lubię? Nie lubię postmodernizmu, postapokaliptycznych scenerii, martwych narratorów ani realizmu magicznego. Nie przekonują mnie rzekomo błyskotliwe zabiegi formalne, różnicowanie czcionek, niepotrzebne ilustracje – słowem, wszelkiego rodzaju efekciarstwo. Nie trawię powieści o Holokauście ani o żadnej innej dziejowej tragedii – tylko literatura faktu. Nie lubię hybryd typu ambitny kryminał albo ambitna powieść fantastyczna. Literatura piękna i literatura gatunkowa to dwie różne rzeczy i nie należy ich ze sobą łączyć, bo na ogół nic dobrego z tego nie wynika. Nie lubię książek dla dzieci, zwłaszcza o sierotach, nie mam też miejsca na tak zwaną literaturę

młodzieżową. Nie przepadam za książkami powyżej czterystu i poniżej stu pięćdziesięciu stron. Mierzą mnie powieści pisane rzekomo przez gwiazdy reality show, albumy ze zdjęciami znanych osób, pamiętniki sportowe, wznowienia z filmowymi okładkami, gadżety i – co chyba oczywiste – wampiry. Raczej nie zamawiam debiutów, książek dla dziewcząt, poezji ani przekładów. Najchętniej nie zamawiałbym żadnych serii, ale zmuszają mnie do tego realia mojego portfela. Nawiasem mówiąc, proszę mi nie wciskać żadnych „świetnie rokujących serii”, dopóki nie trafią na listę bestsellerów „New York Timesa”. A już najgorsze, co może mi pani zaproponować, to zbeletryzowane wspomnienia mężczyzny, którego żona umarła na raka. I to choćby nie wiem jak dobrze były napisane. Choćby nawet przysięgła mi pani, że w Dniu Matki zejdzie sto egzemplarzy.

Amelia rumieni się na twarzy, przy czym jest bardziej zła niż zakłopotana. Zgadza się z wieloma rzeczami, które usłyszała, lecz można to było powiedzieć miłszym tonem. Zwłaszcza że akurat jej wydawnictwo ma całkiem inny profil. Przygląda się uważnie Ajayowi. Jest od niej starszy, ale niedużo, nie więcej niż dziesięć lat. Dziwne, że tak młody człowiek nie lubi tylu rzeczy.

– A co pan lubi?

– Wszystko inne. Muszę też przyznać, że miewam słabość do zbiorów opowiadań. Ale ludzie nie chcą ich kupować.

Amelia ma na liście tylko jeden zbiór opowiadań, debiut. Nie przeczytała całego i pewnie już nie znajdzie na to czasu, ale podobało jej się pierwsze opowiadanie. Amerykańscy i indyjscy szóstoklasiści biorą udział w projekcie polegającym na pisaniu do siebie listów. Narratorem jest Hindus mieszkający w USA, który opowiada kolegom z klasy różne zmyślane, absurdalne rzeczy na temat swojej ojczystej kultury.

– *Gdy Bombaj stał się Mumbajem* – mówi Amelia, odkaszlnąwszy, bo zaschło jej w gardle. – Myślę, że to powinno...

– Nie sędzę.

– Ale jeszcze nawet nie powiedziałaś, o czym to jest.

– Nie, dziękuję.

– Ale dlaczego?

– Proszę uczciwie przyznać, że wspomina pani o tej książce tylko dlatego, że jestem w połowie Hindusem. Czyż nie jest tak?

Amelia przez sekundę oddaje się fantazji, w której rozbija mu na głowie jego stary komputer.

– Mówię panu o tej książce, bo sam pan przed chwilą powiedział, że lubi

opowiadania! A to jedyny zbiór opowiadań, jaki mamy w zimowej ofercie. I tak się składa – tutaj Amelia pozwala sobie na kłamstewko – że jest absolutnie cudowny, od pierwszej do ostatniej strony. Mimo że to debiut. Zresztą, tak nawiasem mówiąc, uwielbiam debiuty. Lubię odkrywać nowych autorów. Inaczej pewnie w ogóle nie pracowałabym w tym zawodzie.

Amelia wstaje. Głowa pęka jej z bólu. Może rzeczywiście za dużo pije?

– Chce pan znać moje zdanie?

– Nieszczerólnie. Ile pani ma lat, dwadzieścia pięć?

– Ma pan uroczą księgarenkę, ale jeśli będzie pan dalej trwał w tym, w tym... – Jako dziecko Amelia się jąkała i wciąż miewa nawroty, gdy się zdenerwuje. – W tym skostniałym sposobie myślenia, to pańska firma długo nie pociągnie.

Odkłada *Roślinę późno kwitnącą* na stół razem z zimowym katalogiem. Wychodząc, potyka się o książki w korytarzu.

Ponieważ ma jeszcze godzinę do następnego promu, postanawia przespacerować się po miasteczku. Przed placówką Bank of America brązowa tabliczka upamiętnia wizytę Hermana Melville'a, który mieszkał tutaj pewnego lata, kiedy jeszcze w budynku mieściła się gospoda. Amelia wyciąga telefon i robi sobie zdjęcie przy tabliczce. To ładne miasteczko, a nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższym czasie miała tu zawitać ponownie.

Wysyła esemesa do szefa w Nowym Jorku: „Nie liczyłabym na zamówienia z Alice Island :-(-”.

Odpowiedź: „Nie przejmuj się. To tylko jedna mała księgarnia, poza tym zamawia głównie na lato, z myślą o turystach. A właściciel jest dziwakiem. Harvey zawsze miał u niego więcej szczęścia wiosną i latem. Więc pewnie będzie podobnie”.

O szóstej Ajay mówi Molly Klock, że może iść do domu.

– I jak ta nowa Munro?

Molly wzdycha głośno.

– Dlaczego wszyscy ciągle mnie o to pytają? – Tak naprawdę chodzi jej o Amelię, ale Molly lubi dramatyzować.

– Pewnie dlatego, że ją czytasz.

Znowu wzdycha.

– Bo ja wiem. Te postacie są czasem jakies takie... zbyt ludzkie.

– W przypadku Munro chyba o to właśnie chodzi – zauważa Ajay.

– No nie wiem. Wolę starsze rzeczy. No to do poniedziałku.

„Trzeba będzie coś zrobić z tą dziewczyną” – myśli Ajay, odwracając

wiszący na drzwiach napis „Zamknięte”. Molly lubi czytać, ale poza tym jest beznadziejną sprzedawczynią. Z drugiej strony wdrożenie nowej osoby to zawsze kłopot, a Molly przynajmniej nie kradnie, no i pracuje u niego dorywczo. Nicole musiała coś dostrzec w tej mrukliwej pannie, skoro ją zatrudniła. Może latem zbierze się w sobie i ją zwolni.

Ajay wyrzuca za drzwi ostatnich klientów (najbardziej działała mu na nerwy gromadka młodych adeptów chemii organicznej, którzy niczego nie kupili, ale przez dwie godziny okupowali dział czasopism; w dodatku prawdopodobnie któryś z nich zatkał toaletę). Następnie robi porządek w paragonach – plus dziesięć do depresji. Wreszcie idzie na górę, do swojego mieszkania na poddaszu. Wrzuca do mikrofalówki mrożone curry i ustawia na pięć minut zgodnie ze wskazówkami na opakowaniu. Stojąc nieruchomo, myśli o dziewczynie z Pterodactyla. Wyglądała jak przybysz ze Seattle lat pięćdziesiątych – w tych kaloszach z deseniem w kotwice, babcinej kwiecistej sukience, puszystym beżowym swetrze i z włosami do ramion, które chyba obcinał jej w kuchni chłopak. Albo dziewczyna? Nie, raczej chłopak. Przypomina sobie Courtney Love z czasów małżeństwa z Kurtem Cobainem. „Trudno mnie zranić” – mówiły jej stanowcze różowe usta. „Łatwo mnie zranić i pewnie to zrobisz” – mówiły jej łagodne błękitne oczy. I pomyśleć, że doprowadził to wielkie dziewczę do łez. Brawo, Ajay.

Woń curry jest coraz silniejsza, lecz według zegara minęło dopiero półtorej minuty.

Potrzebne mu jakieś zajęcie. Fizyczne, ale niezbyt ciężkie.

Schodzi do piwnicy i pomagając sobie nożykiem, składa kartony po książkach. Ciach. Prask. Na stos.

Jest mu głupio, że tak się wobec niej zachował. Niczym nie zawiniła. Ktoś powinien był mu powiedzieć o śmierci Harveya Rhodesa.

Ciach. Prask. Na stos.

Ktoś pewnie próbował. Ajay rzadko sprawdza pocztę elektroniczną, nigdy nie odbiera telefonów. Czy odbył się pogrzeb? Nie żeby chciał na nim być. Prawie nie znał Harveya Rhodesa.

Ciach. Prask. Na stos.

Ale z drugiej strony... Przez ostatnich sześć lat spędził z nim wiele godzin. Rozmawiali wyłącznie o książkach, ale czy w jego życiu jest coś bardziej osobistego niż książki?

Ciach. Prask. Na stos.

No i jak często zdarza się człowiekowi spotkać kogoś o podobnym guście? Pospierali się tylko raz – o Davida Fostera Wallace’a. To było krótko po jego



samobójstwie. Ajay był zniesmaczony peanami pod adresem zmarłego. Facet napisał jedną przyzwoitą (choć rozwlekłą i pozbawioną dyscypliny) powieść, kilka umiarkowanie przenikliwych esejów i na tym w zasadzie koniec.

– *Niekończący się żart*<sup>2</sup> to arcydzieło – upierał się Harvey.

– *Niekończący się żart* to wielka próba czytelniczej wytrwałości. Jak już dobrniesz do końca, nie masz wyjścia, musisz sobie wmówić, że ci się podobało. Albo żyć ze świadomością, że zmarnowałeś kilka tygodni życia. Przerost formy nad treścią, mój drogi.

Harvey, zaczerwieniony na twarzy, pochylił się nad biurkiem.

– Mówisz tak o każdym pisarzu z twojego pokolenia.

Ciach. Prask. Na stos.

Wraca na górę. Curry zdążyło wystygnać. Jeżeli je podgrzeje w tym plastikowym naczyniu, pewnie umrze na raka.

Stawia tackę na stole. Pierwszy kęs parzy. Drugi jest lodowaty. Rzuca tacką o ścianę. Jak niewiele znaczył dla Harveya i jak wiele Harvey znaczył dla niego.

Samotne życie ma ten minus, że jeśli człowiek zrobi bałagan, musi sam posprzątać.

Nie, najgorsze w samotnym życiu jest to, że nikogo nie obchodzi, czy jest ci smutno. Nikogo nie obchodzi, że niespełna czterdziestoletni mężczyzna rzucił o ścianę plastikową tacką z curry, niczym dwulatek. Ajay nalewa sobie kieliszek wina. Rozkłada na stole obrus. Przechodzi do salonu. Otwiera klimatyzowaną gablotę i wyjmuje z niej *Tamerlana* Edgara Allana Poeego. Wraca z nim do kuchni i stawia na stole, naprzeciwko siebie, opierając książkę o krzesło, na którym siadała Nicole.

– Na zdrowie, gniocie – zwraca się do chudego tomu.

Dopija wino i napełnia kieliszek, obiecując sobie, że zaraz skończy i poczyta książkę. Może którąś z ulubionych, jak *Stara szkoła*<sup>3</sup> Tobiasa Wolffa, choć pewnie lepiej spożytkowałyby czas, sięgając po coś nowego. Czym to się tak zachwycała ta dziunia z wydawnictwa? *Roślina późno kwitnąca*. Br. Powiedział jej to, co naprawdę myśli. Nie ma nic gorszego niż wspomnienia wdowca. Zwłaszcza gdy samemu jest się wdowcem, a Ajay został nim półtora roku temu. Nie ma pretensji do tej kobiety, jest nowa, skąd miała wiedzieć o jego nudnej tragedii osobistej. Chryste, ależ mu brakuje Nicole. Jej głosu, szyi, nawet pach. Były szorstkie jak koci język, a pod wieczór wydzielaly woń mleka tuż przed skwaśnieniem.

Trzy kieliszki później zasypia z głową na blacie. Mierzy tylko metr siedemdziesiąt wzrostu, waży sześćdziesiąt cztery kilo, w dodatku nie zjadł

nawet mrożonego curry. Dziś już nie uszczupli kupki z zaległymi lekturami.

– Ajay – szepcze Nicole. – Połóż się spać.

Nareszcie śni. Właśnie o to chodzi w całym tym picciu.

W alkoholowym śnie duch jego żony pomaga mu wstać z krzesła.

– Wstydzilibyś się, molu.

Ajay potakuje ruchem głowy.

– Mrożone curry i czerwone wino za pięć dolarów.

– Jestem wierny uświęconym zwyczajom moich przodków.

Wloką się do sypialni.

– Możesz sobie pogratulować, Fikry. Stajesz się wzorowym alkoholikiem.

– Przepraszam.

Kładzie go na łóżku. Jej brązowe włosy są chłopięco krótkie.

– Obcięłaś włosy. Dziwnie wyglądasz.

– Byłeś dzisiaj strasznie niemiły dla tej dziewczyny.

– To przez Harveya.

– Naturalnie.

– Nie lubię, jak znikają z mojego życia ludzie, którzy cię znali.

– To dlatego nie chcesz zwolnić Molly Klock?

Ajay kiwa głową.

– Nie możesz dłużej tak żyć – mówi Nicole.

– Mogę. Jakoś żyję.

Całuje go w czoło.

– Chodzi mi o to, że nie chcę, żebyś tak żył.

Po tych słowach znika.

Wypadek nie wydarzył się z niczyjej winy. Odwiozła autora do domu po spotkaniu z czytelnikami. Pewnie jechała szybko, żeby zdążyć na ostatni powrotny prom samochodowy. Może na drogę wyszedł jeleni i próbowała go wyminąć. A może po prostu zima w Massachusetts zrobiła swoje. Nie wiadomo. Policjant w szpitalu zapytał, czy miała skłonności samobójcze.

– Nie – odparł Ajay. – Nic z tych rzeczy.

Była w drugim miesiącu ciąży. Nikomu nie powiedzieli. Nie chcieli zapeszać, bo miewali już rozczarowania. Stojąc w poczekalni przy kostnicy, żałował, że nikomu nie powiedzieli. Przynajmniej byłby krótki czas radości przed tym długim... czym? Nie wiedział jeszcze, jak to nazwać.

– Nie miała skłonności samobójczych. Po prostu była fatalnym kierowcą i nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Rozumiem – odparł policjant. – To nie była niczyja wina.

– Ludzie zawsze tak mówią. Ale ktoś musiał zawinić. To była jej wina. Jakie to głupie z jej strony. Głupie i melodramatyczne. Zwrot akcji godny Danielle Steel. Słyszysz mnie, Nicole? Gdyby to była powieść, w tym miejscu przestałbym ją czytać i rzuciłbym nią o ścianę.

Policjant (który raczej nie czytał książek, może z wyjątkiem kieszonkowych kryminałów Jeffery’ego Deavera na wczasach) próbował skierować rozmowę z powrotem ku rzeczywistości.

– No tak. To pan jest właścicielem księgarni.

– Ja i żona – odparł bez namysłu Ajay. – O Boże, teraz jestem jak postać, która mówi o sobie w liczbie mnogiej, bo zapomniała, że jej partner życiowy zmarł. Co za tandetna klisza. Panie... – spogląda na plaketkę policjanta – komisarzu Lambiase, czy wie pan, że jesteśmy bohaterami kiepskiej powieści? Jak do tego doszło? Na pewno myśli pan sobie teraz: „Biedny facet”, a wieczorem uściśnie pan swoje dzieci na dobranoc mocniej niż zwykle, bo tak robią bohaterowie tego typu książek. Wie pan, o jakich książkach mówię, prawda? O tych pretensjonalnych powieściach, w których autor przez chwilę śledzi jakąś drugoplanową postać, żeby czytelnikowi powiało Faulknerem. Spójrzcie, jak pochylam się nad życiem maluczkich! Nad życiem szarego człowieka! Jaki jestem wrażliwy! Nawet pańskie nazwisko pasuje jak ulał. Komisarz Lambiase, wypisz wymaluj gliniarz z Massachusetts. Czy jest pan może rasistą? Takie postacie na ogół mają rasistowskie poglądy.

– Panie Fikry, czy ma pan kogoś, po kogo mogę zadzwonić? – Lambiase był dobrym policjantem i wiedział, że ludzie dotknięci tragedią potrafią się zachowywać bardzo różnie. Położył księgarzowi dłoń na ramieniu.

– Tak jest! Brawo, panie komisarzu, zna pan swoje kwestie! Jest pan świetny w tej roli. A czy wie pan, co powinien zrobić wdowiec w pierwszej kolejności?

– Zadzwonić do kogoś.

– Tak, myślę, że ma pan słuszność. Ale dzwoniłem już do szwagierki. – Ajay kiwa głową. – Gdyby to było opowiadanie, nie gadalibyśmy tyle. Mały ironiczny zwrot akcji i już. Dlatego w świecie literatury nie ma nic elegantszego niż opowiadanie. Gdyby to był Raymond Carver, usłyszałbym od pana kilka słów pociechy, zapadłyby ciemności i na tym koniec. Ale nie. To, co teraz czuję, przypomina raczej powieść. Pod względem emocjonalnym, wie pan. Minie trochę czasu, zanim przez to przebrnę. Rozumie pan?

– Nie jestem pewien. Nie czytałem nic Raymonda Carvera. Lubię kryminały z Lincolnem Rhyme’em. Czytał pan?

– Detektyw przykuty do łóżka. Jak na prozę gatunkową – ujdzie. Ale czy

czytał pan jakieś opowiadania?

– Może w szkole... Jakieś baśnie. I było coś jeszcze... *Kasztanek*? Chyba kazali nam przeczytać *Kasztanka*.

– To akurat nowela.

– A, to przepraszam. Ja niezbyt... Zaraz, pamiętam z liceum coś o policjancie. Taka zbrodnia doskonała, chyba dlatego zapamiętałem. Żona morduje swojego męża policjanta zamrożonym kawałkiem wołowiny, a potem częstuje nim...

– *Baran na rzeź*. Tak się nazywa to opowiadanie. A narzędziem zbrodni jest barani udziec.

– Tak, właśnie! – Policjant był wniebowzięty. – Zna się pan na rzeczy.

– To bardzo znane opowiadanie. Moja szwagierka z mężem powinni się zjawić lada moment. Przepraszam, że nazwałem pana drugoplanową postacią. To było niegrzeczne, zresztą jeżeli już, to ja jestem drugoplanową postacią w historii przygód komisarza Lambiase'a. Policjanci są bohaterami książek znacznie częściej niż księgarze. W rzeczy samej jest pan chodzącym gatunkiem literackim.

– Hmm. Pewnie ma pan rację. A wracając do tego opowiadania, jako policjant mam problem z kolejnością zdarzeń. Ta kobieta wkłada wołowinę...

– Baraninę.

– Baraninę. No więc zabija faceta zamrożonym baranim udźcem, a potem wkłada go do piekarnika bez rozmrażania. Żaden ze mnie kucharz, ale...

Kiedy policja wyciągnęła jej samochód z wody, Nicole była już na wpół zamarznęta. W kostnicy miała sine usta. Ajayowi przypomniała się wtedy czarna szminka, którą pomalowała się przed ostatnią paradą wampirów. On miał duży dystans do tej maskarady dla durnych nastolatek, ale Nicole, która z jakiegoś powodu lubiła sagę o wampirach i jej autorkę, upierała się, że dzięki paradzie skoczy im sprzedaż, a poza tym to miła rozrywka.

– No wiesz, rozrywka. Pamiętasz w ogóle, że coś takiego istnieje?

– Jak przez mgłę – odparł. – Z czasów, kiedy nie prowadziłem księgarni, miałem weekendy i wieczory dla siebie i czytałem dla czystej przyjemności. Tak, to była rozrywka. Pamiętam, ale słabo.

– Biedaczysko. A ja myślałam, że jesteś zadowolony z życia, bo masz inteligentną, ładną i bezproblemową żonę, z którą nie rozstajesz się nawet w godzinach pracy.

Wciąż miał ją przed oczyma w tej idiotycznej czarnej, satynowej sukni, prawa ręka owinięta wokół gankowej kolumny, powabne usta złączone w ciemną kreskę.

– Stało się coś strasznego. Moja żona przemieniła się w wampirzycę.  
– Biedaku. – Przemierzyła ganek i pocałowała go, zostawiając ślad podobny do siniaka. – Teraz nie masz wyjścia, musisz sam stać się wampirem. Nie próbuj z tym walczyć. To najgorsze, co możesz zrobić. Wyluzuj się, molu. Zaproś mnie do środka.

# *Diament wielki jak góra*

1922, F. Scott Fitzgerald

*Ściśle rzecz biorąc, nowela. Chociaż to rozgraniczenie jest nieco kłopotliwe. Ale jeśli znajdziesz się w towarzystwie ludzi, którzy stosują takie rozróżnienia – a sam kiedyś byłem jednym z nich – dobrze jest znać różnicę. (Natkniesz się na nich prawie na pewno, jeżeli będziesz studiować na którymś z prestiżowych uniwersytetów\*. Najlepszą bronią przeciwko tym bufonom jest rozległa wiedza. Ale zbaczam z tematu). Według Edgara Allana Poeego opowiadanie to utwór, który czyta się za jednym posiedzeniem. Przypuszczam, że w jego czasach „jedno posiedzenie” trwało dłużej niż dzisiaj. Ale znowu zbaczam.*

Cudaczna, pełna fajerwerków opowieść o problemach, jakie niesie ze sobą mieszkanie na diamentach, i o tym, do czego posuną się ludzie bogaci, by bronić swojego stylu życia. Fitzgerald jest tutaj w świetnej formie. Wielki Gatsby to fascynująca powieść, ale miejscami sprawia na mnie wrażenie zbyt wychuchanej, jak ogród z rzeźbioną zielenią. W opowiadaniach Fitzgerald ma więcej swobody i poczyna sobie śmieiej. Diament... jest jak zaczarowany ogrodowy krasnal.

Dlaczego wybrałem to opowiadanie? A jeśli napiszę, że na krótko przed tym, zanim pojawiłaś się w moim życiu, ja też straciłem coś, w co mnóstwo zainwestowałem?

*A.F.*

*\* Dużo o tym myślałem. Pamiętaj, że dobre wykształcenie można zdobyć również w mało oczywistych miejscach.*

Nie pamięta, jak się tu znalazł ani kiedy się rozebrał, w każdym razie obudził się w łóżku, w samej bieliźnie. Przypomina sobie, że Harvey Rhodes nie żyje; że zachował się jak palant wobec tej ładnej kobiety z wydawnictwa; że rzucił curry o ścianę; że nalał sobie wina i wzniósł toast za *Tamerlana*. Potem – nic. Tak, ten wieczór był zwycięstwem.

Głowa mu pęka. Przechodzi do salonu, spodziewając się ujrzeć rozwalone curry. Podłoga i ściany są czyste. Wyciąga z szafki aspirynę, gratulując sobie w myślach, że wykazał się dalekowzrocznością i od razu posprzątał bałagan. Siada przy stole i spostrzega, że butelka po winie także zniknęła. Nie

podejrzewał siebie o taką pedanterię, choć uważa się, owszem, za schludnego pijaka. Spogląda w stronę krzesła, o które oparł *Tamerlana*. Książki tam nie ma. Może tylko mu się zdawało, że wyjął ją z gabloty?

Serce zaczyna mu pulsować szybciej niż boląca głowa. W pół drogi do biblioteczki spostrzega, że chroniąca *Tamerlana* przed światem klimatyzowana szklana trumna z szyfrowym zamkiem stoi otworem – pusta.

Narzuca na siebie szlafrok i wskakuje w buty do biegania, ostatnio mało używane.

Biegnie wzdłuż Captain Wiggins Street, jego wyświechtany szlafrok w kratę powiewa na wietrze. Wygląda jak niedożywiony superbohater w zaawansowanej depresji. Skręca w Main Street i kieruje się wprost do sennego komisariatu policji.

– Okradziono mnie! – woła od progu. Dyszy ciężko, mimo że przebiegł krótki dystans. – Niech mi ktoś pomoże!

Lambiase odstawia kubek z kawą i zaprasza zdenerwowanego mężczyznę w szlafroku do swojego gabinetu. Dopiero po chwili rozpoznaje w nim właściciela księgarni, wdowca po kobiecie, która półtora roku temu wpadła samochodem do jeziora. Od tamtego czasu Ajay bardzo się postarzał, co jednak wydaje się policjantowi zrozumiałe.

– Spokojnie, panie Fikry. Proszę mi powiedzieć, co się stało.

– Ktoś ukradł *Tamerlana*.

– A kto to jest ten Tamerlan?

– To książka. Bardzo cenna.

– Czyli zaraz... Jeśli dobrze rozumiem, ktoś wyszedł z pana sklepu z książką, za którą nie zapłacił.

– Nie. To książka z mojego prywatnego zbioru. Bardzo rzadki tomik wierszy Edgara Allana Poego.

– Czy to jedna z pana ulubionych książek?

– Nie, skądże. To naiwny kicz. Tylko że... – Ajay się zapowietrza. – Cholera.

– Proszę się uspokoić. Ja tylko próbuję zrozumieć. Nie lubi pan tej książki, ale ma dla pana wartość sentymentalną?

– Nie! Pieprzyć wartość sentymentalną. Ona ma wartość pieniężną. *Tamerlan* to Honus Wagner rzadkich książek! Wie pan, co mam na myśli?

– Pewnie. Mój tato kolekcjonował karty bejsbolowe. – Lambiase kiwa głową. – A więc jest aż tak cenna?

– To pierwsza rzecz, jaką napisał Edgar Allan Poe. – Ajay mówi jak karabin maszynowy. – Miał wtedy osiemnaście lat. Bardzo trudno ją zdobyć, bo



wydrukowano tylko pięćdziesiąt egzemplarzy. Poe nie wydał jej pod własnym nazwiskiem, tylko pod pseudonimem Bostończyk. Taki egzemplarz jest wart od czterystu tysięcy dolarów w górę, w zależności od sytuacji i nastrojów na rynku bibliofilskim. Zamierzałem przeczekać kryzys i sprzedać mój za kilka lat. Potem zamknąć księgarnię i żyć z tej sumy.

– Jeśli wolno mi zapytać – odezwał się Lambiase – dlaczego trzymał pan coś tak wartościowego w domu zamiast w bankowym sejfie?

Ajay kręci głową.

– Nie wiem. Byłem głupi. Chyba chciałem ją mieć pod ręką. Lubiłem na nią spoglądać i napawać się myślą, że w każdej chwili mogę rzucić ten biznes. Trzymałem ją w gablocie z zamkiem szyfrowym. Myślałem, że to bezpieczne miejsce.

Lambiase kiwa głową. Na wyspie kradzieże prawie się nie zdarzają, chyba że w sezonie turystycznym. A jest październik.

– Złodziej rozbił gablotę czy znał szyfr?

Ajay zakrywa czoło dłońmi.

– Ani to, ani to. Wczoraj wieczorem chciałem się upić. To idiotyczne, ale wyjąłem książkę, żeby sobie na nią popatrzeć. Można powiedzieć, że dla towarzystwa.

– Panie Fikry, czy ma pan polisę ubezpieczeniową?

Ajay uderza głową w blat. Lambiase domyśla się, że to odpowiedź przecząca.

– Mam tę książkę dopiero od roku. Szkoda mi było pieniędzy. Nie miałem czasu o tym pomyśleć. Nie wiem. Tysiąc głupich powodów, a najważniejszy jest taki, że jestem idiotą.

– Zrobimy tak. Najpierw pomogę panu złożyć doniesienie. Kiedy zjawi się moja detektyw – poza sezonem pracuje na pół etatu – przyślę ją do pana, żeby poszukała odcisków palców i innych śladów. Może coś się znajdzie. Możemy też podzwonić po domach aukcyjnych i handlarzach przedmiotami tego typu. Skoro to bardzo rzadka książka, powinna zwrócić czyjąś uwagę. Czy takie rzeczy nie mają czegoś w rodzaju wykazu właścicieli?

– Proweniencję.

– Właśnie! Miałem kiedyś dziewczynę, która oglądała *Antiques Roadshow*. Widział pan kiedyś ten program?

Ajay milczy.

Lambiase kładzie dłonie na jego chudych ramionach.

– Proszę nie walić głową w biurko.

Ajay przestaje.

– Jeszcze jedno pytanie: kto wiedział o tej książce?

Ajay prychnął.

– Wszyscy. Siostra mojej żony, Ismay, uczy w liceum. Martwi się o mnie, od kiedy Nicole umarła... Bez przerwy mnie namawia, żebym wyrwał się na chwilę z księgarni, gdzie pojechał. Rok temu zaciągnęła mnie na licytację jakiegoś majątku w Milton. *Tamerlan* leżał w pudle wśród pięćdziesięciu innych, bezwartościowych książek. Zapłaciłem pięć dolarów. Ci ludzie nie mieli pojęcia, czego się pozbywają. Nawiasem mówiąc, źle się z tym czułem. No, ale teraz to nieistotne. W każdym razie Ismay uważała, że powinienem postawić tę książkę w widocznym miejscu, bo prestiż, bo walor edukacyjny, bla, bla, bla. No i przez całe lato gablota stała w księgarni. Ale pan chyba u nas nie bywa.

Lambiase wbija wzrok w buty. Wraca do niego uczucie zażenowania, które pamięta z niezliczonych szkolnych lekcji, kiedy nie przeczytał tego, co było zadane.

– Mało czytam.

– Ale lubi pan kryminały, prawda?

– Ma pan dobrą pamięć.

Gdy idzie o gust czytelnicy, Ajay ma doskonałą pamięć.

– Zdaje się, że Deavera? W takim razie powinien pana zainteresować pewien nowy autor z...

– Chętnie kiedyś wpadnę. Czy chciałby pan, żebym po kogoś zadzwonił? Siostra pańskiej żony nazywa się Ismay Evans-Parish, prawda?

– Ismay jest... – Ajay urywa w pół zdania, jak gdyby ktoś go spauzował pilotem. Ma nieobecne oczy i rozchylone usta.

– Panie Fikry?

Ajay przez prawie pół minuty trwa w bezruchu, po czym zaczyna mówić dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Ismay jest w pracy. Poradzę sobie. Nie ma potrzeby jej fatygować.

– Odleciał pan na moment – zauważa Lambiase.

– Słucham?

– Był pan nieprzytomny.

– O matko. To nic takiego, zanik świadomości. Miewałem je często w dzieciństwie. W dorosłym życiu zdarzają mi się bardzo rzadko i tylko pod wpływem dużego stresu.

– Powinien pan pójść do lekarza.

– Nie, naprawdę, to nic poważnego. Po prostu zależy mi na odzyskaniu tej książki.

– Byłbym spokojniejszy – nalegał Lambiase. – Miał pan ciężki poranek, a wiem, że mieszka pan sam. Zawiozę pana do szpitala i poproszę pańską szwagierkę, żeby też tam przyjechała. I każę moim ludziom rozejrzeć się za tą książką.

W szpitalu Ajay czeka, wypełnia formularze, czeka, rozbiera się, czeka, przechodzi badanie, czeka, ubiera się, czeka, przechodzi drugie badanie, czeka, znów się rozbiera, wreszcie przyjmuje go lekarka w średnim wieku. Nie jest zbyt przejęta zanikiem świadomości. Natomiast badania wykazały, że jego ciśnienie krwi i poziom cholesterolu są na granicy normy dla trzydziestodziewięciolatka. Pada pytanie o tryb życia. Ajay odpowiada zgodnie z prawdą:

– Nie jestem alkoholikiem, ale co najmniej raz w tygodniu zdarza mi się pić do utraty przytomności. Od czasu do czasu wypalam papierosa. Moja dieta składa się z mrożonek. Zęby nitkuję rzadko. Kiedyś biegałem na długie dystanse, ale ostatnio w ogóle nie uprawiam sportu. Mieszkam sam i nie utrzymuję z nikim bliskich kontaktów. Po śmierci żony znienawidziłem swoją pracę.

Lekarka kiwa głową.

– Jest pan jeszcze młodym człowiekiem, ale organizm nie wszystko zniesie. Jeżeli próbuje pan skrócić sobie życie, zapewniam, że jest wiele szybszych i łatwiejszych metod. Czy chce pan umrzeć?

Ajay nic nie odpowiada.

– Bo jeżeli naprawdę pragnie pan śmierci, mogę pana zatrzymać na obserwacji psychiatrycznej.

– Nie pragnę śmierci – mówi Ajay po chwili. – Po prostu czasem mam dość tego miejsca. Myśli pani, że zwariowałem?

– Nie. Potrafię zrozumieć pańskie powody. To trudny okres w pańskim życiu. Proponuję zacząć od aktywności fizycznej. Od razu poczuje się pan lepiej.

– Dobrze.

– Pańska żona była wspaniałą kobietą. Chodziłam na spotkania klubu książki matek i córek, które organizowała w księgarni. Moja córka nadal sobie u pana dorabia.

– Molly Klock?

– Mój partner nazywa się Klock. Ja nazywam się Rosen. – Puka palcem w plakietkę na piersi.

W holu Ajay jest świadkiem znajomej scenki.

– Czy byłby pan tak miły? – Pielęgniarka w różowym fartuchu podaje książkę w wytartej miękkiej oprawie mężczyźnie w sztruksowej kurtce z łatami na łokciach.

– Z największą przyjemnością – odpowiada Daniel Parish. – Jak pani na imię?

– Jill, jak w *Jack and Jill went up the hill*. Macy, jak nazwa sklepu. Przeczytałam wszystkie pana książki, ale ta jest moją ulubioną. Zdecydowanie.

– Nie jest pani w tym przekonaniu odosobniona. – Daniel wie, co mówi. Żadna jego książka nie sprzedała się w takim nakładzie jak debiut.

– Ta książka tyle dla mnie znaczy, że nawet nie umiem tego wyrazić. Rozklejam się na samą myśl o niej. – Skłania głowę i spuszcza oczy, unizona niczym gejsza. – To ona sprawiła, że postanowiłam zostać pielęgniarką! Niedawno zaczęłam tu pracę. Kiedy się dowiedziałam, że pan tutaj mieszka, od razu pomyślałam, że może kiedyś pan się tu zjawi.

– Innymi słowy, miała pani nadzieję, że się pochoruję?

– Nie, nie! – Zarumieniła się i pacnęła go w ramię. – Och, ależ pan jest niedobry!

– Nie przeczę. Jestem bardzo niedobry.

Nicole, kiedy poznała Daniela Parisha, stwierdziła, że to typ przystojniaka z lokalnych programów informacyjnych. Ale w drodze powrotnej do domu zmieniła zdanie.

– Nie, ma zbyt małe oczy na prezentera. Byłby raczej pogodynką.

– Ma dźwięczny głos – zauważył Ajay.

– Gdyby ktoś taki powiedział ci, że sztorm minął, uwierzyłybyś mu. Nawet gdyby wokół szalała wichura.

Ajay przerywa ich umizgi.

– O, Dan. Prawdę mówiąc, spodziewałem się twojej żony. – Postanawia nie bawić się w subtelności.

Daniel odchrząkuje.

– Nie czuła się najlepiej, więc ja przyjechałem. Jak się masz, staruszkule? – Daniel lubi nazywać Ajaya staruszkulem, mimo że jest od niego o pięć lat starszy.

– Straciłem fortunę, a lekarka powiedziała mi, że umrę. Poza tym wszystko super. – Lek uspokajający pomógł mu nabrać dystansu.

– Znakomicie. Chodźmy się napić.

Daniel odwraca się do pielęgniarki i szepcze jej coś do ucha. Po chwili

oddaje jej książkę, a Ajay spostrzega, że zapisał na niej swój numer telefonu.

– „Przybądź tu, wielki wina królu-panie”<sup>4</sup>! – woła Daniel, kierując się do wyjścia.

Mimo że Ajay kocha książki i jest właścicielem księgarni, nie przepada za pisarzami. Życie go nauczyło, że są to zarośnięci narcyzowie, ludzie niepoważni i na ogół nieznośni. Stara się nie poznawać autorów swoich ulubionych książek, bo mogłyby stracić w jego oczach. Na szczęście powieści Daniela, włącznie z jego popularnym debiutem, są mu obojętne. A sam Daniel? Cóż, bywa zabawny. Co w praktyce czyni go jednym z najbliższych przyjaciół Ajaya.

– To moja wina – wyznaje Ajay po drugim piwie. – Powinienem był wykupić ubezpieczenie. Trzymać książkę w sejfie. Nie wyjmować jej po pijanemu. Ktokolwiek ją ukradł, nie mogę powiedzieć, że nie mam sobie nic do zarzucenia. – Alkohol w połączeniu z lekami relaksuje go i wprawia w filozoficzny nastrój. Daniel dolewa mu piwa z dzbanka.

– Nie obwiniaj się tak.

– To dla mnie sygnał alarmowy. Muszę odstawić alkohol, bez dwóch zdań.

– Po tym piwie – żartuje Daniel i stukają się kufłami.

Do baru wchodzi nastolatka w dzinsowych szortach, tak krótkich, że wystają spod nich pośladki. Daniel unosi kufel w jej stronę.

– Ładne wdzianko!

Dziewczyna pokazuje mu środkowy palec. Daniel zwraca się ponownie do Ajaya:

– Ty musisz przestać pić, a ja muszę przestać zdradzać Ismay. Ale kiedy widzę takie szorty, moje postanowienie zostaje wystawione na ciężką próbę. Dzisiejszy wieczór jest obłądny. Ta pielęgniarza! Te szorty!

Ajay popija piwo.

– Jak tam idzie pisanie nowej książki?

Daniel wzrusza ramionami.

– Książka jak książka. Będzie miała strony i okładkę. Będzie miała fabułę, postacie, zwroty akcji. Będzie dziełem autora, który od lat ćwiczy i doskonali swoje pisarskie rzemiosło. Z całą pewnością odniesie też mniejszy sukces niż ta, którą napisałem, mając dwadzieścia pięć lat.

– Biedaczysko.

– W konkursie na Biedaczysko Roku nie miałbym z tobą szans, staruszk.

– Czuję się wyróżniony przez los.

– Poe to chujowy pisarz, wiesz? A *Tamerlan* to zupełne dno. Nudna zrzynka z Byrona. Co innego, gdyby to było pierwsze wydanie jakiejś porządnej książki. Powinieneś się cieszyć, że się pozbyłeś tego gówna. Zresztą ja w ogóle nienawidzę książek kolekcjonerskich. Ludzie podniecają się jakąś papierową padliną. A przecież liczy się zawartość. Słowa.

Ajay dopija piwo.

– Jest pan idiotą, proszę pana.

Śledztwo trwa miesiąc, co w realiach komisariatu na Alice Island odpowiada mniej więcej rokowi. Lambiase i jego ludzie nie znajdują żadnych śladów, które mogłyby pomóc w ujęciu sprawcy. Wszystko wskazuje na to, że złodziej nie tylko sprzątnął rozrzucone curry i butelkę po winie, ale też usunął wszelkie odciski palców. Policjanci przesłuchują pracowników Ajaya oraz jego nielicznych zamieszkałych na wyspie krewnych i znajomych. Żadna z tych rozmów nie okazuje się punktem zwrotnym w dochodzeniu. Antykwariusze i domy aukcyjne twierdzą, że nie trafił do nich egzemplarz *Tamerlana*. (Inna sprawa, że domy aukcyjne raczej nie lubią chwalić się takimi rzeczami). Sprawa zostaje uznana za niewyjaśnioną. Książka zniknęła i Ajay wie, że już nigdy jej nie zobaczy.

Szklana gablota przestała być mu potrzebna i nie wie, co z nią zrobić. Nie ma żadnych innych bibliofilskich rarytasów. Sporo go kosztowała, prawie pięćset dolarów. Jakaś naiwna częśćka jego duszy chce wierzyć, że znajdzie się dla niej lepsze zastosowanie. W sklepie powiedziano mu, że gablota świetnie nadaje się do przechowywania cygar.

Pogodziwszy się z utratą widoków na wcześniejszą emeryturę, Ajay czyta egzemplarze przedpremierowe, odpisuje na maile, sporządza nawet krótkie opisy książek do stawiania na półkach. Wieczorem, po zamknięciu księgarni, pierwszy raz od dawna idzie pobiegać. Z bieganiem na długich dystansach wiążą się różnorakie trudności, a jedną z największych jest problem, co zrobić z kluczami od domu. Ostatecznie Ajay zostawia drzwi otwarte, uznając, że nie ma tam nic wartego uwagi złodzieja.

# *Luck z Roaring Camp*

1870, Bret Harte

*Ckliwa opowiadka o mieszkańcach osady górniczej, którzy adoptują indiańskie dziecko i dają mu na imię Luck. Pierwszy raz przeczytałem ją w Princeton na seminarium z literatury amerykańskiego Zachodu i w ogóle mnie wtedy nie poruszyła. W pracy datowanej na 14 listopada 1992 roku wyraziłem opinię, że jedyną rzeczą godną uwagi są barwne imiona postaci: Stumpy, Kentuck, French Pete, Cherokee Sal i tym podobne. Dopiero przed kilkoma laty przypadkiem trafiłem znowu na to opowiadanie i tak się zalałem łzami, że do dziś moje kieszonkowe wydanie nosi ślady powodzi. Chyba zmiękłem na średnie lata. Ponadto uważam, że moja reakcja przy powtórnej lekturze jest dowodem na to, że każda książka musi trafić na swój moment. Pamiętaj, Maju: rzeczy, które do nas przemawiają, gdy mamy lat dwadzieścia, niekoniecznie będą do nas przemawiały po czterdziestce – i na odwrót. To zresztą dotyczy nie tylko książek, ale też życia w ogóle.*

*A.F.*

*Po zniknięciu Tamerlana Ajay przez kilka tygodni obserwuje niewielką, lecz statystycznie zauważalną zwykłą obrotów. Przypisuje ją słabo zbadanemu czynnikowi, jakim jest Zatroškany Mieszczuch.*

*Zatroškany Mieszczuch (ZM) zwykle podchodzi do lady i pyta:*

*– Jakieś wieści w sprawie Tamerlana? (Tłumaczenie: Czy możemy dla mojej rozrywki pogawędzić o pańskiej bolesnej stracie?).*

*Ajay w takich sytuacjach odpowiada:*

*– Na razie cisza. (Tłumaczenie: Moje życie nadal w gruzach).*

*ZM: Och, to na pewno kwestia czasu. (Tłumaczenie: Ponieważ ta sprawa w żaden sposób mnie nie dotyczy, mogę sobie pozwolić na optymizm). A czy są jakieś nowości, których nie czytałem?*

*Ajay: Coś się znajdzie. (Tłumaczenie: Praktycznie wszystko. Nie zaglądał pan tutaj od miesiąca, jeżeli nie od lat).*

*ZM: Czytałem o jakiejś książce w dodatku książkowym „New York Timesa”. Chyba miała czerwoną okładkę.*

*Ajay: Tak, było coś takiego. (Tłumaczenie: Zbyt ogólna informacja.*



*Wolałbym nazwisko autora, tytuł lub opis fabuły. To, że jakaś książka chyba ma czerwoną okładkę i że była o niej wzmianka w dodatku do „New York Timesa”, jest mniej pomocne, niż się panu zdaje).* Czy przypomina pan sobie coś jeszcze?

W trakcie rozmowy Ajay prowadzi Zatrokanego Mieszczucha do ścianki z nowościami, gdzie będzie próbował mu wepchnąć jakąś nowość w twardej oprawie.

Co ciekawe, śmierć Nicole miała dokładnie odwrotny efekt. Mimo że Ajay otwierał i zamykał księgarnię z beznamiętną regularnością esesmana, pierwszy kwartał po jej śmierci był najgorszym w historii Island Books. Nie żeby ludzie mu nie współczuli, przeciwnie, współczuli mu za bardzo. Nicole była stąd, wszyscy ją znali. Kiedy po ukończeniu studiów w Princeton (liceum, rzecz jasna, kończyła tutaj) wróciła na wyspę, by wraz ze swoim mężem o poważnym spojrzeniu otworzyć księgarnię, wszyscy byli zachwyceni. Zawsze to miło, gdy młoda osoba po studiach dla odmiany wraca do rodzimego miasteczka. Jednak po jej śmierci okazało się, że poza wspólną żałobą nic ich z Ajayem nie łączy. Czy mieli do niego żal? Niektórzy trochę mieli. W końcu tamtego feralnego wieczoru mógł sam odwieźć autora. Pocieszali się nawzajem i szeptali, że Fikry zawsze był jakiś dziwny i – chociaż nie chodzi im, broń Boże, o kolor skóry! – jednak trochę obcy, bo przecież już na pierwszy rzut oka widać, że nie stąd (urodził się w New Jersey). Przechodząc obok księgarni, wstrzymywali oddech, jakby to był cmentarz.

Przeciągając karty kredytowe klientów przez terminal, Ajay dochodzi do wniosku, że kradzież jest nieszczęściem znośnych rozmiarów, natomiast śmierć bliskiej osoby izoluje od otoczenia. W grudniu obroty wracają do normalnego poziomu sprzed kradzieży.

W piątek, na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, tuż przed zamknięciem Ajay przegania ostatnich klientów za pomocą hałaśliwego dzwonka. Jeden z nich, mężczyzna w mechatym płaszczu, hamletyzuje nad najnowszymi przygodami Alexa Crossa.

– Dwadzieścia sześć dolarów to strasznie dużo. Wie pan chyba, że w internecie można kupić taniej?

Ajay odpowiada, że nie wie, po czym wskazuje mu drzwi.

– Powinien pan obniżyć ceny, jeśli chce pan być konkurencyjny – nie ustępuje mężczyzna.

– Obniżyć ceny? Cóż za oryginalny pomysł! Nigdy bym na to nie wpadł.

– Czy pan ze mnie drwi, młody człowieku?

– Ależ nie, jestem panu wdzięczny. Obiecuję przedstawić pańską

nowatorską sugestią na najbliższym zebraniu akcjonariuszy. W końcu musimy być konkurencyjni. Tak między nami, był taki czas na początku tego wieku, kiedy daliśmy sobie spokój z konkurencyjnością. Uważałem, że to błąd, ale mój zarząd uznał, że konkurencja to dobre dla sportowców i producentów płatków śniadaniowych. Obecnie mogę pana jednak zapewnić, że nasza firma znów stawia sobie za cel bycie konkurencyjną. Nawiasem mówiąc, zamykamy.

Jegomość w mechatym płaszczu wychodzi, burcząc coś pod nosem. Chwilę później w progu księgarni staje starsza kobieta. To stała klientka, więc Ajay nie daje po sobie poznać, że jest zirytowany.

– O, pani Cumberbatch. Niestety, właśnie zamykamy.

– Panie Fikry, proszę nie patrzeć na mnie tym swoim wzrokiem Omara Sharifa. – Kobieta omija księgarza i rzuca na ladę gruby tom w miękkiej oprawie. – Książka, którą mi pan wczoraj polecił, jest najgorszą, jaką czytałam w całym moim osiemdziesięciodwuletnim życiu. Żądam zwrotu pieniędzy.

Ajay spogląda to na książkę, to na kobietę.

– Co się pani w niej nie spodobało?

– Panie Fikry, zacznijmy od tego, że narratorem jest Śmierć! Mam osiemdziesiąt dwa lata i wcale mi się nie uśmiecha lektura sześciusetstronicowej powieści, w której narratorem jest Śmierć. Uważam, że to był z pańskiej strony gruby nietakt.

Ajay przeprosza, choć nie czuje skruchy. Skąd się biorą ci ludzie, którzy oczekują gwarancji, że książka im się spodoba? Przyjmuje zwrot. Grzbiet książki jest uszkodzony. Nie nadaje się do powtórnej sprzedaży.

– Droga pani, książka wygląda na czytaną. Ciekaw jestem, przez ile stron pani przebrnęła.

– Owszem, przeczytałam ją. Tak mnie rozzłościła, że zarwałam całą noc. W moim wieku to raczej niewskazane. Podobnie jak spazmatyczny płacz, a ta powieść wycisnęła ze mnie morze łez. Prosiłabym, aby następnym razem, polecając mi książkę, miał pan to na uwadze.

– Naturalnie. Jeszcze raz panią przeproszam. Większość naszych klientów bardzo sobie *Złodziejkę książek* chwaliła.

Zamknawszy księgarnię, Ajay idzie na górę przebrać się w strój do biegania. Potem wychodzi na dwór frontowymi drzwiami księgarni, tradycyjnie już nie zamykając ich na klucz.

W liceum, a potem na studiach w Princeton uprawiał biegi przełajowe. Główny powód, dla którego wybrał ten sport, był taki, że nie miał talentu do żadnego innego, może z wyjątkiem uważnej lektury. Nigdy zresztą nie twierdził, że ma szczególny talent do biegów. Trener nazywał go pieszczotliwie „pewniakiem średniakiem”, bo Ajay niemal zawsze kończył bieg w górnej połówce stawki. Teraz jest skłonny przyznać, że miał talent, ale go utracił. W obecnej formie nie potrafi przebiec trzech kilometrów bez postojów. Rzadko pokonuje dystans większy niż osiem kilometrów, a po bieganiu bolą go plecy, nogi i praktycznie wszystkie inne części ciała. Ból ma jednak swoje zalety. Dawniej podczas biegania zwykł rozmyślać, teraz nie ma do tego głowy.

Kiedy Ajay jest już blisko domu, zaczyna prószyć śnieg. Ponieważ nie chce nanieść błota, zatrzymuje się na ganku i zdejmuje buty. Drzwi ustępują, kiedy się o nie opiera. Wprawdzie nie zamykał ich na klucz, ale na pewno nie zostawił niedomkniętych. Zapala światło. Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Kasa nie nosi śladów włamania. Pewnie to wiatr otworzył drzwi. Ajay gasi światło i rusza ku schodom, lecz w połowie drogi dolatuje go coś jakby kwilenie ptaka, ciche, lecz przenikliwe. Po chwili słyszy je ponownie, tym razem głośniejsze.

Zapala światło. Wraca do drzwi wejściowych i wchodzi między regały z książkami. W ostatniej alejce, w słabo zaopatrzonym dziale literatury dziecięcej i młodzieżowej, na podłodze siedzi małe dziecko, przed nim leży otwarty jedyny dostępny w księgarni egzemplarz *Tam, gdzie żyją dzikie stwory* (i zarazem jedna z niewielu książek obrazkowych, które Ajay ma w ofercie). „Nie takie zupełnie małe – myśli Ajay. – Na pewno nie noworodek”. Nie potrafi określić wieku, bo nigdy nie miał bliższej styczności z małymi dziećmi, poza sobą samym. Był najmłodszy z rodzeństwa, a nie doczekali się z Nicole potomstwa. Dziewczynka jest ubrana w różową kurtkę narciarską. Jej głowa tonie w jasnobrązowych kędziorkach, oczy ma ciemnoniebieskie, a skórę oliwkową, o ton lub dwa jaśniejszą od cery Ajaya. Słowem, całkiem ładne stworzenie.

– Kim jesteś, u licha? – pyta Ajay.

Dziewczynka bez wyraźnego powodu przestaje płakać i uśmiecha się do niego.

– Jestem Maja.

„To było łatwe” – myśli Ajay.

– Ile masz lat?

Maja podnosi dwa palce.

– Dwa?

Znów się uśmiecha i wyciąga do niego rękę.

– Gdzie jest twoja mama?

Maja zaczyna płakać. Ręce nadal trzyma wyciągnięte w jego stronę. Nie widząc innego rozwiązania, Ajay podnosi ją z podłogi. Mała waży co najmniej tyle ile karton z dwudziestoma czterema książkami w twardej oprawie. Ajay czuje to w krzyżu. Dziewczynka obejmuje go za szyję. „Całkiem ładnie pachnie – myśli Ajay – jakby pudrem i olejkiem dla niemowląt. Nie sprawia wrażenia dziecka zaniedbanego ani maltretowanego przez rodziców. Jest grzeczna, schludnie ubrana i oczekuje – nie, raczej domaga się – czułości. Właściciel tego szkraba na pewno zjawi się lada moment z jakimś sensownym wytłumaczeniem. Może zepsuł mu się samochód? A może matkę zniecka zmogło ostre zatrucie pokarmowe? Na przyszłość trzeba będzie zrewidować politykę niezamykania drzwi na klucz”. Liczył się z ryzykiem kradzieży, zupełnie się jednak nie spodziewał, że ktoś mu coś podrzuci.

Mała garnie się do niego. Patrząc ponad jej ramieniem, Ajay dostrzega na podłodze pluszowego Elma, do którego ktoś przyczepił agrałką liścik. Stawia dziecko na ziemi i podnosi Elma. Nigdy za nim nie przepadał. Nie lubi postaci pozbawionych godności.

– Elmo! – woła Maja.

– Tak. Elmo.

Ajay odpina liścik i oddaje maskotkę dziecku.

*Do właściciela tej księgarni*

*Oto Maja. Ma dwadzieścia pięć miesięcy. Jest grzeczna i bardzo inteligentna, zna dużo słów jak na swój wiek. Chcę, by była odczytana. By wychowywała się wśród książek i ludzi, którzy je cenią. Bardzo ją kocham, ale nie jestem w stanie się nią dłużej zajmować. Nie mogę liczyć na jej ojca, a nie mam rodziny, która mogłaby mi pomóc. Jestem zdesperowana.*

*Z poważaniem,*

*Mama Mai*

„O w mordę” – myśli Ajay.

Maja znów płacze.

Podnosi ją z podłogi. Ma brudną pieluchę. Ajay nigdy w życiu nie przewijał dziecka, ale ma pewną wprawę w pakowaniu prezentów. Kiedy jeszcze żyła Nicole, księgarnia oferowała bezpłatne pakowanie książek na prezenty

bożonarodzeniowe. Pakowanie prezentów i przewijanie dziecka to muszą być dziedziny pokrewne. Obok małej stoi torba. Ajay sięga po nią z nadzieją, że znajdzie w środku pieluchę, i nie rozczarowuje się. Przewija Maję na podłodze, starając się nie zabrudzić dywanika i omijać wzrokiem jej części intymne. Cała operacja zajmuje mu około dwudziestu minut. W porównaniu z książkami dzieci są ruchliwe i nieporęczne. Maja przygląda mu się z przekrzywioną głową, zasznurowanymi ustami i zmarszczonym noskiem.

– Wybacz, Maju, ale dla mnie to też nie była kaszka z mlekiem. Im szybciej przestaniesz robić pod siebie, tym lepiej dla nas obojga.

– Przepraszam – odpowiada mała i Ajayowi robi się głupio.

– Nie, to ja przepraszam. Nie znam się na tym zupełnie. Straszna ze mnie dupa.

– Dupa! – podchwytuje Maja z chichotem.

Ajay wkłada z powrotem buty do biegania i wzięwszy na ręce dziecko, torbę oraz liścik, wyrusza na komisariat.

Tego dnia dyżur pełni oczywiście komendant Lam-biase – jest mu najwidoczniej pisane być świadkiem wszystkich ważnych wydarzeń w życiu Ajaya. Księgarz pokazuje znalezione dziecko.

– Ktoś mi to podrzucił do księgarni – mówi szeptem, by nie zbudzić Mai, która zasnęła mu w ramionach.

Lambiase właśnie jadł donuta i teraz próbuje to ukryć, bo to takie stereotypowe. Połyka ostatni kęs i zwraca się do Ajaya zgoła niepolicyjnym tonem:

– Ooo, chyba pana lubi!

– To nie moje dziecko – szepcze Ajay.

– A czyje?

– Nie wiem, pewnie którejś z klientek. – Ajay wyjmując z kieszeni liścik.

– Ach, więc to tak. Matka ją panu zostawiła.

Maja otwiera oczy i uśmiecha się do policjanta.

– Ślicznotka, prawda? – Lambiase pochyla się nad dziewczynką, a ta chwyta go za włosy. – Któż mnie złapał za włosy? No któż? – pyta Lambiase dziecinnym głosem.

– Panie komisarzu, mam wrażenie, że nie traktuje pan tej sprawy z należytą powagą.

Policjant odchrząkuje i siada wyprostowany.

– No dobrze. Rzecz ma się następująco. Jest piątek, godzina dziewiąta

wieczorem. Zadzwońię do opieki społecznej, ale ze względu na śnieg i weekend nie spodziewałbym się nikogo przed poniedziałkiem. Spróbujemy namierzyć matkę, rozejrzemy się też za ojcem, a nuż ktoś szuka tego brzdąca.

– Maja – odzywa się Maja.

– Tak masz na imię? Bardzo ładnie! – Lambiase znów mówi dzieciennym głosem. Potem kolejny raz chrząka. – Ktoś musi się nią zaopiekować przez weekend. Mogę to zrobić ja na zmianę z paroma innymi policjantami albo...

– Nie, nie ma takiej potrzeby – stwierdza Ajay. – Nie ma sensu trzymać dziecka w komisariacie.

– Zna się pan trochę na dzieciach?

– To tylko jeden weekend. Żadna filozofia. Zadzwońię do szwagierki. A jeżeli ona nie będzie czegoś wiedzieć, będę googlować.

– Googlować! – podchwytuje Maja.

– Googlować! Brawo, znasz trudne słowa! – pieje Lambiase. – Ekhm. Dobrze. Czyli odezwę się do pana w poniedziałek. Dziwny ten świat, prawda? Najpierw ktoś kradnie panu książkę, a potem ktoś inny podrzuca panu dziecko.

– Ha – kwituje Ajay.

Zabiera małą do siebie. Dziewczynka zaczyna pła-kać – coś między sylwestrową trąbką a alarmem pożarowym. Domyśla się, że jest głodna, lecz nie ma pojęcia, czym się karmi dwulatka. Otwiera jej usta, by zobaczyć, czy ma zęby. Ma – i robi z nich użytek, próbując ugryźć go w palec. Ajay wpisuje w Google pytanie: „Czym karmić dwulatka?”. Google odpowiada, że większość dwulatek może jeść to co rodzice. Google nie wie, że Ajay żywi się świństwami. Jego zamrażarka jest pełna różnego rodzaju mrożonek, często pikantnych. Postanawia poprosić o pomoc szwagierkę.

– Ismay, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale zastanawiam się, co można dać do jedzenia dwuletniemu dziecku?

– Dlaczego pytasz? – dziwi się Ismay.

Wyjaśnia, że ktoś porzucił dziecko w księgarni. Po chwili milczenia Ismay odpowiada, że zaraz przyjedzie.

– Jesteś pewna? – pyta Ajay. Jego szwagierka jest w piątym miesiącu ciąży, nie chciałby sprawiać jej kłopotu.

– Bez obaw. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Jestem sama, Wybitny Amerykański Powieściopisarz wyjechał. Poza tym ostatnio i tak cierpię na bezsenność.

Niespełna pół godziny później Ismay zjawia się u niego z torbą pełną jedzenia. Są w niej składniki na sałatkę, lasagne z tofu i połówka szarlotki z kruszonką.

- Tylko tyle miałam pod ręką.
- To i tak dużo. Moja kuchnia to porażka.
- Twoja kuchnia to pobojuwisko.

Na widok Ismay mała zaczyna ryczeć.

- Pewnie tęskni za mamą – mówi Ismay. – Może jestem do niej podobna?

Ajay kiwa głową, choć tak naprawdę przypuszcza, że dziecko po prostu się jej boi. Ismay ma stylowo nastroszone rude włosy, bladą cerę i długie, pająkowate ręce i nogi. Wszystko jest w niej trochę przerysowane, gesty trochę zbyt żywiołowe. Ciężarna, wygląda jak bardzo ładny Gollum. Nawet jej głos ma w sobie coś, co może zaniepokoić małe dziecko. Jest precyzyjny, wystudiowany, zawsze wypełnia całe pomieszczenie. Ajay zna ją od mniej więcej piętnastu lat i jest zdania, że właśnie tak powinna starzeć się aktorka: najpierw Julia, potem Ofelia, królowa Gertruda i wreszcie Hekate.

Ismay podgrzewa jedzenie.

- Chcesz, żebym ją nakarmiła?

Maja łypie na nią podejrzliwie.

– Nie, ja spróbuję – mówi Ajay, po czym zwraca się do małej: – Potrafisz używać sztuczków?

Maja milczy.

– Nie masz krzeselka dziecięcego – zauważa Ismay. – Będziesz musiał coś zaimprovizować, żeby nie spadła.

Ajay sadza Maję na podłodze. Obudowuje krzesło z trzech stron egzemplarzami przedpremierowymi i wyścieła jaškami z łózka.

Pierwsza łyżka lasanii wchodzi łatwo.

- To proste – stwierdza.

Przy drugiej łyżce Maja w ostatniej chwili obraca głowę i sos pryska na wszystkie strony – na Ajaya, na poduszki i na papierową fortecę. Dziewczynka obraca się z powrotem, na jej twarzy rozkwita wielki uśmiech, jak gdyby właśnie splatała mu bardzo dowcipnego figla.

- Mam nadzieję, że nie zamierzałeś ich czytać – mówi Ismay.

Po kolacji kładą małą spać na kanapie w jednym z pokoiów.

- Dlaczego nie zostawiłeś jej w komisariacie?

– Jakoś nie potrafiłem.

- Ale nie myślisz chyba, żeby ją przygarnąć?

– Oczywiście, że nie. Zaopiekuję się nią tylko do poniedziałku.



– Może do tego czasu znajdzie się matka. Może zmieni zdanie.

Ajay podał jej liścik.

– Biedactwo – kwituje Ismay.

– Zgadzam się, ale ja bym tak nie potrafił. Nie mógłbym zostawić własnego dziecka u kogoś w księgarni.

Ismay wzrusza ramionami.

– Dziewczyna pewnie miała swoje powody.

– Skąd wiesz, że to dziewczyna? Równie dobrze to może być zdesperowana kobieta w średnim wieku.

– Nie wiem, w tonie tego listu jest coś młodzieńczego. W charakterze pisma chyba też. – Ismay przeczesuje palcami krótkie włosy. – A tak poza tym jak sobie radzisz?

– W porządku. – Dociera do niego, że przez ładnych kilka godzin w ogóle nie myślał o *Tamerlanie* ani o Nicole. Ismay zmywa naczynia, mimo że Ajay prosi ją, żeby tego nie robiła.

– Nie przygarne jej – powtarza. – Mieszkam sam. Nie mam oszczędności, interes nie kręci się najlepiej.

– Oczywiście, że nie – potakuje Ismay. – Przy twoim trybie życia to nie byłby dobry pomysł. – Wyciera umyte naczynia i odkłada je do szafki. – Nawiasem mówiąc, nic by ci się nie stało, gdybyś od czasu do czasu zjadł świeże warzywo.

Szwagierka całuje go w policzek. „Jest tak podobna do Nicole i zarazem tak zupełnie inna” – myśli Ajay. Czasem najbardziej boli go to, co w niej podobne (twarz, figura), a czasem to, co inne (mózg, serce).

– Daj znać, gdybyś potrzebował jeszcze pomocy.

Nicole była młodszą z sióstr, ale zawsze martwiła się o Ismay. Uważała ją za chodzący przykład tego, jak nie należy układać sobie życia. Ismay wybrała uczelnię wyższą, która miała najładniejsze obrazki w broszurze informacyjnej, wyszła za mężczyznę, bo wspaniale wyglądał w smokingu, i została nauczycielką, bo obejrzała film o wybitnym pedagogu. „Biedna Ismay – mawiała. – Zawsze prędzej lub później spotyka ją rozczarowanie”.

„Nicole życzyłaby sobie, żebym był serdeczniejszy dla jej siostry” – myśli Ajay.

– Jak tam próby przedstawienia?

Ismay uśmiecha się i przez chwilę wygląda jak dziewczynka.

– Słowo daję, nie sądziłam, że w ogóle o nim wiesz.

– *Czarownice z Salem*. Dzieciaki pytają o to w księgarni.

– No tak. Straszna sztuka. Ale przynajmniej dziewczyny mogą się

wykrzyzczyć, bardzo im to odpowiada. Mnie trochę mniej. Chodzę na próby z zapasem paracetamolu. Może przy okazji tych krzyków i wrzasków mimochodem dowiedzą się czegoś o historii Ameryki. Oczywiście wybrałam tę sztukę tylko dlatego, że jest w niej dużo ról kobiecych – zawsze to mniej płaczu i zgrzytania zębami, gdy wywieszam listę z obsadą. Ale teraz, kiedy jestem w ciąży, robi się z tego prawdziwy, hm, dramat.

Czując, że ma wobec niej dług wdzięczności, Ajay ofiaruje swoją pomoc.

– Może mógłbym pomalować dekoracje albo, nie wiem, wydrukować program?

Ismay ma ochotę powiedzieć, że to do niego niepodobne, ale się powstrzymuje. Nie licząc własnego męża, uważa szwagra za jednego z największych egocentryków, jakich zna. Skoro jedno popołudnie w towarzystwie małej dziewczynki zdołało odmienić Ajaya, to co się stanie z Danielem po narodzinach dziecka? Skromny gest szwagra pozwala mieć nadzieję. Ismay głaszcze się po brzuchu. W środku jest chłopiec, wybrali już dla niego imię, a nawet dwa – jedno zapasowe, w razie gdyby pierwsze się nie przyjęło.

Nazajutrz po południu, gdy śnieg przestaje padać, a nawet zaczyna topnieć i robi się błoto, morskie fale wyrzucają ciało na wąski pas lądu obok latarni morskiej. Dokument znaleziony w kieszeni zmarłej pozwala ustalić, że to Marion Wallace. Lambiase drogą dedukcji szybko dochodzi do wniosku, że kobieta jest matką znalezionej dziewczynki.

Marion Wallace nie ma rodziny na wyspie. Nikt nie wie, skąd się tu wzięła, kogo przyjechała odwiedzić ani dlaczego postanowiła się zabić, wypływając na lodowate w grudniu wody zatoki. W każdym razie nikt nie zna szczegółów tej decyzji. Wiadomo natomiast, że Marion jest czarnoskóra, ma dwadzieścia jeden lat i dwuletnie dziecko. Jeżeli dodać do tego treść listu do Ajaya, wyłania się niekompletna, lecz zupełnie prawdopodobna historia. Policja uznaje więc, że Marion Wallace popełniła samobójstwo.

W trakcie weekendu pojawiają się kolejne informacje. Kobieta studiowała na Harvardzie, chesne miała opłacone ze stypendium. Była mistrzynią pływacką stanu Massachusetts, lubiła pisać. Pochodziła z Roxbury. Jej matka nie żyje – zmarła na raka, gdy Marion miała trzynaście lat. Babka po kądzieli zmarła rok później z tego samego powodu. Ojciec jest narkomanem. Była w kilku rodzinach zastępczych. Jedna z takich przybranych matek wspomina, że Marion wiecznie siedziała z nosem w książkach. Nikt nie wie, kto jest

ojcem jej dziecka. Nie wiadomo nawet, czy kiedykolwiek miała chłopaka. Uczelnia wysłała ją na przymusowy urlop dziekański po tym, jak w poprzednim semestrze Marion nie uzyskała ani jednego zaliczenia – nie umiała podołać jednocześnie obowiązkom macierzyńskim i napiętemu planowi zajęć. Była ładna i bystra, więc jej śmierć jest tragedią. Była biedna i czarnoskóra, więc ludzie mówią, że można było się tego spodziewać.

W niedzielę wieczorem Lambiase wstępuje do księgarni, by zobaczyć, jak się czuje Maja, i przekazać Ajayowi najnowsze wieści. Oferuje pomoc, ma kilkoro młodszego rodzeństwa, może się zająć Mają, a Ajay w tym czasie robi, co ma do zrobienia.

– Naprawdę mógłby pan? Nie ma pan własnych spraw na głowie?

Lambiase jest świeżo po rozwodzie. Ożenił się z dziewczyną, z którą zaczął chodzić jeszcze w liceum – minęło sporo czasu, zanim przejrzał na oczy. Podczas kłótni żona miała w zwyczaju wymyślać mu od głupich i grubych. Nawiasem mówiąc, Lambiase wcale nie jest głupi, mimo że mało w życiu czytał i podróżował. Nie jest też gruby, choć ma sylwetkę buldoga: krępa, umięśniona szyja, krótkie nogi, szeroki, płaski nos. Jest to jednak buldog amerykański, nie angielski.

Lambiase tęskni nie tyle za żoną, ile za czasami, kiedy miał dokąd wracać po pracy.

Siada na podłodze i bierze Maję na kolana. Kiedy dziewczynka zasypia, Lambiase opowiada Ajayowi, czego się dowiedział o jej matce.

– Zastanawia mnie – mówi Ajay – co ona w ogóle robiła na Alice Island. No bo jednak dostanie się tutaj wymaga pewnej fatygi. Odkąd tu zamieszkałem, moja własna matka odwiedziła mnie jeden jedyny raz. Naprawdę uważa pan, że ta Marion nie przyjechała do konkretnej osoby?

Lambiase poprawia sobie Maję na kolanach.

– Myślałem o tym. Może nie miała w głowie żadnego planu. Może po prostu wsiadła w pierwszy lepszy pociąg, potem w autobus, a potem na prom i wylądowała tutaj.

Ajay kiwa głową z grzeczności, ale nie wierzy w przypadkowość zdarzeń. Będąc miłośnikiem książek, wierzy w strukturę. Jeżeli w pierwszym akcie pojawia się strzelba, to najpóźniej w trzecim powinna wypalić. Innymi słowy, Ajay wierzy w fabułę.

– Może chciała umrzeć w ładnej scenerii – sugeruje Lambiase. – Aha, kobieta z opieki społecznej przyjedzie po to rozkoszne stworzenie w poniedziałek. Ponieważ matka nie miała rodziny, a ojca nie znamy, będą musieli poszukać dla niej domu zastępczego.

Ajay przelicza gotówkę w szufladzie.

– Takie dzieci mają chyba w życiu ciężko, prawda?

– Bywa, że tak – przyznaje Lambiase. – Ale jeśli o nią chodzi, jestem optymistą.

Ajay ponownie przelicza gotówkę.

– Mówił pan, że jej matka też wychowywała się w rodzinach zastępczych?

Lambiase kiwa głową.

– Widać uznała za lepsze, żeby jej córka wychowała się w księgarni.

Lambiase milczy.

– Nie jestem religijnym człowiekiem, panie komisarzu – mówi po chwili Ajay. – Nie wierzę w przeznaczenie. Moja żona wierzyła.

Maja budzi się i wyciąga ręce w stronę księgarza. Ajay zamyka szufladę kasy i zabiera ją z kolan policjanta, któremu zdaje się, że słyszy, jak mała mówi do księgarza „tato”.

– Staram się ją tego oduczyć, ale mnie nie słucha – wyjaśnia Ajay.

– Dzieci mają swój świat.

– Napije się pan czegoś?

– Chętnie. Czemu nie.

Ajay zamyka drzwi wejściowe na klucz i wchodzi po schodach na górę. Odkłada Maję na kanapę i przechodzi do salonu.

– Nie mogę opiekować się dzieckiem – mówi stanowczo. – Od dwóch nocy nie śpię. Ta mała to terrorystka! Budzi się o niedorzecznych porach. Jej dzień zaczyna się za kwadrans czwarta. Mieszkam sam. Jestem biedny. Same książki to za mało.

– Zgoda – przytaknął Lambiase.

– Ledwie sobie radzę sam ze sobą – ciągnie Ajay. – A ona jest gorsza niż szczenię. Ktoś taki jak ja nie powinien mieć nawet szczeniaka. Nie jest nauczona załatwiać się do nocnika, a ja nie wiem, jak się uczy dziecko takich rzeczy. Zresztą nigdy nie przepadałem za małymi dziećmi. Lubię Maję, ale... rozmowy z nią pozostawiają wiele do życzenia, mówiąc najogólniej. Rozmawiamy głównie o Elmie, którego, nawiasem mówiąc, nie znoszę, a jeśli nie o nim, to na ogół o niej. To dziecko jest bardzo skupione na sobie.

– Dzieci tak już mają – zauważa Lambiase. – Wasze rozmowy na pewno będą ciekawsze, kiedy Maja pozna więcej słów.

– Poza tym ona najchętniej w kółko czytałaby jedną książkę. I to strasznie durną. Nazywa się *Potwór na końcu tej książki*<sup>5</sup>.

Lambiase przyznaje, że o niej nie słyszał.

– Może mi pan uwierzyć na słowo. Ta mała ma fatalny gust literacki –

śmieje się Ajay.

Lambiase kiwa głową i popija wino.

– Nikt nie powiedział, że musi u pana zostać.

– Tak, tak, wiem. Ale myśli pan, że mógłbym przynajmniej mieć coś do powiedzenia w sprawie tego, komu ją oddadzą? To piekielnie inteligentna istotka. Zna już alfabet, wytłumaczyłem jej nawet, co to kolejność alfabetyczna. Nie chciałbym, żeby trafiła do jakichś kretynów, którym będzie to obojętne. Tak jak powiedziałem, nie wierzę w przeznaczenie. Ale czuję się odpowiedzialny za jej los. Ta młoda kobieta powierzyła ją mojej opiece.

– Ta młoda kobieta postradała rozum. Godzinę później utopiła się w morzu.

– No tak. – Ajay marszczy brwi. – Racja. – Z pokoju obok dobiega płacz. – Przepraszam, muszę do niej zajrzeć.

Po tych paru dniach wypadałoby Maję wykąpać. Ajay najchętniej pozostawiłby tę kłopotliwą czynność stanowi Massachusetts, ale nie chce, żeby dziewczynka wyglądała jak miniatura panny Havisham, kiedy zjawi się po nią ktoś z opieki społecznej. Ustalenie protokołu kąpieli wymaga wygooglowania odpowiedzi na wiele pytań: „W jakiej temperaturze kąpać dwulatkę”, „Czy szampon dla dorosłych jest dobry dla dwulatki”, „Czy mycie części intymnych dziecka to nie molestowanie”, „Ile wody nalać dziecku do kąpieli”, „Czy dwulatka nie utopi się w wannie”, „Zasady bezpiecznej kąpieli” i tym podobne.

Myje małej włosy szamponem z ekstraktem z konopi, który należał do Nicole. Większość rzeczy po zmarłej żonie wyrzucił lub oddał potrzebującym, ale nie potrafił się zmusić do wyrzucenia jej kosmetyków.

Splukuje szampon, a Maja zaczyna śpiewać.

– Co śpiewasz?

– Piosenkę.

– Co to za piosenka?

– La la. Booya. La la.

Ajay śmieje się.

– Aha. Nic z tego nie rozumiem, Maju.

Dziewczynka ochlapuje go wodą.

– Mama? – pyta po chwili.

– Nie, nie jestem twoją mamą.

– Mamy nie ma.

– Tak. I chyba już nie wróci.  
Maja po chwili namysłu kiwa głową.

- Ty zaśpiewaj.
- Wolałbym nie.
- Zaśpiewaj.

„Dziecko straciło matkę – myśli Ajay. – Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić”.

Nie ma czasu, by zapytać Google o „piosenki do śpiewania dzieciom”. Zanim poznał żonę, był drugim tenorem w męskim zespole a cappella w Princeton. Nazywali się The Footnotes. Gdy zakochał się w Nicole, zespół na tym ucierpiał; w końcu, po którejś z kolei nieobecności na próbach, Ajay został z niego wyrzucony. Teraz przypomina sobie ostatni występ, śpiewali wtedy kawałki z lat osiemdziesiątych. Na potrzeby bieżącego recitalu nad wanną postanawia trzymać się tamtego repertuaru. Zaczyna od *99 Luftballons* i płynnie przechodzi do *Get out of My Dreams, Get into My Car*. Na koniec śpiewa *Love in an Elevator*. Czuje się tylko trochę głupio.

Maja klaszcze.

- Jeszcze – rozkazuje. – Jeszcze.
- Bisów nie przewidziano. – Ajay wyjmuje ją z wanny i otula ręcznikiem, starannie wycierając każdy z dziesięciu doskonale pięknych palców u jej nóg.

– Kocham cię – mówi Maja.

– Słucham?

– Kocham cię.

– Mówisz tak, bo spodobał ci się mój koncert a cappella.

Maja kiwa głową.

– Kocham cię.

– Kochasz mnie? Dziecko, przecież nawet mnie nie znasz. Nie powinnaś obdarzać miłością kogo popadnie. – Przygarnia ją do siebie. – Było nam razem miło i nie zapomnę tych trzech wspólnie spędzonych dni, ale nie wszyscy nadają się na rodzica.

Duże niebieskie oczy Mai patrzą niedowierzająco.

– Kocham cię.

Ajay wyciera jej włosy i sprawdza, czy ładnie pachną.

– Martwię się o ciebie. Jeżeli będziesz kochać wszystkich jak leci, czeka cię wiele bolesnych rozczarowań. Może ci się wydawać, że długo mnie znasz, bo jesteś na tym świecie bardzo krótko. Masz wypaczone pojęcie o czasie. A ja jestem już stary. Niedługo zapomnisz, że w ogóle mnie znałaś.

Molly Klock puka do drzwi i wtyka głowę do środka.

– Przyszła kobieta z opieki społecznej. Mam ją tu poprosić?

Ajay kiwa głową.

Bierze Maję na kolana i czekają. Słyszą, jak pracownica opieki społecznej wchodzi po skrzypiących schodach.

– Nie bój się, Maju. Ta pani znajdzie ci odpowiedni dom. Lepszy niż ten. Nie możesz do końca życia spać na kanapie. Nie chciałabyś zadawać się z kimś, kto całe życie śpi na rozkładanej kanapie.

Pani z opieki nazywa się Jenny. Ajay pierwszy raz w życiu spotyka dorosłą kobietę o imieniu Jenny. Gdyby była książką, byłaby nowiutkim egzemplarzem prosto z pudła – bez pozaginanych rogów, pomarszczonego papieru czy bruzd na grzbiecie. Ajay wolałby kogoś z wyraźnymi oznakami zużycia. Wyobraża sobie streszczenie fabuły na tylnej okładce: „Składając podanie o pracę w opiece społecznej w wielkim mieście, dzielna Jenny z Fairfield nie wiedziała, w co się pakuje”.

– Czy to pani pierwszy dzień w pracy?

– Nie. Mam już pewien staż. – Jenny uśmiecha się do Mai. – Ależ z ciebie ślicznotka.

Maja chowa twarz w bluzę Ajaya.

– Chyba jest między wami więź. – Jenny zapisuje coś w notesie. – No więc plan jest taki. Zabieram Maję do Bostonu. Tam wypełniam za nią papiery, bo oczywiście sama tego nie robi, cha, cha. Zostanie zbadana przez lekarza i psychologa.

– Wydaje mi się, że jest całkiem zdrowa i normalna.

– Dobrze, że mi pan to mówi. Lekarze stwierdzą ewentualne opóźnienia w rozwoju, choroby i inne problemy, które nie rzucają się w oczy. Później umieścimy Maję w jednej z pozytywnie zweryfikowanych rodzin zastępczych i...

– Chwileczkę. Jak się odbywa ta weryfikacja? Czy to tak proste jak ubieganie się o kartę kredytową?

– Cha, cha. Ależ nie, to bardziej skomplikowane. Wizytujemy chętnych...

– Chodzi mi o to – Ajay znów wchodzi jej w słowo – skąd macie pewność, że nie oddajecie niewinnego dziecka w ręce skończonego psychopaty?

– No cóż, panie Fikry, na pewno nie zakładamy z góry, że każdy, kto chce przygarnąć dziecko, jest psychopatą, ale każdej potencjalnej rodzinie zastępczej przyglądamy się bardzo skrupulatnie.

– Martwię się, ponieważ... Maja jest bardzo bystra, ale też bardzo ufna.

– Bystra, ale ufna. To cenna obserwacja. – Jenny zapisuje ją w notesie. – Wracając do tematu, po umieszczeniu małej w tymczasowej rodzinie

zastępczej, w której nie stwierdzono psychopatów. – Uśmiecha się do Ajaya. – Biorę się do dalszej pracy. Spróbuję dotrzeć do krewnych i dowiedzieć się, czy nie chcieliby wziąć jej na wychowanie. Dopiero gdy to się nie powiedzie, zacznę szukać rozwiązania na stałe.

– Ma pani na myśli adopcję.

– Otóż to. – Jenny wcale nie ma obowiązku wyjaśniania tego wszystkiego, ale lubi, kiedy dobrzy samarytanie, tacy jak Ajay, czują się docenieni. – Swoją drogą, należą się panu podziękowania. Potrzebujemy więcej takich ludzi jak pan, gotowych do pomocy i dobrych uczynków. – Wyciąga rękę po Maję. – To co, maleńka?

Ajay przygarnia Maję do siebie. Nabiera głęboko powietrza. Czy naprawdę jest gotów to zrobić? Tak – odpowiada sobie – jestem gotów. Dobry Boże.

– A czy Maja nie mogłaby na razie zostać ze mną, zamiast iść do tymczasowej rodziny zastępczej?

Jenny z opieki przypomina mu, że wszystkie rodziny zastępcze z jej listy przeszły weryfikację.

– Bo widzi pani... – Ajay się nie poddaje. – Ja wiem, że to nieortodoksyjne. Ale jej matka zostawiła mi liścik. – Wręcza go kobiecie. – Chciała, żebym to ja zaopiekował się jej córką. To było jej ostatnie życzenie. I dlatego wydaje mi się, że nie powinienem oddawać małej. Nie chcę, żeby trafiła do obcej rodziny, skoro tu jej dobrze. Trochę wczoraj googlowałem ten temat.

– Googlowałem – powtarza Maja.

– Spodobało jej się to słowo. Nie wiem dlaczego.

– Jaki temat? – pyta Jenny z opieki.

– Z tego, co wyczytałem, nie mam obowiązku jej oddawać, jeżeli matka powierzyła ją mojej opiece.

– Tata – odzywa się Maja jak na zawołanie.

Jenny spogląda to na Ajaya, to na Maję. Oboje mają upór w oczach. Wzdycha ciężko. Nie spodziewała się takich komplikacji.

Ponownie wzdycha. To nie jest jej pierwszy dzień, ale dopiero półtora roku temu zrobiła magisterium z pracy socjalnej. Ma jeszcze na tyle dużo zapału – albo naiwności – by spróbować mu pomóc. Ponieważ jednak mowa o samotnym mężczyźnie mieszkającym na poddaszu księgarni, będzie musiała trochę się nagimnastykować, żeby jakoś to wyglądało w papierach.

– Musi mi pan pomóc. Niech mi pan powie, że ma pan jakieś doświadczenie związane z edukacją albo pedagogiką dziecięcą.

– Hmm. Prawie zrobiłem doktorat z literatury amerykańskiej, ale rzuciłem studia, żeby otworzyć księgarnię. Interesował mnie zwłaszcza Edgar



Allan Poe. Uważam, że *Zagłada domu Usherów* to świetny poradnik, jak nie postępować z dziećmi.

– Zawsze to coś – mówi Jenny tonem, który sugeruje co innego. – Czy jest pan pewien, że da sobie radę? To poważne zobowiązanie finansowe, uczuciowe i czasowe.

– Nie, nie jestem pewien. Chyba żaden rodzic nie może być tego pewien, prawda? Ale myślę, że Maja nie będzie miała u mnie gorzej niż u kogoś innego. Mogę się nią opiekować w godzinach pracy, poza tym wydaje mi się, że się polubiliśmy.

– Kocham cię – odzywa się Maja.

– Bez przerwy mi to powtarza. Próbowałem jej wytłumaczyć, że nie powinna kochać ludzi na kredyt, ale wygląda na to, że Elmo wyprał jej mózg. On kocha wszystkich dookoła, wie pani?

– Tak, znam Elma – zapewnia go Jenny. Chce jej się płakać. Będzie musiała się napocić, wypełniając te papiery. I to już teraz, na etapie przydzielania opiekuna zastępczego. Postępowanie adopcyjne – to dopiero będzie mordęga. Bez wątplenia to ona będzie musiała z ramienia opieki społecznej odbywać co jakiś czas dwugodzinną podróż na Alice Island, żeby zobaczyć, jak Ajay radzi sobie z Mają.

– Dobrze, muszę zadzwonić do przełożonej.

Jako dziecko Jenny Bernstein, owoc szczęśliwej miłości dwojga statecznych i kochających rodziców z Medford w stanie Massachusetts, uwielbiała opowieści o sierotach, takie jak *Ania z Zielonego Wzgórza* i *Mała księżniczka*. Ostatnio zaczęła podejrzewać, że to właśnie wielokrotna lektura tych książek zaważyła na jej wyborze kierunku studiów. Wymarzony zawód okazał się mniej romantyczny niż ulubione powieści. Wczoraj na przykład jedna z jej koleżanek ze studiów odkryła, że pewna zastępcza matka tak zagłodziła nastolatka, iż ważył dwadzieścia kilo. Sąsiedzi byli przekonani, że to sześciolatek. „Wciąż chcę wierzyć w szczęśliwe zakończenia – podsumowała koleżanka – ale przychodzi mi to z coraz większym trudem”. Jenny uśmiecha się do Mai i Ajaya. Tej małej się poszczęściło.

W święta Bożego Narodzenia i jeszcze przez następnych kilka tygodni w miasteczku aż huczy o tym, że owdowiały księgarz Ajay Fikry przygarnął porzucone dziecko. Dawno już nie było na wyspie tak wdzięcznego tematu do plotek – przynajmniej od czasu kradzieży *Tamerlana*. Ludzie roztrząsają w nieskończoność każdy najmniejszy szczegół. Wiele uwagi poświęca się

w tych rozmowach charakterowi Ajaya, który uchodzi za pozbawionego uczuć snoba. Trudno uwierzyć, że ktoś taki mógłby zaopiekować się dzieckiem tylko dlatego, że podrzucono mu je do sklepu. Właścicielka kwiaciarni przy tej samej ulicy opowiada, że któregoś dnia zostawiła w księgarni okulary przeciwsłoneczne, a gdy wróciła po nie nazajutrz, okazało się, że Ajay je wyrzucił. „Powiedział, że nie ma miejsca na biuro rzeczy znalezionych. A to były klasyczne ray-bany! Strach pomyśleć, co robi z żywym człowiekiem”. Co więcej, w ostatnich latach wielokrotnie namawiano Ajaya do udziału w życiu społecznym – zapraszano go na kiermasze charytatywne, pytano, czy nie zechciałby wesprzeć drużyny piłkarskiej albo wykupić reklam w księdze pamiątkowej miejscowego liceum. Księgarz za każdym razem odmawiał, i to nie zawsze w sposób uprzejmy. Nasuwa się tylko jedno wyjaśnienie: serce Ajaya zmiękło po utracie *Tamerlana*.

Miejscowe matki obawiają się, że dziewczynka będzie zaniedbywana. Co samotny mężczyzna może wiedzieć o wychowywaniu dzieci? Zaglądają więc do księgarni w poczuciu obowiązku, udzielają mu porad, a niekiedy nawet przynoszą drobne prezenty: stare krzeselka dziecięce, ubranka, kocyki, zabawki. Ku zaskoczeniu matek Maja jest czysta, wesola i grzeczna. Dopiero po wyjściu z księgarni zaczynają trajkotać o jej „tragicznej historii”.

Ajay znosi te wizyty ze spokojem. Rady na ogół puszcza mimo uszu. Prezenty przyjmuje, aczkolwiek później starannie je przebiera i dezynfekuje. Wie o trajkotaniu odbywającym się poza drzwiami księgarni, postanawia jednak, że nie będzie się nim przejmował. Stawia na ladzie żel do rąk, a obok napis: „Proszę zdezynfekować dłonie przed kontaktem z dzieciątkiem”. Maja lubi ludzkość, więc Ajay też stara się z nią zaprzyjaźnić. Zwłaszcza że te wszystkie kobiety bądź co bądź znają się na wielu rzeczach, na których on się nie zna, takich jak nauka korzystania z nocnika (przekupstwo działa), ząbkowanie (są lepsze i gorsze tacki do lodu) czy szczepionki (tę przeciwko ospie wietrznej można sobie darować). Okazuje się, że jeśli idzie o wiedzę wychowawczą, zasoby Google są rozległe, lecz płytkie.

Przy okazji odwiedzin u małej wiele kobiet decyduje się na zakup książek i czasopism. Ajay zaczyna zamawiać takie tytuły, o których jego klientki będą chciały dyskutować w swoim gronie. Przez pewien czas z dobrym przyjęciem spotykają się współczesne powieści o ambitnych kobietach uwięzionych w nieszczęśliwych małżeństwach; czytelniczki lubią, kiedy bohaterka wdaje się w romans, choć oczywiście same, broń Boże, nigdy by czegoś takiego nie zrobiły. Cała frajda polega na ocenianiu. Bohaterki, które porzucają dzieci, to

już o jeden most za daleko, choć miło jest, gdy mężowie giną w nieszczęśliwych wypadkach (zwłaszcza jeśli wdowa zakocha się w kimś innym). Z początku dużą popularnością cieszy się Maeve Binchy, lecz Margene, która w poprzednim życiu handlowała papierami wartościowymi, zarzuca jej szablonowość („Ile razy można czytać o kobiecie z prowincjonalnego irlandzkiego miasteczka, która zbyt młodo wychodzi za mąż za przystojnego, ale niedobrego mężczyznę?”). Ajay zostaje poproszony o dalsze rekomendacje.

– Skoro mamy się regularnie spotykać i dyskutować o książkach – mówi Margene – to przydałaby nam się większa różnorodność.

– Czy to klub czytelniczy? – pyta Ajay.

– A nie? Chyba pan nie myślał, że te wszystkie po-rady na temat dzieci były za darmo.

W kwietniu *Madame Hemingway*. W czerwcu *Żona godna zaufania*. W sierpniu *Amerykańska żona*. We wrześniu *Żona podróżnika w czasie*. Na grudzień Ajay, któremu nie przychodzi do głowy żadne inne przyzwoite książki z żoną w tytule, poleca im *Belcanto*.

– Aha, korona by panu z głowy nie spadła, gdyby rozszerzył pan dział książek obrazkowych – sugeruje Penelope, która zawsze wygląda, jakby padała z nóg. – Żeby dzieci też miały co poczytać.

Kobiety często przyprowadzają własne maluchy, żeby pobawiły się z Mają, więc jest to zupełnie sensowna uwaga. Nie mówiąc o tym, że Ajay ma już po dziurki w nosie *Potwora na końcu tej książki*. Dlatego choć dotąd w ogóle nie interesował się książkami obrazkowymi, postanawia zostać ekspertem w tej dziedzinie. Zależy mu, by Maja czytała książki obrazkowe o walorach literackich – o ile takie istnieją. Najlepiej współczesne. No i przede wszystkim feministyczne. Żadnych księżniczek. Okazuje się, że takie książki jak najbardziej istnieją. Do gustu przypadają mu zwłaszcza Amy Krouse Rosenthal, Emily Jenkins, Peter Sis i Lane Smith. Pewnego wieczoru Ajay stwierdza na głos:

– Prawdę powiedziawszy, książka obrazkowa ma w sobie tę samą elegancję, którą zawsze podziwiałem w opowiadaniach. Wiesz, co mam na myśli, Maju?

Mała kiwa głową z wielką powagą i przewraca stronę.

– Niesamowite, ile ci autorzy mają talentu – dodaje Ajay. – Zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Maja stuka palcem w książkę. Czytają razem *Groszka*<sup>6</sup>, opowieść o ziarnku grochu, które najpierw musi zjeść wszystkie słodczyce, zanim dostanie warzywa na deser.

– To się nazywa ironia – wyjaśnia Ajay.

– Aronia.

– Ironia.

Maja przekrzywia głowę. Ajay postanawia, że wytłumaczy jej to kiedy indziej.

Komendant Lambiase jest częstym gościem w księgarni. Aby uzasadnić swoje wizyty, kupuje książki. A ponieważ nie uznaje wyrzucania pieniędzy w błoto, czyta wszystko, co kupi. Z początku sięgał po książki skierowane do masowego odbiorcy, takich autorów jak Jeffery Deaver i James Patterson (przyjmując, że Patterson sam pisze swoje książki), potem jednak Ajay podnosi mu poprzeczkę, rekomendując powieści Jo Nesbø i Elmore'a Leonarda. Lambiase jest nimi zachwycony, więc Ajay idzie krok dalej i podsuwa mu najpierw Waltera Mosleya, a potem Cormaca McCarthy'ego. Jego najnowsza rekomendacja to *Historie jednej sprawy* Kate Atkinson.

Lambiase już od progu zaczyna mówić o książce.

– No więc w pierwszej chwili zupełnie mi się nie podobała, ale potem było coraz lepiej. – Opiera się o ladę. – Niby to książka o detektywie. Ale na początku niewiele się dzieje, jest dużo nierozwiązanych spraw. Ale potem pomyślałem sobie, że przecież takie jest życie. Nasza praca właśnie tak wygląda.

– Jest drugi tom.

Lambiase kiwa głową.

– Nie wiem, czy jestem na to gotowy. Bo jednak lubię, kiedy wszystko się wyjaśnia. Złoczyńcy zostają ukarani, dobry bohater triumfuje. Może wezmę coś jeszcze tego Elmore'a Leonarda. Swoją drogą, tak się zastanawiam. Może zorganizowalibyśmy klub książki dla policjantów? Myślę, że niektóre z tych rzeczy mogą się spodobać chłopakom z komisariatu. Przysyłałbym ich tutaj po książki, w końcu jestem ich szefem. Zresztą to nie muszą być sami policjanci, ale też sympatycy policji. – Lambiase wyciska sobie na dłoń trochę żelu do dezynfekcji, po czym podnosi Maję z podłogi. – Cześć, ślicznotko. Co u ciebie?

– Adopcja.

– Brawo, znasz trudne słowa! – Lambiase spogląda na Ajaya. – Ona mówi

serio? To się już stało?

Formalna procedura trwała tyle ile zwykle w takich wypadkach i dobiegła końca tuż po trzecich urodzinach Mai. Na niekorzyść Ajaya przemawiały przede wszystkim brak prawa jazdy (ze względu na zaniki świadomości nigdy go sobie nie wyrobił) i, rzecz jasna, fakt, iż jest samotnym mężczyzną, który nigdy w życiu nie opiekował się dzieckiem, psem ani nawet roślinką. Ostatecznie przeważało jednak wykształcenie, mocny związek z lokalną społecznością (poprzez księgarnię) oraz wola matki dziewczynki.

– Gratulacje dla moich ulubionych moli książkowych! – Lambiase podrzuca Maję w powietrze, łapie ją i sadza na podłodze. Pochyla się nad ladą i wyciąga dłoń w stronę Ajaya. – Nie no, muszę cię uściskać. W końcu to nie byle wiadomość. – Obchodzi ladę i obejmuje księgarza.

– Wypijmy za to.

Ajay podnosi Maję, sadza ją sobie na biodrze i cała trójka udaje się na górę. Kładzie Maję spać, co trwa wieczność (skomplikowany rytuał wieczornej toalety plus dwie książki obrazkowe od deski do deski), a Lambiase napoczyna butelkę.

– To teraz co, chrzciny? – pyta.

– Nie jestem chrześcijaninem. W ogóle nie jestem religijny.

Lambiase namyśla się, bierze łyk wina.

– Wiem, że odzywam się niepytany, ale myślę, że powinieneś przynajmniej urządzić jakieś małe przyjęcie zapoznawcze. Ona jest teraz Mają Fikry, prawda?

Ajay kiwa głową.

– Niech ludzie się dowiedzą – ciągnie Lambiase. – Mógłbyś też nadać jej drugie imię. Poza tym uważam, że powinienem zostać jej ojcem chrzestnym.

– A na czym dokładnie miałyby to polegać?

– No wiesz, powiedzmy, że Maja ma dwanaście lat i zostaje przyłapana w sklepie na próbie kradzieży. Mógłbym wtedy użyć moich wpływów, żeby jej pomóc.

– Maja nigdy nic nie ukradnie.

– Wszyscy rodzice tak myślą. Chodzi mi o to, że miałbyś mnie zawsze w odwodzie. Warto mieć kogoś w odwodzie. – Lambiase dopija wino. – Mogę ci pomóc urządzić przyjęcie.

– A na czym dokładnie miałyby polegać te niechrzciny?

– To nic wielkiego. Robisz je w księgarni. Kupujesz małej nową sukienkę. Ismay na pewno chętnie ci pomoże. Kupujesz trochę jedzenia w Costco. Może te duże muffiny? Moja siostra twierdzi, że jeden ma tysiąc kalorii. Do tego

jakieś mrożonki. Ale takie dobre. Krewetki w cieście kokosowym. Kawał sera pleśniowego. A skoro to nie będzie chrześcijańska impreza...

– Chciałbym zaznaczyć, że nie będzie też niechrześcijańska.

– Jasne. Chodzi mi o to, że możesz podać alkohol. Zaprosimy twoją szwagierkę ze szwagrem i wszystkie te paniusie, które do ciebie zaglądają, i każdego, komu leży na sercu dobro Mai, a zapewniam cię, że takich osób jest mnóstwo. Jako ojciec chrzestny mógłbym powiedzieć kilka słów, jeżeli nie masz nic przeciwko. Nie chodzi mi o modlitwę, bo wiem, że to nie twoje klimaty. Ale wiesz, życzyłbym małej wszystkiego dobrego na tej drodze zwanej życiem. A ty podziękowałbyś wszystkim za przybycie i wznieśliśmy toast za Maję. Potem wszyscy rozeszliby się zadowoleni do domów.

– Czyli coś jak impreza promująca książkę.

– Coś w tym rodzaju. – Lambiase nigdy nie był na imprezie promującej książkę.

– Nienawidzę takich imprez.

– Ale przecież jesteś księgarzem.

– Jest to pewien problem – przyznaje Ajay.

Niechrzciny Mai odbywają się tuż przed Halloweenem. Nie licząc kilkorga dzieci w halloweenowych kostiumach, przyjęcie wygląda z grubsza tak, jak to przedstawił Lambiase. Patrząc na słodką Maję w różowej sukience, Ajay doznaje w środku znajomego i lekko nieznośnego uczucia, czegoś jakby musowania. Ma ochotę roześmiać się na głos albo walnąć pięścią w ścianę. To takie uczucie, jakby był pijany albo przynajmniej miał w sobie bąbelki. Strasznie dziwne. Przez chwilę wydaje mu się, że to szczęście, ale potem stwierdza, że to jednak miłość. Miłość, Chryste Panie. Tak oto bierze w łeb jego piękny plan zapicia się na śmierć i doprowadzenia interesu do ruiny. Najgorsze, że kiedy człowiek zaczyna się troszczyć o jedną rzecz, nagle musi zatroszczyć się o całą resztę.

Nie, najgorsze jest to, że polubił Elma. Nawet krewetki w cieście kokosowym są na tekturowych tackach z jego podobizną. Na drugim końcu, w dziale bestsellerów, Lambiase wygłasza przemówienie złożone ze szczerych i skądinąd trafnych frazesów: o tym, jak Ajay wziął rzucone mu przez los cytryny i zrobił z nich lemoniadę, i że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, a gdy Bóg zamyka drzwi, to zawsze otwiera okno, i tak dalej. Uśmiecha się do Ajaya, ten odwzajemnia uśmiech i unosi kieliszek. I choć nie wierzy w Boga, zamyka oczy i dziękuje temu komuś, jakiejś wyższej sile,

z całego swojego kolczastego serca.

Ismay, którą Ajay wybrał na chrzestną, chwyta go za dłoń.

– Przepraszam, że was zostawiam, ale nie czuję się najlepiej.

– Zemdliła cię mowa Lambiase’a?

– Chyba się przeziębiam. Uciekam do domu.

Ajay kiwa głową.

– Zadzwoń wieczorem, dobrze?

Ale wieczorem dzwoni Daniel.

– Ismay jest w szpitalu – oznajmia beznamiętnie. – Znowu poroniła.

To już drugi raz w ciągu roku, a w sumie piąty.

– Jak się czuje? – pyta Ajay.

– Straciła trochę krwi. Jest zmęczona. Ale to twarda sztuka.

– To prawda.

– Głupia sprawa, ale niestety, muszę polecieć do Los Angeles wcześniej, niż myślałam. Wydzwaniam do mnie ludzie z wytwórni.

Ajay wiele się nasłuchał o ludziach z wytwórni.

– Byłbyś tak dobry i pojechał zająrzeć do niej do szpitala? I czy mógłbyś załatwić jej transport do domu?

Do szpitala Ajaya i Maję zawozi Lambiase. Ajay zostawia Maję pod opieką policjanta w poczekalni i udaje się do pokoju, w którym leży Ismay.

Szwagierka jest blada i ma zaczerwienione oczy.

– Przepraszam – mówi na jego widok.

– Ale za co, Ismay?

– Zasłużyłam sobie na to.

– Nieprawda. Nie powinnaś tak mówić.

– Daniel nie ma wstydu, że kazał ci po mnie przyjechać.

– Cieszę się, że mogę pomóc.

– Zdradza mnie. Wiesz o tym? Bez przerwy sypia z innymi kobietami.

Ajay milczy, choć podboje Daniela nie są dla niego tajemnicą.

– Oczywiście, że wiesz – mówi Ismay ochryłym głosem. – Wszyscy wiedzą.

Ajay nic nie odpowiada.

– Wiesz, ale nie chcesz powiedzieć. To pewnie jakiś źle pojęty męski kodeks honorowy.

Ajay podnosi wzrok. Kościste barki Ismay rysują się wyraźnie pod szpitalną koszulą, ale jej brzuch jest wciąż lekko zaokrąglony.

– Okropnie wyglądam. Wiem, co sobie myślisz.

– Nie, nie, myślałam właśnie o tym, że zapuszczasz włosy i że ci w nich

ładnie.

– Jesteś kochany. – Ismay podnosi się i próbuje go pocałować w usta.

Ajay się cofa.

– Lekarz mówi, że mogą cię już wypisać do domu, jeśli chcesz.

– Myślałam, że moja siostra zwariowała, wychodząc za ciebie, ale teraz widzę, że jesteś w porządku. Zaopiekowałeś się Mają. Odwiedzasz mnie w szpitalu. Takie gesty się liczą, Ajay. Chyba jednak zostanę tu na noc – dodaje, odwracając się od niego. – W domu nikogo nie ma, nie chcę być sama. To, co ci mówiłam wcześniej, to prawda. Nicole była tą dobrą. Ja jestem tą złą. I wyszłam za złego mężczyznę. I wiem, że źli ludzie zasługują na wszystko, co ich spotyka. Ale to nie znaczy, że lubimy samotność.



# Oczy całego świata<sup>7</sup>

1985, Richard Bausch

*Pyzata dziewczynka mieszkająca z dziadkiem trenuje przed szkolnym pokazem gimnastycznym.*

Zdziwisz się, jak bardzo będzie Ci zależało, żeby jej skok się udał. Bausch wydobywa niesamowite napięcie z pozornie błahego epizodu (no, ale na tym to w gruncie rzeczy polega). To opowiadanie uczy, że pokaz skoków może być równie dramatyczny jak katastrofa lotnicza.

Przeczytałem je po tym, jak zostałem ojcem, więc nie wiem, czy spodobałoby mi się tak bardzo p.e.M. (przed erą Mai). Są takie okresy w moim życiu, kiedy chętniej sięgam po krótką prozę. Jeden z tych okresów zbiegł się z Twoim wczesnym dzieciństwem – myślisz, Moja Droga, że miałem wtedy czas na czytanie powieści?

A.F.

Maja zwykle budzi się przed wschodem słońca, gdy jedynym słyszalnym dźwiękiem jest chrapanie Ajaya za ścianą. W piżamie ze stópkami człapie przez salon do pokoju Ajaya. Najpierw szepcze „tato, tato”. Jeżeli to nic nie da, zaczyna mówić na głos jego imię, a gdy i to nie pomaga – krzyczy. Kiedy słowa zawodzą, wskakuje na łóżko, choć wolałaby nie musieć uciekać się do takich ekscesów. Na szczęście dziś Ajay budzi się dość szybko.

– Wstawaj – komenderuje Maja. – Idziemy na dół.

Uwielbia schodzić na dół, bo na dole jest księgarnia, jej ulubione miejsce na świecie.

– Spodnie – mamrocze Ajay. – Kawa. – Z ust zionie mu zapachem mokrych od śniegu skarpet.

Między mieszkaniem a księgarnią jest szesnaście schodków. Maja ześlizguje się po nich na pupie, bo ma zbyt krótkie nogi, żeby pewnie stąpać. Potem drepcze na drugi koniec księgarni, mijając książki bez obrazków i kartki z życzeniami. Przesuwa dłonią po czasopiśmie, kręci obrotowym regałem z wydaniem kieszonkowymi. Dzień dobry, czasopisma! Dzień dobry, zakładki! Dzień dobry, książki! Dzień dobry, księgarnio!

Ściany księgarni są wyłożone deskami, które sięgają jej ponad głowę. Nad deskami zaczyna się niebieska tapeta. Żeby jej dotknąć, Maja musi stanąć na

krześle. Tapeta jest pokryta wypukłym wzorem w zawijasy. Maja lubi przywierać do niej policzkiem. Kiedyś przeczyta w pewnej książce słowo „adamaszek” i pomyśli: „Ależ tak, to jest nazwa tego materiału”. Będzie natomiast bardzo rozczarowana znaczeniem słowa „boazeria”.

Księgarnia jest szeroka na piętnaście Maj i długa na dwadzieścia. Maja to wie, bo któregoś popołudnia zmierzyła ją swoim ciałem. Miała przy tym szczęście, że żadna ściana nie okazała się dłuższa niż trzydzieści Maj, bo umiała wtedy liczyć tylko do trzydziestu.

Z jej przypodłogowej perspektywy ludzie to buty. Latem – sandały. Zimą – kozaki. Molly Klock nosi czasem czerwone, sięgające kolan buty na grubych podszwach. Ajay to czarne adidas albo buty do biegania. Lambiase nosi czarne skórzane półbuty. Ismay – kolorowe baletki. Daniel Parish – brązowe mokasyny z jednocentówką w środku.

Tuż przed otwarciem księgarni o dziesiątej rano Maja udaje się na swoje stanowisko, czyli do działu książek obrazkowych.

Każdy nowy tytuł musi najpierw powąchać. Zdejmuje obwolutę i zanurza twarz po uszy w książce. Większość z nich pachnie jak mydło taty, trawa, morze, stół w kuchni, ser lub wszystkie te rzeczy naraz.

Przygląda się obrazkom, próbując wydobyć z nich historię. Jest to zadanie męczące, ale mimo swych zaledwie trzech lat Maja rozpoznaje niektóre tropy. Na przykład w książkach obrazkowych zwierzęta nie zawsze są zwierzętami. Czasem symbolizują rodziców albo dzieci. Był to dla niej wielki przełom. Miś w krawacie może być ojcem. Miś z blond peruką – matką. Z obrazków można wiele wyczytać, ale obrazki potrafią też wprowadzić w błąd. Maja bardzo by chciała móc sama czytać.

Jednego ranka jest w stanie przebrnąć przez siedem książek, pod warunkiem że nikt jej nie przeszkadza. Ktoś jednak zawsze przeszkadza. Maja lubi większość klientów i stara się być dla nich miła. Rozumie, o co chodzi w tym interesie. Gdy do jej działu przychodzą dzieci, zawsze wciska im do rąk jakąś książkę. Potem dziecko idzie z książką do kasy, a rodzic zazwyczaj mu ją kupuje. „Naprawdę sam wybrałeś?” – pyta z uznaniem.

Raz ktoś zapytał Ajaya, czy Maja jest jego córką.

– Oboje macie ciemną skórę, ale każde inaczej.

Maja zapamiętała tę sytuację, bo Ajay się wtedy zdenerwował.

– Przepraszam, ale co właściwie próbuje pani powiedzieć?

– Ależ nie chciałam pana urazić – zapewniła go klientka i wycofała się w klapkach, klap, klap, do wyjścia, niczego nie kupiwszy.

O co chodziło tej pani? Maja w zamyśleniu przygląda się swoim dłoniom.

Jest wiele innych pytań, które chodzą jej po głowie.  
Co trzeba zrobić, żeby umieć czytać?  
Dlaczego dorośli lubią książki bez obrazków?  
Czy tata kiedyś umrze?  
Co będzie dzisiaj na lunch?

Lunch jest koło godziny pierwszej i pochodzi z baru kanapkowego. Maja dostała kanapkę z roztopionym serem. Ajay – tosty z indykiem. Maja lubi chodzić do baru kanapkowego, ale cały czas trzyma Ajaya za rękę. Nie chciałyby, żeby ją tam zostawił.

Po południu rysuje recenzje. Jabłko oznacza, że książka przeszła test zapachu. Kawałek sera – że jest dojrzała. Autoportret – że Mai podobają się obrazki. Wszystkie recenzje podpisuje swoim imieniem i przekazuje Ajayowi do wglądu.

Lubi zapisywać swoje imię.

MAJA.

Wie, że nazywa się Fikry, ale tego jeszcze nie potrafi zapisać.

Czasem, gdy wszyscy już sobie pójdą, wydaje się jej, że ona i Ajay są jedynymi ludźmi na świecie. Nikt nie jest tak prawdziwy jak on. Inni ludzie to tylko buty na różne pory roku. Ajay dosięga tapety bez wchodzenia na krzesło, umie jednocześnie obsługiwać kasę i rozmawiać przez telefon, dźwiga nad głową ciężkie pudła wypełnione książkami, zna różne niesłychanie długie słowa i wszystko wie. Kto mógłby się równać z Ajayem Fikrym?

O mamie nie myśli prawie wcale.

Wie, że jej mama nie żyje. I że śmierć jest wtedy, kiedy człowiek zasypia i już się nie budzi. Żal jej mamy, bo ludzie, którzy się nie budzą, nie mogą rano zejść na dół do księgarni.

Wie, że mama zostawiła ją w Island Books. Ale może tak się dzieje ze wszystkimi dziećmi w pewnym wieku? Jedne trafiają do sklepów z butami. Inne do sklepów z zabawkami. A jeszcze inne – do barów kanapkowych. Całe życie człowieka zależy od tego, gdzie go zostawią. Maja nie chciałyby mieszkać w barze z kanapkami.

Później, mając więcej lat, będzie częściej myśleć o matce.

Wieczorem Ajay zmienia buty i wsadza Maję do spacerówki. Wózek robi się dla niej za ciasny, ale nie narzeka, bo lubi przejażdżki. Lubi słyszeć oddech Ajaya. Lubi patrzeć na szybko przesuwany świat. Czasem Ajay

śpiewa. Czasem opowiada jej różne rzeczy. Mówi, że miał kiedyś książkę zatytułowaną *Tamerlan* i że była ona warta więcej niż wszystkie inne książki w księgarni razem wzięte.

– *Tamerlan* – powtarza Maja. Podoba jej się tajemnicze i melodyjne brzmienie tych sylab.

– Teraz wiesz, skąd się wzięło twoje drugie imię.

Wieczorem Ajay kładzie ją do łóżka i nakrywa kołdrą. Maja nawet gdy jest zmęczona, nie lubi chodzić spać. Najłatwiej przekupić ją czytaniem książki do snu.

– Jaką chcesz dzisiaj?

Od pewnego czasu stara się ją namówić, by nie czytali w kółko *Potwora na końcu tej książki*, dlatego jest zadowolony, gdy jej wybór pada na *Kapelusze na sprzedaż*<sup>8</sup>.

Maja już raz słuchała tej bajki, ale niewiele z niej zrozumiała. Bohaterem jest wędrowny sprzedawca kolorowych kapeluszy. Ucina sobie drzemkę, a wtedy stado małych kradnie mu towar. Maja ma nadzieję, że Ajaya nigdy coś podobnego nie spotka.

Marszczy brwi i obejmuje go za ramię.

– Co się stało? – pyta Ajay.

Maja łamie sobie głowę: po co małym kapelusze? Małe są zwierzętami. Może oznaczają kogoś innego, tak jak miś w peruce oznacza mamę. Ale co? Tyle myśli w głowie i tak mało słów.

– Czytaj.

Czasem do księgarni przychodzi pewna kobieta i czyta na głos Mai i innym dzieciom. Robi przy tym gesty i miny, podnosi i zniża głos dla większej dramaturgii. Maja ma ochotę powiedzieć jej, żeby się wyluzowała. Przywykła do tego, jak czyta Ajay – cicho i łagodnie. Przyzwyczała się do niego.

– A na samej górze sterta czerwonych kapeluszy – czyta Ajay.

Ilustracja przedstawia mężczyznę z mnóstwem kolorowych kapeluszy na głowie.

Maja kładzie rękę na dłoni Ajaya, żeby jeszcze nie przewracał strony. Spogląda to na obrazek, to na tekst. Nagle dociera do niej, że „czerwonych” znaczy czerwonych, nagle staje się to równie oczywiste jak to, że nazywa się Maja i że Ajay Fikry jest jej tatą, a księgarnia Island Books – najwspanialszym miejscem na świecie.

– Co się stało? – pyta Ajay.

– Czerwonych. – Chwyta jego dłoń i nakierowuje na to słowo.

## *Trudno o dobrego człowieka*

1953, Flannery O'Connor

*Rodzinna wycieczka przybiera nieoczekiwany obrót. To jedno z ulubionych opowiadań Amy (a wydaje się taka niewinna, prawda?). Gusta moje i Amy nie zawsze idealnie się pokrywają, ale tutaj się zgadzamy.*

Kiedy mi powiedziała, że to jej ulubione opowiadanie, domyśliłem się pewnych dziwnych i wspaniałych rzeczy o jej charakterze, ciemnych zakamarków, które chciałbym odkryć.

Pytani o politykę, Boga lub miłość, ludzie odpowiadają nudnymi kłamstwami. Jeżeli naprawdę chcesz się czegoś dowiedzieć o człowieku, zadaj mu jedno pytanie: jaka jest Twoja ulubiona książka?

A.F.

W drugim tygodniu sierpnia, na krótko przed pójściem do przedszkola, Maja dostaje okulary (okrągłe czerwone oprawki) i ataku ospy (okrągłe czerwone krostki). Ajay przeklina anonimową matkę, która napisała w internecie, że szczepionkę przeciwko ospie wietrznej można sobie darować. Maja cierpi. Ajay cierpi, bo Maja cierpi. Wysypało ją na twarzy, w dodatku zepsuła się klimatyzacja i nie da się spać. Ajay przynosi córce lodowate kompresy, dokładnie oskrobuje dla niej kawałki mandarynek, wkłada jej na dłonie skarpetki i czuwa przy łóżku.

Dzień trzeci, czwarta rano, Maja zasypia. Ajay jest wyczerpany, lecz rozbudzony. Wczoraj poprosił jedną ze swoich sprzedawczyń, żeby przyniosła mu z piwnicy kilka odbitek korektorskich. Niestety, sprzedawczyni jest nowa i pomyliła kupkę „Do przeczytania” z kupką „Na przemiał”. Ajay nie chce zostawiać Mai samej, postanawia więc przeczytać którąś z książek, które wcześniej odrzucił. Pierwsza z wierzchu to powieść dla młodzieży z martwym głównym bohaterem. Brr. Dwie najbardziej zniechęcające przez niego rzeczy (martwy narrator i powieść dla młodzieży) w jednym. Odrzuca papierowe truchło na bok. Następna to wspomnienia osiemdziesięciolatka, zatwardziałego kawalera, dawniej piszącego o nauce do różnych gazet na Środkowym Zachodzie, który ożenił się w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Jego wybranka zmarła dwa lata po ślubie, mając osiemdziesiąt trzy lata.

*Roślina późno kwitnąca* Leona Friedmana.

Ajay skądś kojarzy ten tytuł, ale nie pamięta skąd. Otwiera książkę i spomiędzy stron wylatuje wizytówka: Amelia Loman, Pterodactyl Press. Ach, no tak.

Tamto nieudane pierwsze spotkanie przed laty bynajmniej nie było ich ostatnim. Od tamtego czasu wymienili wiele serdecznych e-maili. Amelia Loman przyjeżdża trzy razy do roku, by zapoznać go z najlepiej rokującymi tytułami. Ajay w sumie spędził z nią około dziesięciu popołudni i niedawno doszedł do wniosku, że jest dobra w tym, co robi. Orientuje się w książkach ze swojej listy i ogólnie w bieżących trendach. Jest optymistką, ale nie buja w obłokach. Pamięta też o Mai – prawie zawsze przywozi jej książeczkę albo zabawkę i nigdy jej nie upupia. A ponieważ jest bardzo profesjonalna, ani razu nie wypomniała Ajayowi jego niegrzecznego zachowania podczas pierwszej wizyty. Chryste, był wtedy okropny. Wzdryga się na samo wspomnienie. W ramach pokuty postanawia dać szansę *Roślinie późno kwitnącej*, choć jest głęboko przekonany, że to nic w jego guście.

Książkę otwiera zdanie: „Mam osiemdziesiąt jeden lat i statystycznie rzecz biorąc, od czterech lat i siedmiu miesięcy powinienem być martwy”.

O piątej rano Ajay zamyka książkę i poklepuje ją po okładce.

Maja budzi się z lepszym samopoczuciem.

– Dlaczego płaczesz?

– Czytałem.

Amelia Loman nie wie, czyj to numer, ale natychmiast odbiera.

– Cześć, Amelio. Tu Ajay Fikry z Island Books. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że odbierzesz.

Amelia się śmieje.

– Fakt, jestem chyba ostatnim człowiekiem na świecie, który odbiera telefon.

– Tak, to niewykluczone.

– Kościół katolicki chce mnie ogłosić świętą.

– Święta Amelia, która odbierała telefon – podchwytuje Ajay. Dzwoni do niej po raz pierwszy.

– Nasze spotkanie za dwa tygodnie jest aktualne?

– Ależ tak. Prawdę mówiąc, zamierzałem ci się nagrać na pocztę głosową.

Amelia przybiera monotony głos.

– Tu Amelia Loman. Niestety, nie mogę w tej chwili odebrać, po usłyszeniu

sygnału zostaw wiadomość. Biiip.

– Hm.

– Biiip. No, dalej. Zostaw wiadomość.

– Uhm, cześć, Amelio. Mówi Ajay Fikry. Właśnie skończyłem czytać książkę, którą mi poleciłaś...

– Naprawdę? Którą?

– To zabawne, poczta głosowa do mnie mówi. To książka sprzed paru lat. *Roślina późno kwitnąca* Leona Friedmana.

– Nawet mi o niej nie przypominaj. To był mój absolutny faworyt tamtej zimy. Nikt nie chciał jej czytać. Bardzo mi się podobała. Uwielbiam ją. No ale cóż, jestem królową beznadziejnych spraw.

– Może to przez okładkę – mówi Ajay, byle coś powiedzieć.

– Jest fatalna. Pomarszczone stopy, kwiaty. Nikt nie ma ochoty myśleć o pomarszczonych stopach starych ludzi, a co dopiero kupować książkę z nimi na okładce. Później było jeszcze równie słabe wydanie w miękkiej oprawie, z czarno-białą obwolutą, jeszcze więcej kwiatów. Ale okładka w naszej branży jest jak piegowaty pasierb. Wszystko zwałamy na nią.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale dałaś mi *Roślinę późno kwitnącą* przy naszym pierwszym spotkaniu.

Amelia milczy przez sekundę.

– Naprawdę? No tak, to by się zgadzało. Zaczynałam wtedy pracę w Pterodactylu.

– Wiesz, muszę ci powiedzieć, że nie przepadam za wspomnieniami, ale ta książka jest niesamowita w swojej prostocie. Mądra i... – Ajay czuje się nagi, mówiąc o rzeczach, które silnie do niego przema-wiają.

– I jaka?

– Każde słowo jest właściwe i na swoim miejscu. To największy możliwy komplement, na jaki mnie stać. Żałuję tylko, że nie przeczytałem jej wcześniej.

– Skąd ja to znam. A co sprawiło, że w końcu po nią sięgnąłeś?

– Moja mała się rozchorowała i...

– O nie, biedna Maja! Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– To tylko ospa wietrzna. Siedziałem przy niej całą noc i akurat miałem tę książkę pod ręką.

– Cieszę się, że w końcu ją przeczytałeś. Namawiałam wszystkich znajomych, ale nikt mnie nie słuchał, ledwie zmusiłam własną mamę, żeby ją przeczytała.

– Czasem tak jest, że książka musi poczekać na właściwy moment.

- Powiedz to Leonowi Friedmanowi, na pewno się ucieszy.
  - W każdym razie zamówię karton w miękkiej oprawie, mimo że jest równie brzydka jak twarda. A latem, w sezonie turystycznym, moglibyśmy ściągnąć tego Friedmana na spotkanie autorskie.
  - O ile dożyje.
  - A jest chory?
  - Nie, ale ma chyba z dziewięćdziesiąt lat!
- Ajay się śmieje.
- No dobrze, czyli widzimy się za dwa tygodnie.
  - Może następnym razem mi uwierzysz, która książka z listy jest najlepsza.
  - Wątpię. Jestem stary, uparty i przekorny.
  - Nie taki znowu stary.
  - W porównaniu z Leonem Friedmanem. – Ajay odkasłuje. – A może zjemy razem obiad?

Wspólne posiłki nie są niczym niezwykłym w kontaktach między przedstawicielami handlowymi a księgarzami, jednak Amelia wyczuwa w jego tonie jakiś podtekst.

- Żeby omówić zimową ofertę, no jasne.
- Właśnie – Ajay przytakuje nieco za szybko. – Dla ciebie to długa wyprawa. Będiesz głodna. Głupio mi, że nigdy wcześniej ci tego nie zaproponowałem.
- Umówmy się w takim razie na późny lunch. Żebym zdążyła złapać ostatni prom do Hyannis.

Ajay postanawia zabrać Amelię do Pequoda, drugiego najlepszego na wyspie lokalu serwującego owoce morza. Restauracja numer jeden, El Corazon, jest zamknięta w porze lunchu, no i trochę zbyt nastrojowa jak na spotkanie służbowe.

Ajay zjawia się pierwszy i ma trochę czasu, by poroztrząsać słuszność swojego wyboru. Ostatni raz był tutaj, zanim przygarnął Maję. Teraz wystrój wydaje mu się nieco kiczowaty i nastawiony na turystów. Gustowne białe obrusy walczą o uwagę z harpunami, sieciami i pelerynami, nie wspominając o wyciosanym z drewna kapitanie, który stoi przy wejściu i częstuje gości mordoklejkami z wiadra. U sufitu wisi szklany wieloryb o małych, smutnych oczkach, które zdają się mówić: „Stary, trzeba było ją zaprosić do El Corazon”.

Amelia spóźnia się pięć minut.



– Pequod. Jak w *Moby Dicku* – zauważa. Jest ubrana w sukienkę, która wygląda jak ażurowa serweta założona na staromodną różową halkę. Jej kręcone blond włosy zdobi sztuczna stokrotka. Mimo słonecznej pogody ma na nogach kalosze. Wygląda w nich trochę jak harcerka, a trochę jak ktoś przygotowany na kataklizm.

– Lubisz *Moby Dicka*? – pyta Ajay.

– Nienawidzę. A wierz mi, że nieczęsto wyrażam się w ten sposób o książkach. Nauczyciele zadają go uczniom do czytania, rodzice są zadowoleni, bo ich dzieci czytają „coś wartościowego”. Ale to właśnie wmuszanie w dzieci takich cegieł sprawia, że nabierają wstrętu do książek w ogóle.

– Cieszę się, że mimo wszystko nie odwołałaś spotkania na widok szyldu.

– Och, przeszło mi to przez myśl – odpowiada Amelia z rozbawieniem w głosie. – Ale zaraz sobie uświadomiłam, że to tylko nazwa i raczej nie ma związku z jakością podawanych potraw. Zwłaszcza że przeczytałam kilka bardzo pochlebnych opinii w sieci.

– Nie ufasz mi?

– To nie tak. Po prostu lubię zawczasu wiedzieć, co będę jadła. Lubię – przeciąga sylaby – an-ty-cy-po-wać. – Otwiera kartę dań. – Widzę, że ponazywali drinki imionami postaci z książki. – Przewraca stronę. – Zresztą gdybym nie miała ochoty na lunch w tym miejscu, pewnie wymyśliłabym, że mam alergię na owoce morza.

– Zmyślona alergia. Bardzo chytrze.

– Tylko że teraz już się na to nie nabierzesz.

Kelner ma na sobie obszerną białą koszulę, która kłóci się z jego ciemnymi okularami i nastroszoną fryzurą. Hipster pirat.

– Ahoj, szczury lądowe – rzuca bez przekonania. – Polecam drinki tematyczne.

– Zwykle pijam Old Fashioned – mówi Amelia – ale jak tu się oprzeć drinkowi tematycznemu? Poproszę jednego Queequega. – Chwyta kelnera za dłoń. – Ale czy to jest dobre?

– Hm. Turystom raczej smakuje.

– No cóż. Skoro turystom smakuje...

– Nie rozumiem. Chce pani tego drinka?

– Tak, zdecydowanie – potwierdza Amelia. – Raz się żyje. – Uśmiecha się do kelnera. – Jeżeli okaże się okropny, nie będę miała do pana pretensji.

Ajay zamawia kieliszek czerwonego stołowego.

– To smutne – stwierdza Amelia. – Założę się, że nigdy w życiu nie

spróbowałeś Queequega, mimo że tu mieszkasz, sprzedajesz książki i pewnie nawet lubisz *Moby Dicka*.

– Najwyraźniej masz bardziej wyszukany smak ode mnie.

– Tak, właśnie to odkryłam. A ten drink pewnie odmieni moje życie.

Kelner przynosi drinka i wino.

– O, popatrz – mówi Amelia. – Krewetka przebita harpunikiem. Jak miło. – Wyjmuje telefon i robi zdjęcie. – Lubię robić zdjęcia drinkom.

– Są jak rodzina.

– Lepsze niż rodzina. – Amelia unosi kieliszek i stuka się z Ajayem.

– I co, dobry?

– Słonawy, owocowy, rybi. Coś jak gdyby koktajl krewetkowy postanowił mieć dziecko z Krwawą Mary.

– Brzmi okropnie.

Amelia bierze kolejny łyk i wzrusza ramionami.

– Smakuje mi coraz bardziej.

– Gdybyś mogła zjeść obiad w innej restauracji, która nazywa się jak książka, jaką byś wybrała?

– Hm, trudne. Może to głupio zabrzmie, ale na studiach robiłam się strasznie głodna, czytając *Archipelag Gułag*. Od tych opisów chleba i zupy w radzieckim obozie.

– Jesteś dziwna.

– Dzięki. A ty do jakiej najchętniej byś się wybrał?

– To nie do końca odpowiedź na twoje pytanie, ale zawsze chciałem spróbować rachatlukum z Narnii. Czytając w dzieciństwie *Lwa, czarownicę i starą szafę*, myślałem, że to musi być coś przepysznego, skoro Edmund dla tego czegoś zdradził rodzeństwo. Chyba musiałem o tym wspomnieć mojej żonie, bo któregoś razu w święta dostałem od niej pudełko rachatlukum. I okazało się, że to galaretka oprószona cukrem pudrem. Chyba nigdy w życiu nie byłem tak rozczarowany.

– To był oficjalny koniec twojego dzieciństwa.

– Od tamtej pory nic już nie było takie samo.

– Może magiczne rachatlukum Białej Czarownicy smakowało inaczej. Dużo lepiej.

– A może Lewis chciał przez to powiedzieć, że Edmund miał bardzo słaby charakter?

– Jesteś bardzo cyniczny.

– A ty próbowałaś rachatlukum?

– Nie.

– Będę musiał cię kiedyś poczęstować.

– A jeśli mi zasmakuje?

– Wtedy pewnie stracisz trochę w moich oczach.

– No cóż, na pewno nie będę kłamać tylko po to, żebyś mnie lubił. Szczerłość to jedna z moich największych zalet.

– Dopiero co mówiłaś, że byłaś gotowa udawać przede mną alergiczkę, żeby wymówić się od jedzenia w tej restauracji.

– Po prostu nie chciałam urazić stałego kontrahenta. Ale nigdy w życiu nie skłamałabym w tak ważnej sprawie jak rachatekum.

Zamawiają jedzenie. Amelia wyjmuje z torby katalog zimowy.

– A więc Pterodactyl.

– Pterodactyl – powtarza Ajay.

Amelia przelatuje listę tytułów, bez mrugnięcia okiem pomijając książki, które by go nie zainteresowały, a skupiając się na tych, z którymi wydawnictwo wiąże największe nadzieje. Najfajniejsze przymiotniki rezerwuje dla swoich faworytów. W rozmowach z niektórymi księgarzami warto powołać się na drukowane z tyłu okładki pochwały, często przesadne, wypowiedziane przez uznanych pisarzy. Z Ajayem jest inaczej. Na ich drugim lub trzecim spotkaniu nazwał takie rekomendacje „krwawymi diamentami branży wydawniczej”. Od tamtego czasu Amelia zdążyła trochę go poznać, co wiele ułatwia. „Zaczął mi ufać – myśli sobie – a może po prostu złagodniał pod wpływem dziecka” (takie myśli najlepiej zachować dla siebie). Ajay obiecuje przeczytać kilka egzemplarzy przedpremierowych.

– Mam nadzieję, że potrwa to krócej niż cztery lata.

– Zrobię, co w mojej mocy, by zmieścić się w trzech. – Po chwili milczenia dodaje: – Zamówmy deser. Na pewno mają jakieś „kaszalody” albo coś w tym rodzaju.

Amelia wydaje z siebie jęk.

– Ale suchar.

– Jeżeli mogę zapytać, dlaczego z tamtej listy wybrałaś właśnie *Roślinę późno kwitnącą*? Jesteś przecież młoda i...

– Nie taka młoda. Mam trzydzieści pięć lat.

– To młody wiek. W każdym razie raczej nie doświadczyłaś tego, o czym pisze Friedman. Patrzę na ciebie, myślę o tej książce i zastanawiam się, co takiego sprawiło, że do ciebie przemówiła.

– Och, panie Fikry, to bardzo osobiste pytanie. – Amelia pije drugiego Queequega. – Główny powód był oczywiście taki, że książka jest świetnie napisana.

– Oczywiście, ale to za mało.

– Powiedzmy, że kiedy ją czytałam, miałam za sobą wystarczająco dużo nieudanych randek. Jestem romantyczką, ale nieraz wydaje mi się, że przyszło mi żyć w nieromantycznych czasach. *Roślina późno kwitnąca* to powieść o tym, że wielką miłość można odnaleźć w każdym wieku. Wiem, to brzmi jak straszny banał.

Ajay kiwa głową.

– A ty? Dlaczego ci się spodobała?

– Jest świetnie napisana, bla, bla, bla.

– Ej, sam mówiłeś, że taka odpowiedź się nie liczy.

– Chyba nie chcesz słuchać moich smutnych opowieści?

– Pewnie, że chcę. Uwielbiam smutne opowieści.

Ajay streszcza jej historię śmierci Nicole.

– Friedmanowi udało się dotknąć istoty tego, co znaczy utracić bliską osobę. To nie jest jednorazowy cios. To się rozgrywa bez przerwy od nowa.

– Kiedy zginęła?

– Minęło już trochę czasu. Byłem wtedy niewiele starszy od ciebie.

– To chyba istotnie minęło sporo czasu.

Ajay ignoruje ten przytyk.

– Nie wiem, czemu *Roślina późno kwitnąca* nie odniosła sukcesu.

– Ja też nie. Chyba chciałabym, żeby przeczytano jakiś fragment na moim ślubie.

Ajay nie od razu odpowiada.

– A więc wychodzisz za męża. Gratulacje. Kto jest tym wybranym losu?

Amelia kręci harpunikiem w zabarwionych sokiem z pomidora wodach Queequega, usiłując złowić krnąbrną krewetkę.

– Nazywa się Brett Brewer. Poznałam go przez internet, kiedy już traciłam nadzieję.

Ajay wypija męty z dna drugiego kieliszka wina.

– Opowiedz mi o nim.

– Służy w armii, jest teraz w Afganistanie.

– Brawo. Wychodzisz za bohatera.

– Na to wygląda. – Amelia się uśmiecha.

– Nie znoszę takich facetów. Czuję się przy nich wybrakowany. Powiedz mi o nim coś, co sprawi, że poczuję się lepiej.

– Hm. Rzadko bywa w domu.

– Pewnie za nim tęsknisz.

– Owszem. Ale przynajmniej mam dużo czasu na czytanie.

– Dobrze i to. On też dużo czyta?

– Nie za wiele. Ale to nawet interesujące, prawda? To interesujące być z kimś, kto ma inne, hm, zainteresowania od moich. Nie wiem, czemu powtarzam w kółko to samo słowo. W każdym razie to dobry człowiek.

– Dobrze cię traktuje?

Amelia kiwa głową.

– To najważniejsze – stwierdza Ajay. – Zresztą nikt nie jest doskonały. Pewnie ktoś go kiedyś zmusił do czytania *Moby Dicka*.

Amelia nakłuwła krewetkę.

– O, mam ją. Twoja żona... dużo czytała?

– I pisała. Ale ja bym się tym w ogóle nie przejmował. Czytanie jest przereklamowane. Tyle teraz fajnych rzeczy w telewizji. Na przykład *Czysta krew*.

– Teraz się ze mnie nabijasz.

– Ależ skąd! Książki są dla dziwaków.

– Takich jak my.

Gdy kelner przynosi rachunek, Ajay płaci za nich oboje, mimo że w takich sytuacjach zwykle to przedstawiciel handlowy stawia obiad.

– Jesteś pewien? – pyta Amelia.

– Ty zapłacisz następnym razem.

Po wyjściu ściskają sobie dłonie i wymieniają służbowe uprzejmości. Amelia rusza w kierunku przystani. Ajay po długiej sekundzie odwraca się w stronę księgarni.

– Ajay – słyszy wołanie. – W byciu księgarzem też jest coś heroicznego. I w adoptowaniu dziecka.

– Robię, co mogę. – Ajay chyli czoło. W połowie ukłonu dociera do niego, że nie jest typem mężczyzny, któremu z tym do twarzy, i szybko się prostuje.

– Dziękuję, Amelio.

– Znajomi nazywają mnie Amy.

Maja nie pamięta, kiedy ostatnio Ajay miał tyle książek do przeczytania.

– Tato, dlaczego musisz tyle czytać?

– Mam kilka lektur nadobowiązkowych.

– Co to znaczy „nadobowiązkowych”?

– Na twoim miejscu sprawdziłbym w słowniku.

Przeczytanie wszystkich książek z oferty zimowej, nawet jeśli mowa o niewielkim wydawnictwie, a takim jest Pterodactyl, to nie lada wyzwanie

dla kogoś, kto musi opiekować się księgarnią i gadatliwym przedszkolakiem. Po każdej ukończonej książce Ajay wysyła Amelii e-mail ze swoimi przemyśleniami. Choć dostał od niej pozwolenie, nie potrafi się przemóc i pisać do niej per Amy. Od czasu do czasu, gdy książka naprawdę go zachwyci, dzwoni. Gdy uzna coś za chłam, pisze: „To nie dla mnie”. Jeszcze nigdy żaden kontrahent Amelii nie poświęcał jej tyle uwagi.

„Nie musisz czytać książek z innych wydawnictw?” – pyta go w esemesie.

Ajay długo zastanawia się nad odpowiedzią. Najpierw pisze: „Inne wydawnictwa nie mają tak miłych przedstawicieli”, ale dochodzi do wniosku, że to jednak zbyt śmiało, w końcu Amelia jest zaręczona z amerykańskim bohaterem. Ostatecznie wysyła wiadomość: „Po prostu wasza oferta jest wyjątkowo ciekawa”.

Zamawia tyle tytułów z Pterodactyla, że nawet szef Amelii zwraca na to uwagę.

– Chyba jeszcze nigdy tak mały klient nie zamówił u nas tylu książek – stwierdza. – Czyżby nowy właściciel?

– Nie, ten sam. Ale bardzo się zmienił – wyjaśnia Amelia.

– Musiałś go niezłe wkręcić. Ten facet nie bierze więcej, niż jest w stanie sprzedać. Harvey nigdy nie miał od niego tak dużych zamówień.

W końcu Ajay sięga po ostatnią książkę z listy. To uroczy pamiętnik o macierzyństwie, scrapbookingu i karierze pisarskiej pióra kanadyjskiej poetki, którą zawsze lubił. Zaledwie sto pięćdziesiąt stron, lecz przebrnięcie przez nie zajmuje mu dwa tygodnie. A to Maja go rozprasza, a to zasypia w połowie rozdziału. Wreszcie kończy, ale nie wie, co napisać. Książka jest napisana zgrabnym stylem i powinna trafić w gust jego klientek. Problem w tym, że to już ostatni tytuł z zimowej oferty Pterodactyla, a co za tym idzie, ostatni pretekst do kontaktu z Amelią przed sezonem letnim. Ajay bardzo ją polubił i wydaje mu się, że ona też go lubi, mimo fatalnego wrażenia, jakie sprawił przy pierwszym spotkaniu. Lecz Ajay Fikry nie należy do tych, którzy nie widzą niczego złego w podrywaniu cudzej narzeczonej. Nie wierzy w „jedną jedyną”. Na świecie są miliardy ludzi. Zresztą prawie nie zna Amelii Loman. Co jeśli uda mu się ją odbić, a potem okaże się, że nie pasują do siebie w łóżku?

Eseses od Amelii: „I jak? Nie spodobała Ci się?”.

„Obawiam się, że to nie dla mnie – odpisuje. – Pozostaje czekać na ofertę letnią. Serdeczności, Ajay”.

Amelia jest zaskoczona tą rzeczową, zbywającą odpowiedzią. Myśli, czy nie zadzwonić, ale rezygnuje i tylko pisze esemesa: „A tymczasem powinieneś

obejrzeć *Czystą krew*”. *Czysta krew* to ulubiony serial Amelii. Lubi powtarzać Ajayowi, że gdyby go obejrzał, na pewno polubiłby wampiry. Sama utożsamia się trochę z Sookie Stackhouse.

„Nic z tego, Amy – odpisuje Ajay. – Do zobaczenia w marcu”.

Do marca zostało cztery i pół miesiąca. Ajay przypuszcza, że do tego czasu jego zauroczenie minie lub w najgorszym razie przejdzie w stan uśpienia.

Cztery i pół miesiąca.

Maja pyta, czy coś się stało. Odpowiada, że jest mu smutno, bo długo nie będzie się widział z kimś, kogo bardzo lubi.

– Z Amelią?

– A ty skąd wiesz?

Maja przewraca oczami. Kto ją tego nauczył?

Tego wieczoru w księgarni spotyka się policyjny klub książki (tym razem komisarz wybrał *Tajemnice Los Angeles*). Po jego zakończeniu Lambiase i Ajay swoim zwyczajem idą na górę napić się wina.

– Poznałem kogoś – wyznaje Ajay po pierwszym kieliszku.

– To wspaniała nowina.

– Sęk w tym, że jest zaręczona.

– Czyli się spóźniłeś – ubolewa Lambiase. – Jako policjant z dwudziestoletnim stażem mogę śmiało powiedzieć, że w życiu człowieka najważniejsze nie jest to, co mu się przytrafia, tylko kiedy mu się to przytrafia.

– To chyba zbyt uproszczenie.

– Ależ nie, pomyśl. Gdyby nie ukradziono ci *Tamerlana*, nie zostawiałbyś otwartych drzwi, a wtedy Marion Wallace nie mogłaby podrzucić dziecka do księgarni. Wszystko szczęśliwie zbiegło się w czasie.

– No dobrze. Tylko że Amelię poznałem cztery lata temu. I dopiero przed kilkoma miesiącami zwróciłem na nią uwagę.

– Poznałeś ją w złym momencie. Krótko po śmierci żony. A potem zjawiła się Maja.

– To dość marne pocieszenie.

– Ale przynajmniej wiesz, że serce ci nie zardzewiało! Może chcesz, żebym cię z kimś umówił?

Ajay kręci głową.

– Nie krępuj się – nie odpuszcza Lambiase. – Znam wszystkie kobiety w tym mieście.

– Pewnie dlatego, że to bardzo małe miasto.

Na początek Lambiase umawia Ajaya ze swoją kuzynką: blondynką

z czarnymi odrostami, wyskubanymi brwiami, twarzą w kształcie serca i wysokim głosem przywodzącym na myśl Michaela Jacksona. Wydekoltowana bluzka i stanik podnoszący piersi tworzą smutną półeczkę, na której spoczywa wisiołek w kształcie jej imienia. Nazywa się Maria. W połowie obiadu (panierowane paluszki z mozzarelli) kończą im się tematy do rozmowy.

– Jaka jest twoja ulubiona książka? – próbuje z niej wyciągnąć Ajay.

Maria, przeżuując ser, chwyta się za wisiołek jak za różaniec.

– To jakiś test, prawda?

– Nie, tu nie ma złych odpowiedzi. Po prostu jestem ciekaw.

Maria pociąga łyk wina.

– Albo książka, która najbardziej zmieniła twoje życie. Próbuję cię lepiej poznać.

Maria znów sięga po wino.

– Albo chociaż ostatnia rzecz, jaką czytałaś?

– Ostatnia, jaką czytałam... – Marszczy brwi. – Ostatnio czytałam ten jadłospis.

– A ja twój naszyjnik.

Reszta obiadu przebiega w bardzo uprzejmej atmosferze. Ajay wie, że nigdy się nie dowie, co Maria lubi czytać.

Jakiś czas później Margene, jedna z jego klientek, umawia go ze swoją sąsiadką, dziarską strażaczką imieniem Rosie. Rosie ma nastroszone czarne włosy z niebieskimi pasemkami, imponującą muskulaturę ramion, huczny śmiech i krótkie paznokcie, które maluje na czerwono z pomarańczowymi plamkami w kształcie płomieni. Na studiach była mistrzynią w biegu przez płotki, lubi czytać o historii sportu, zwłaszcza wspomnienia sportowców.

Na ich trzeciej randce Ajay przerywa Rosie, gdy ta opisuje dramatyczny fragment z autobiograficznej książki José Canseca.

– Ale wiesz, że wszystkie te książki są pisane przez ghostwriterów?

Rosie odpowiada, że wie i w ogóle jej to nie przeszkadza.

– Ci wielcy ludzie od dziecka ciężko trenowali. Kiedy mieli się nauczyć pisać?

– Ale te książki... Chodzi mi o to, że w gruncie rzeczy to wszystko same kłamstwa.

Rosie przekrzywia głowę i stuka ognistymi paznokciami o blat.

– Jesteś snobem, mówił ci to ktoś? Nawet nie wiesz, ile tracisz.

– Coś już na ten temat słyszałem.

– Pamiętniki sportowców to samo życie. Ciężko pracujesz, osiągasz sukces,



ale potem twój organizm opada z sił i koniec.

– To brzmi trochę jak późny Philip Roth.

Rosie krzyżuje ramiona.

– Mówisz takie rzeczy, żeby się popisać, jaki jesteś mądry, prawda? A tak naprawdę chodzi ci o to, żeby druga osoba poczuła się głupia.

Tego wieczoru w łóżku, po seksie, który bardziej przypominał zapasy, Rosie przetacza się na bok i oznajmia:

– Nie wiem, czy chcę, żebyśmy się spotykali.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem – mówi Ajay, wsuwając spodnie. – Tym, co powiedziałem o pamiątnikach sportowców.

Rosie macha ręką.

– Nie przejmuj się tym. Taki już jesteś.

Ajay jest skłonny przyznać jej rację. Jest snobem, trudno z nim stworzyć udany związek. Będzie wychowywał córkę, prowadził księgarnię, czytał książki – i to powinno mu wystarczyć.

Ajay daje się przekonać szwagierce, że Maja powinna chodzić na lekcje tańca.

– Nie chcesz chyba pozbawiać jej możliwości rozwoju? – pyta Ismay.

– Oczywiście, że nie.

– No właśnie. Taniec jest ważny nie tylko ze względów fizycznych, ale też towarzyskich. Nie chcemy przecież, żeby Maja... opóźniła się w rozwoju.

– Sam już nie wiem. Zapisywanie małej dziewczynki na taniec – czy to nie jest kołtuństwo i seksizm?

Ajay ma wątpliwości, czy Maja odnajdzie się w tańcu. Już teraz, w wieku sześciu lat, robi wrażenie intelektualistki – nie rozstaje się z książką i lubi spędzać całe dni w domu i w księgarni.

– Nie jest opóźniona w rozwoju – podkreśla. – Czyta już książki, w których jest więcej tekstu niż obrazków.

– Nie chodzi mi przecież o rozwój umysłowy, tylko o to, że woli przebywać z tobą niż z rówieśnikami, a to raczej niezdrowe.

– Dlaczego niezdrowe? – Ajay czuje nieprzyjemne mrowienie w plecach.

– Bo będzie taka jak ty.

– A co w tym złego?

Ismay posyła mu wymowne spojrzenie, jak gdyby odpowiedź na to pytanie była oczywista.

– Posłuchaj mnie, Ajay. Żyjecie z Mają we własnym odseparowanym świecie. Nie umawiasz się z nikim...

– Umawiam się.

– Nie podróżujecie...

– Przecież tu nie chodzi o mnie.

– Przestań się ze mną kłócić. Chciałeś, żebym była chrzestną, więc radzę ci, żebyś zapisał córkę na taniec. Ja zapłacę, skończmy już tę dyskusję.

Na Alice Island działa tylko jedna szkoła tańca i tylko jedna grupa dla pięcio- i sześciolatek. Właścicielka i zarazem instruktorka, sześćdziesięcioletnia madame Olenska, nie ma nadwagi, ale nadmiar skóry wskazywałby, że kiedyś miała grubsze kości. Jej palce, zawsze obsypane klejnotami, zdają się mieć o jeden staw za dużo. U dzieci budzi jednocześnie podziw i strach. Ajay ma podobne odczucia. Gdy pierwszy raz przyprowadza Maję na zajęcia, madame Olenska oznajmia z rosyjskim akcentem:

– Panie Fikry, jest pan pierwszym mężczyzną od dwudziestu lat, który postawił stopę w mojej szkole tańca. Zamierzam pana wykorzystać.

W jej ustach brzmi to jak propozycja erotyczna, okazuje się jednak, że chodzi o pracę fizyczną. Przed występem świątecznym Ajay pomaga zbudować i pomalować wielką drewnianą skrzynię, by wyglądała jak kolorowy klocek, przygotować za pomocą pistoletu na klej wielkie sztuczne oczy i kwiaty, zrobić ze lśniących wyciorów do fajek wąsy i czułki. Prawdopodobnie już nigdy nie pozbędzie się brokatu spod paznokci.

Tej zimy spędza dużo czasu w towarzystwie madame Olenskiej i wiele się o niej dowiaduje. Na przykład tego, że spośród wszystkich uczennic największy sukces osiągnęła jej własna córka, która występuje na Broadwayu i z którą madame Olenska od dziesięciu lat nie zamieniła ani słowa.

– Niech pan nie dopuści, żeby coś podobnego przydarzyło się panu. – Wymachuje mu przed nosem trójstawowym palcem, spogląda teatralnie w okno, po czym z wolna odwraca się z powrotem w stronę Ajaya. – Wykupi pan reklamę księgarni w programie, tak.

To nie jest pytanie. Island Books staje się jedynym sponsorem przedstawienia *Dziadek do orzechów, Rudolf i przyjaciele*. Na ostatniej stronie programu ukazuje się świąteczny kupon rabatowy. Mało tego, Ajay funduje koszt pełen książek okołotanecznych jako nagrodę w loterii, z której dochód zostanie przeznaczony na Balet Bostoński.

Stojąc przy stoliku z losami, zmęczony i podziębiony, ogląda pokaz. Uczestnicy są podzieleni według poziomu zaawansowania, grupa Mai występuje jako pierwsza. Maja jest żywiołową, lecz niezbyt zwinną myszą. Biega co tchu. Marszczy nos po mysie. Macha ogonem z wyciorów, które Ajay własnoręcznie zaplatał. Kariera tancerki raczej nie jest jej pisana.

Stojąca obok Ismay podaje mu chusteczkę.

– Zimno – zauważa Ajay.

– Zimno, zimno.

Po wszystkim madame Olenska zwraca się do niego:

– Dziękuję panu, panie Fikry. Dobry z pana człowiek.

– Może po prostu mam dobrą córkę. – Ajay musi jeszcze odebrać swoją mysz z przebieralni.

– Tak, ale to za mało. Powinien pan sobie znaleźć dobrą kobietę.

– Moje życie mi odpowiada.

– Myśli pan, że dziecko wystarczy, ale dziecko dorasta. Myśli pan, że praca wystarczy, ale praca to nie to samo co ciepłe ciało.

Ajay zaczyna podejrzewać, że madame Olenska jest już po kilku głębszych.

– Wesołych świąt, madame.

W drodze do domu zastanawia się nad słowami nauczycielki. To już siódmy rok, od kiedy jest sam. Ciężko pogodzić się ze stratą, ale poza tym nawet dobrze mu samemu. Zresztą nie zależy mu na pierwszym lepszym ciepłym ciele. Zależy mu na Amelii Loman, na jej wielkim sercu i brzydkich ubraniach. Albo przynajmniej na kimś podobnym.

Zaczyna padać śnieg, płatki osiadają na mysich wąsach Mai. Ajay zrobiłby jej zdjęcie, ale nie chce mimo woli odgrywać scenki pod tytułem *Człowiek zatrzymuje się, żeby zrobić zdjęcie*.

– Ładnie ci z wąsami – mówi.

Ten niewinny komplement wywołuje lawinę uwag na temat pokazu, lecz Ajay jest rozkojarzony.

– Maju, czy wiesz, ile ja mam lat?

– Wiem. Dwadzieścia dwa.

– Obawiam się, że dużo więcej.

– Osiemdziesiąt dziewięć?

– Mam... – Ajay czterokrotnie unosi obie dłonie, a na koniec trzy palce.

– Czterdzieści trzy?

– Brawo. Mam czterdzieści trzy lata i życie nauczyło mnie, że lepiej kogoś kochać i utracić niż bla, bla, bla i że lepiej żyć samotnie niż z kimś nie do końca w moim guście. Zgadzasz się ze mną?

Maja uroczyście kiwa głową, omal nie gubiąc mysich uszu.

– Ale jednak czasem mam dość tej życiowej mądrości. – Ajay spogląda na stropioną twarz córki. – Mokro ci w stopy?

Maja kiwa głową. Ajay kuca, by mogła mu się wdrapać na grzbiet.

– Obejmij mnie za szyję.

Potem wstaje z cichym stęknieniem.

- Urosłaś trochę.
- Co to? – Maja chwyta go za płatek ucha.
- Miałem tam kiedyś kolczyk.
- Dlaczego? Byłeś piratem?
- Byłem młody.
- Miałeś tyle lat ile ja?
- Więcej. I poznałem pewną dziewczynę.
- Dziewkę?

– Kobietę. Lubiła taki jeden zespół, The Cure, i wpadła na pomysł, że przekłuje mi ucho.

Maja myśli.

- Miałeś papugę?
- Nie. Miałem dziewczynę.
- Czy ta papuga umiała mówić?
- Nie, bo nie było żadnej papugi.

Maja nie ustępuje.

- Jak się wabiła?
- Nie miałem papugi.
- Ale gdybyś miał, jak byś ją nazwał?
- Trzymaj się mocno, bo spadniesz. Może miała na imię Amy?
- Papuga Amy. Wiedziała. A miałeś statek?
- Tak. Z mnóstwem książek. Właściwie to była raczej pływająca biblioteka.

Dużo czytaliśmy.

- No nie. Wszystko zepsułeś.
- Ale to prawda, Maju. Są piraci, którzy mordują, i są piraci, którzy siedzą z nosem w uczonych księgach. Ja należałem do tych drugich.

Zimą wyspa nigdy nie cieszy się dużą popularnością wśród turystów, ale w tym roku pogoda jest wyjątkowo niełaskawa. Drogi zamieniły się w ślizgawki, promy nie kursują czasem przez kilka dni z rzędu. Nawet Daniel Parish jest zmuszony siedzieć w domu. Coś tam pisze, unika żony, a resztę czasu spędza z Mają i Ajajem.

Maja, jak większość kobiet, lubi Daniela. Gdy przychodzi do księgarni, nie rozmawia z nią jak z kretyką tylko dlatego, że jest dzieckiem. Maja ma dopiero sześć lat, ale jest bardzo wyczulona na tym punkcie. A Daniel zawsze pyta ją, co czyta i czy jej się podoba. Poza tym ma krzaczaste jasne brwi

i głos, który kojarzy się z adamaszkiem.

Pewnego popołudnia, już w nowym roku, czytają razem na podłodze księgarni.

– Wujku – odzywa się Maja – mam pytanie. Czy ty nigdy nie chodzisz do pracy?

– Pracuję w tej chwili.

Maja zdejmuje okulary i przeciera je koszulą.

– Nie wyglądasz, jakbyś pracował. Wyglądasz, jakbyś czytał. Nie masz pracy, do której musisz chodzić? Lambiase jest policjantem – dodaje tytułem wyjaśnienia. – Tata jest księgarzem. A ty kim jesteś?

Daniel bierze ją na ręce i zanosí do działu z miejscowymi autorami. Z uprzejmości dla szwagra Ajay wystawia na półkach wszystkie książki jego autorstwa, mimo że sprzedaje się tylko debiut, *Dzieci wśród liści jabłoni*. Daniel pokazuje palcem grzbiet ze swoim nazwiskiem.

– To ja. To moja praca.

Maja robi wielkie oczy.

– Daniel Parish. Piszesz książki. Jesteś... – wymawia to słowo z nabożeństwem – pisarzem. O czym jest ta książka?

– O człowieku i jego szaleństwach. To romans i tragedia w jednym.

– To bardzo ogólne – zauważa Maja.

– Bohaterką jest pielęgniarzka, która przez całe życie opiekowała się innymi ludźmi. Zostaje ranna w wypadku samochodowym i pierwszy raz sama potrzebuje opieki.

– To chyba nie dla mnie.

– Trochę ckliwe, co?

– Nieee. – Maja nie chce sprawić Danielowi przykrości. – Wolę książki, w których więcej się dzieje.

– Naprawdę? Ja też. Ale wiesz co? Czytając, uczę się lepiej pisać.

Maja myśli.

– Ja też chcę być pisarzem.

– Nie ty jedna, skarbie.

– Jak się zostaje pisarzem?

– Jak już wspomniałem, trzeba dużo czytać.

Maja kiwa głową.

– Dużo czytam.

– I mieć wygodne krzesło.

– Mam takie.

– W takim razie jesteś na dobrej drodze – mówi Daniel i stawia ją na ziemi.

- Reszty nauczę cię później. Fajnie się z tobą rozmawia, wiesz?
- Tata też tak mówi.
- Wie, co mówi. Szczęściarz z niego. I z ciebie też.
- Ajay woła Maję na obiad. – Może zjesz z nami? – pyta Daniela.
- Dla mnie to trochę za wcześnie. Poza tym mam dużo pracy. – Puszczą do niej oko.

Nareszcie przychodzi marzec. Na drogach panuje od-wilż, wszystko pokrywa breja. Promy kursują normalnie, Daniel Parish też. Na wyspę zjeżdżają przedstawiciele handlowi z ofertą na lato. Ajay jest wobec nich nadzwyczaj gościnny. Zaczyna nosić krawat – daje w ten sposób znać Mai, że jest „w pracy”, a nie „w domu”.

Z Amelią umawia się na sam koniec, zapewne dlatego, że jej wizyty wyczekuje najbardziej. Na dwa tygodnie przed spotkaniem wysyła esemesa: „Może być Pequod? Czy wolisz gdzie indziej?”.

„Tym razem ja stawiam Queequegi. Obejrzałeś już *Czystą krew*?”.

Tego roku zima wyjątkowo nie sprzyjała życiu towarzyskiemu, więc wieczorami, gdy Maja spała, Ajay obejrzał wszystkie cztery sezony *Czystej krwi*. Uwiął się z tym dość szybko, bo ku jego zaskoczeniu serial okazał się wciągającym skrzyżowaniem południowego gotyku Flannery O’Connor z *Zagładą domu Usherów* albo *Kaligulą*. Zamierza olśnić Amelię wiedzą na jego temat.

„Przekonasz się sama, jak przyjedziesz” – pisze do niej, ale nie wciska „wyślij”, bo dochodzi do wniosku, że to zbyt śmiało. Nie mówiła mu, kiedy ma się odbyć ślub, kto wie, czy nie jest już mężatką. „Do zobaczenia w następny czwartek”.

W środę odbiera telefon z nieznanego numeru. Okazuje się, że to Brett Brewer, amerykański bohater. Mówi z południowym akcentem, jak Bill z *Czystej krwi*. Ajay ma wrażenie, że brzmi to nieco sztucznie, ale oczywiście nie przychodzi mu do głowy żaden powód, dla którego amerykański bohater udawałby południowy akcent.

– Dzień dobry, mówi Brett Brewer, dzwonię w imieniu Amelii. Miała wypadek i prosiła, żebym panu powiedział, że musi odwołać spotkanie.

Ajay stara się oddychać spokojnie. Rozluźnia krawat.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Tyle razy jej mówiłem, żeby nie łaźniła w tych swoich kaloszach. Są dobre na deszcz, ale na lodzie można się w nich zabić. Poślizgnęła się na

obludzonych schodach i złamała nogę w kostce. Wiedziałem, że tak będzie. Operują ją teraz. Nic poważnego, ale pewnie jakiś czas będzie unieruchomiona.

– Proszę ode mnie pozdrowić narzeczoną.

Cisza. Ajay przez chwilę myśli, że połączenie się przerwało.

– Dobra – odpowiada Brett Brewer i się rozłącza.

Ajay cieszy się, że Amelii nie stała się poważna krzywda, ale jest mu przykro, że się nie zobaczą (i że według wszelkich oznak amerykański bohater wciąż stoi na jego drodze).

Rozważa wysłanie Amelii kwiatów lub książki, ale ostatecznie decyduje się na esemesa. Próbuje sobie przypomnieć jakiś cytat z *Czystej krwi*, coś, co by ją rozbawiło. Radzi się w tej sprawie nawet Google, lecz wszystkie cytaty wydają mu się zbyt śmiałe. „Przykro mi, że miałaś wypadek – pisze. – Byłem bardzo ciekaw letniej oferty Pterodactyla. Mam nadzieję, że uda nam się wkrótce spotkać. Muszę ci napisać coś jeszcze, choć bardzo się wstydzę: «Kupowanie Jasonowi Stackhouse’owi wampirzej krwi to jak kupowanie cukierków cukrzykowi»”.

Sześć godzin później dostaje odpowiedź: „OBEJRZAŁEŚ!!!”.

Ajay: „Tak”.

Amelia: „Może omówimy ofertę przez telefon albo na Skype?”.

Ajay: „Co to jest Skype?”.

Amelia: „W jakim ty świecie żyjesz?”.

Dowiedziawszy się, czym jest Skype, Ajay stwierdza, że to dobry pomysł.

Cieszy się, że może ją zobaczyć, choćby na ekranie komputera. Słucha jej opowieści o książkach z listy, lecz ledwie może się na nich skupić. Fascynują go wszystkie przedmioty, które widzi w kadrze: kamionkowy dzban z usychającym słonecznikiem, dyplom ukończenia studiów, chyba z Vassar College, figurka Hermiony Granger z ogromną głową, oprawione zdjęcie przedstawiające młodą Amelię z dwojgiem ludzi, zapewne z rodzicami, lampa osłonięta szalem w kropy, zszywacz w kształcie ludzików Keitha Haringa, jakaś stara książka, której tytułu Ajay nie może odczytać, buteleczka brokatowego lakieru do paznokci, nakręcany homar, zestaw plastikowych wampirzych kłów, nienapoczęta butelka dobrego szampana...

– Ajay, słuchasz mnie?

– Tak, oczywiście. Tylko że... – „Gapię się na twoje rzeczy?” – ...nie jestem przyzwyczajony do skype’owania. Czy można zrobić ze Skype’a czasownik?

– Słownik oxfordzki chyba jeszcze nie wypowiedział się w tej sprawie, ale jeśli o mnie chodzi, nie krępuj się. Mówiłam, że w tym roku Pterodactyl ma

w ofercie letniej nie jeden, ale dwa zbiory opowiadań.

Amelia zaczyna mu o nich opowiadać, a Ajay powraca do szpiegowania. Co to za książka? Na pewno nie słownik ani nie Biblia, bo zbyt cienka. Pochyla się i mruży oczy, lecz połączone litery są wytarte, a obraz z kamery rozmazany. Amelia kończy swój wywód. Wyraźnie oczekuje odpowiedzi.

– Tak, bardzo chętnie je przeczytam.

– Świetnie. – Uśmiecha się. – Wyślę ci je dzisiaj albo jutro. To tyle, jeśli chodzi o lato.

– Mam nadzieję, że do jesieni wydobrejesz i będziesz mogła przyjechać.

– Na pewno.

– Co to za książka?

– Jaka książka?

– Ta stara, oparta o lampę na stoliku za tobą.

– Ach, ta. Chciałbyś wiedzieć, co? Moja ulubiona. Dostałam ją od taty z okazji ukończenia studiów.

– Jaki ma tytuł?

– Może ci kiedyś pokażę, jak mnie odwiedzisz w Providence.

Ajay spogląda jej w oczy. Pomyślałby, że to flirt, lecz Amelia nawet nie podniosła wzroku znad notesu, w którym właśnie coś notowała. A mimo to...

– Brett Brewer wydaje się miłym facetem.

– Słucham?

– No wiesz, dzwonił do mnie, żeby powiedzieć, że jesteś kontuzjowana i nie przyjedziesz.

– No tak.

– Ma głos trochę jak Bill z *Czystej krwi*.

Amelia się śmieje.

– No proszę, teraz wszystko kojarzy ci się z tym serialem. Powiem to Brettowi, jak będę się z nim widzieć.

– Swoją drogą, kiedy wasz ślub? A może jesteście już po?

Amelia podnosi wzrok.

– Ślub jednak odwołany.

– O. Przykro mi to słyszeć.

– To się stało w okolicach Bożego Narodzenia.

– Myślałem, że skoro do mnie zadzwonił...

– Akurat był u mnie. Staram się pozostawać w przyjacielskich stosunkach z moimi byłymi. Taka już jestem.

– Co się stało? – Ajay wie, że jest wścibski, ale nie może się powstrzymać.

– Brett jest super, ale prawda jest taka, że niewiele nas łączy.



– Człowiek jednak szuka kogoś o podobnej wrażliwości – zauważa Ajay.  
Dzwoni telefon Amelii.

– To moja mama. Muszę odebrać. To co, widzimy się za parę miesięcy?

Ajay kiwa głową. Połączenie zostaje przerwane, a status Amelii zmienia się na „zaraz wracam”.

Otwiera przeglądarkę i wpisuje do wyszukiwarki: „atrakcje dla rodzin z dzieckiem Providence Rhode Island”. Niestety, nie pojawia się nic szczególnego – nic, czego nie można zrobić w Bostonie. Muzeum dla dzieci, muzeum lalek, latarnia i tak dalej. Ostatecznie wybór pada na Ogród Rzeźby Roślinnej w Portsmouth. Jakiś czas temu Ajay i Maja czytali książkę z obrazkami, w której pojawiały się krzewy w kształcie zwierząt. Zaciekały ją. Poza tym chyba dobrze jest od czasu do czasu wybrać się na stały ląd, prawda? Pokaże Mai zielone zwierzęta, a potem zahaczą o Providence i odwiedzą chorą znajomą.

– Maju – zwraca się do córki tego wieczoru przy kolacji – co byś powiedziała, gdybyśmy pojechali obejrzeć żywoptot w kształcie wielkiego słońca?

Maja posyła mu badawcze spojrzenie.

– Masz dziwny głos.

– Będzie fajnie, zobaczysz. Pamiętasz tę książkę, w której były rzeźby roślinne?

– To było dawno. Byłam wtedy mała.

– Ale pamiętasz. No więc znalazłem ciekawy ogród z takimi rzeźbami. A i tak chciałem się wybrać do Providence, żeby odwiedzić chorą znajomą, więc pomyślałem, że moglibyśmy przy okazji tam pojechać. – Wyjmuje komputer i pokazuje zdjęcia ze strony internetowej ogrodu.

– Dobrze – odpowiada poważnie Maja. – Chciałabym je zobaczyć. – Zwraca Ajayowi uwagę, że według informacji na stronie ogród znajduje się w Portsmouth, a nie w Providence.

– Z Portsmouth jest bardzo blisko do Providence. Rhode Island to najmniejszy stan.

Okazuje się jednak, że Portsmouth i Providence wcale nie są aż tak blisko siebie. Wprawdzie kursuje między nimi autobus, ale najłatwiej dostać się tam samochodem, a Ajay nie ma prawa jazdy. Dzwoni do Lambiase’a i proponuje mu wspólną wycieczkę.

– Naprawdę tak jej się spodobały rzeźby z roślin?

– Ma bzika na ich punkcie.

– Muszę powiedzieć, że to dość nietypowa pasja jak na dziecko.

– Maja nie jest typowym dzieckiem.  
– Ale czy środek zimy to na pewno najlepszy czas na zwiedzanie takiego ogrodu?

– Już prawie wiosna. Poza tym wiesz, jak dzieciom wszystko szybko się zmienia. Za dwa miesiące może sobie znaleźć inne hobby.

– To prawda, dzieci są zmienne.

– Jeżeli nie chcesz jechać, to cię nie zmuszam.

– Dobra, pojedę. Kto by nie chciał zobaczyć wielkiego zielonego słonia? Tylko że nieraz w życiu bywa tak, że wybierasz się z kimś na wycieczkę, a potem okazuje się, że ta wycieczka wygląda inaczej, niż sądziłeś. Wiesz, co mam na myśli? I dlatego chciałbym wiedzieć, jaki jest cel tej wycieczki. Czy jedziemy zobaczyć ogród, czy może mamy w planach coś jeszcze? Na przykład wizytę u twojej przyjaciółki?

Ajay wzdycha.

– Owszem, przeszło mi przez myśl, że moglibyśmy też odwiedzić Amelię.

Nazajutrz pisze do niej esemesa: „Zapomniałem ci powiedzieć, że w następny weekend wybieramy się z Mają do Rhode Island. Może po prostu wpadłbym po te książki?”

Amelia: „Nie mam ich w domu. Wszystkie paczki idą z Nowego Jorku”.

Ajay wzdycha. Powinien był przewidzieć taką ewentualność.

Parę minut później kolejny esemes od Amelii: „A właściwie to co was sprowadza do Rhode Island?”

Ajay: „Jedziemy do ogrodu z rzeźbami roślinnymi. Maja je uwielbia”.

Amelia: „Nie wiedziałam, że jest tam coś takiego. Chętnie bym dołączyła, ale ciągle jestem niepełnosprawna ruchowo”.

Ajay odpisuje po kilku minutach: „Może chciałabyś, żebyśmy cię odwiedzili?”

Amelia nie odpowiada. Ajay odbiera to milczenie jako znak, że nie potrzeba jej gości.

Nazajutrz przychodzi wiadomość: „Jasne. Będzie mi miło. Przyjedźcie głodni, ugotuję coś”.

– Trochę widać, musisz tylko stanąć na palcach.

Wyruszyli w drogę o siódmej rano, przyплыли promem do Hyannis, a potem jechali dwie godziny do Portsmouth – tylko po to, by dowiedzieć się, że od listopada do maja Ogród Rzeźby Roślinnej jest zamknięty.

Ajay unika wzroku Mai i Lambiase’a. Temperatura jest poniżej zera, lecz

uczucie wstydu skutecznie ogrzewa go od wewnątrz.

Maja wspina się na palcach, a gdy to nic nie daje, zaczyna podskakiwać.

– Nic nie widzę.

– Chodź, pomogę ci. – Lambiase bierze ją na barana.

– Może i coś widać – mówi Maja bez przekonania. – Nie, nic nie widać.

Wszystkie są przysypane. – Dolna warga zaczyna jej się trząść. Patrzy na tatę wzrokiem pełnym żalu. Ajay nie może znieść tego spojrzenia.

Nagle na jej twarzy rozkwita uśmiech.

– Ale wiesz co, tato? Potrafię sobie wyobrazić, jak ten słoń wygląda pod śniegiem. I tygrys! I jednorożec! – Kiwa głową, jak gdyby mówiąc: „Teraz rozumiem, że zabrałeś mnie tutaj w środku zimy, żebym poćwiczyła wyobraźnię”.

– Cieszę się, Maju. – Ajay uważa się w tej chwili za najgorszego rodzica pod słońcem, lecz najwyraźniej jego córka wciąż w niego wierzy.

– Zobacz! – Maja zwraca się tym razem do Lambiase’a. – Jednorożec się trzęsie. Dobrze, że ma na sobie koc ze śniegu. Widzisz?

Ajay podchodzi do budki przy wejściu. Strażniczka posyła mu współczujące spojrzenie.

– Codziennie ktoś przyjeżdża – mówi na pocieszenie.

– Czyli myśli pani, że nie zafundowałem córce urazu na całe życie?

– Tego nie powiedziałam. Ale na pewno nie dzisiaj. Jeszcze żadne dziecko nie zeszło na złą drogę tylko dlatego, że nie obejrzało kilku zwierząt wyrzeźbionych z roślin.

– A jeśli jej ojcu tak naprawdę chodziło o to, żeby odwiedzić pewną ładną kobietę w Providence?

Strażniczka jak gdyby nie usłyszała tego pytania.

– Polecam w zamian zwiedzenie którejś z dziewiętnastowiecznych rezydencji. Dzieci są nimi zachwycone.

– Doprawdy?

– Przynajmniej niektóre. Warto spróbować. Może pańska córka zalicza się do tego grona.

Przed rezydencją Maja oznajmia, że fontanna przypomina jej *Z pomieszanego archiwum pani Basil E. Frankweiler*, książkę, której Lambiase nie czytał.

– Och, musisz ją przeczytać! Spodoba ci się. Jest o dziewczynce, która razem z bratem ucieka z domu...

– Ucieczka z domu to poważna sprawa. – Lambiase marszczy brwi. – Jako

policjant mogę cię zapewnić, że miejsce dzieci nie jest na ulicy.

– Idą do takiego dużego muzeum w Nowym Jorku – ciągnie Maja – i tam się ukrywają.

– To przestępstwo – wtrąca Lambiase. – Co najmniej naruszenie regulaminu zwiedzania. A kto wie, czy nie włamanie.

– Wujku – wzdycha Maja – nie rozumiesz.

Wychodzą z rezydencji w porze lunchu i udają się do Providence, by zameldować się w hotelu.

– Ty idź odwiedzić Amelię – proponuje Lambiase – a ja wezmę Maję do muzeum dla dzieci. Zrobię jej lekcję poglądową, dlaczego nie warto ukrywać się w muzeum. Zwłaszcza w świecie po jedenastym września.

– Och, nie musisz. – Ajay w zasadzie chciał zabrać Maję ze sobą, by zachować pozory niewinnych odwiedzin.

– Baw się dobrze – ucina Lambiase. – Od tego są ojcowie chrzestni.

Tuż przed piątą Ajay dociera pod dom Amelii. Przyniósł jej torbę pełną powieści Charlainie Harris, butelkę dobrego czerwonego bordo i bukiet słoneczników. Dzwoni do drzwi, po czym uznaje, że kwiaty to jednak zbyt wiele, i wpycha je prędko za poduszkę na gankowej huśtawce.

Amelia otwiera drzwi. Jej kolano spoczywa na specjalnym wózekczku na kółkach. Różowy gips z mnóstwem podpisów mógłby należeć do jakiejś bardzo lubianej przez rówieśników licealistki. Ubrana jest w elegancką granatową sukienkę mini, u szyi wisi jej szal w czerwony deseń. Wypisz wymaluj stewardesa.

– A gdzie Maja?

Ajay mówi jej o muzeum.

Amelia przekrzywia głowę i lekko się uśmiecha.

– Czy to aby nie jest randka?

Ajay czuje gorąco na twarzy. Zaczyna się tłumaczyć, że ogród był zamknięty.

– Och, żartuję tylko. Wchodź.

Dom jest zagracony, ale utrzymany w czystości. Kanapa obita fioletowym aksamitem, nieduży fortepian, stół jadalny na dwanaście osób, mnóstwo zdjęć przyjaciół i rodziny, kilka roślin doniczkowych w różnej kondycji, jednooki pręgowany kot Błotosmętek, no i oczywiście wszechobecne książki. Dom Amelii pachnie tym, co upiekła, czyli lazanie z pieczywem czosnkowym. Ajay zdejmuje buty, żeby nie nanieść błota.

– Twój dom do ciebie pasuje.

– Tak, wiem, ten sam bałagan i brak harmonii.

– Nazwałbym to raczej uroczym eklektyzmem. – Ajay odkasłuje zakłopotany.

Po obiedzie, przy drugiej butelce wina, zbiera się w sobie i pyta ją o rozstanie z Brettem Brewerem.

Amelia uśmiecha się delikatnie.

– Dobrze, powiem ci, jak było, ale nie chcę, żebyś sobie coś pomyślał.

– Obiecuję.

Amelia dopija wino z dna kieliszka.

– Jesienią, kiedy pisaliśmy do siebie dużo e-maili... Słuchaj, nie chcę, żebyś pomyślał, że zerwałam z nim z twojego powodu, bo to nie tak. Zerwałam z nim, bo rozmowa z tobą uświadomiła mi, jak ważną rzeczą w związku jest wspólna wrażliwość, wspólne pasje. To pewnie brzmi strasznie głupio.

– Nie.

Przymruża swoje ładne piwne oczy.

– Kiedy cię poznałam, byłeś dla mnie strasznie niemiły. Wciąż mam ci to za złe.

– Miałem nadzieję, że o tym zapomniawsz.

– O nie. Jestem bardzo pamiętliwa.

– Wiem, że byłem wtedy okropny. Na swoją obronę powiem tylko, że to był dla mnie bardzo ciężki okres. – Pochyla się nad stołem i odgarnia pukiel jasnych włosów z jej twarzy. – Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś podobna do dmuchawca.

Zawstydzona Amelia poklepuje się po głowie.

– Moje włosy to udreka.

– Ale ja uwielbiam dmuchawce.

– Czy to przypadkiem nie są chwasty?

– Jesteś naprawdę przepiękna.

– W szkole wołali na mnie Wielki Ptak.

– Przykro mi.

– Nawet mi to nie przeszkadzało. Powiedziałam o tobie mojej mamie. Twierdzi, że nie jesteś zbyt dobrą partią.

– Wiem. Przykro mi. Zwłaszcza że bardzo mi się podobasz.

Amelia wzdycha i zaczyna sprzątać ze stołu.

Ajay wstaje.

– Nie, ja to zrobię. Ty siedź. – Układa talerze jeden na drugim i zanosí do zmywarki.

– Chcesz zobaczyć tamtą książkę?

– Jaką książkę? – pyta Ajay, zalewając wodą brytfankę.

– Te, która tak cię zaciekała w moim gabinecie. Czy nie po to tutaj przyjechałeś? – Amelia wstaje od stołu i zamienia wózek na kule. – Do gabinetu wchodzi się przez sypialnię.

Ajay kiwa głową. Przechodzi przez sypialnię szybkim krokiem, by nie pomyślała, że coś sobie wyobraża. Gdy jest już blisko drzwi do gabinetu, Amelia siada na łóżku i mówi:

– Poczekaj. Pokażę ci ją jutro.

Poklepuje znacząco łóżko.

– Boli mnie kostka, więc musisz mi wybaczyć, że uwodzę cię mało subtelnie.

Ajay zbliża się do niej. Stara się zachować zimną krew, ale nigdy nie był w tym dobry.

Gdy Amelia zasypia, Ajay zakrada się na palcach do gabinetu.

Książka stoi oparta o lampę, dokładnie tak jak wtedy, kiedy rozmawiali przez Skype'a. Nawet z bliska trudno jest odczytać wytartą okładkę. Otwiera na stronie tytułowej: *Trudno o dobrego człowieka i inne opowiadania*. Flannery O'Connor.

I dedykacja:

„Moja droga Amy, Mama mówi, że to twoja ulubiona pisarka. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, ale przeczytałem opowiadanie tytułowe. Trochę ponure, ale podoba mi się. Wszystkiego najlepszego z okazji zdobycia dyplomu! Jestem z ciebie bardzo dumny. Kocham cię, Tata”.

Ajay zamyka książkę i opiera ją o lampę.

Pisze liścik:

„Boję się, że nie wytrzymam, jeśli będę musiał czekać na ciebie do jesieni. Twój Ajay”.

## O sławnej skaczącej żabie z Calaveras

1865, Mark Twain

*Protopostmodernistyczna opowieść o nałogowym hazardziście i jego niezwykłej – do czasu – żabie. Fabuły jak na lekarstwo, ale warto przeczytać dla figlarniej Twainowskiej narracji. (Czytając Twaina, mam nieraz wrażenie, że on bawi się lepiej niż ja). Skacząca żaba przypomina mi o wizycie Leona Friedmana. Pamiętasz, Maju? Jeżeli nie, zapytaj Amy.*

Patrząc przez otwarte drzwi, jak siedzicie razem na starej fioletowej kanapie Amy. Ty czytasz Pieśń Salomonową Toni Morrison, a ona Okruchy codzienności Elizabeth Strout. Między wami leży Błotosmętek, a ja czuję się szczęśliwszy niż kiedykolwiek.

A.F.

Tej wiosny Amelia zaczyna chodzić w baletkach i odwiedza księgarnię Island Books częściej, niż wymagają tego jej obowiązki służbowe. Szef, o ile zauważył, nie komentuje tego. W branży książkowej wciąż liczy się bezpośredni kontakt z człowiekiem, poza tym Ajay Fikry zamawia u nich mnóstwo tytułów, przewyższając pod tym względem większość księgarni między Waszyngtonem a Bostonem. Szefa Amelii nie obchodzi, czy stoi za tym kalkulacja, czy uczucie.

– Może zapytaj, czy nie zechciałby ustawić blisko wejścia stolika z naszymi książkami?

Tej wiosny, gdy Amelia wsiada na prom do Hyannis, Ajay całuje ją i mówi:

– Gdybyś zamieszkała na wyspie, to by ci strasznie utrudniało pracę.

Amelia śmieje się i odsuwa go na długość ramienia.

– Nie da się ukryć. Czy próbujesz mnie w ten sposób namówić, żebym się do ciebie wprowadziła?

– Nie, nie, po prostu... chodzi mi o twoje dobro. Z praktycznego punktu widzenia to chyba nie byłoby najmądrzejsze posunięcie.

– To prawda. – Rysuje mu neonowym różowym paznokciem serduszko na piersi.

– Co to za kolor?

– „Różowe okulary”.

Rozlega się syrena i Amelia wchodzi na pokład.

Tej wiosny, czekając na autobus do Hyannis, Ajay mówi do niej:

– Przez trzy miesiące w roku nie byłabyś w stanie nawet się tutaj dostać.

– Łatwiej byłoby mi dojeżdżać do Afganistanu. Swoją drogą, to urocze, że podejmujesz ten temat na dworcu.

– Staram się o nim nie myśleć i przypominam sobie dopiero w ostatniej chwili.

– Jest to jakaś strategia.

– Ale chyba jej nie pochwalasz. – Ajay chwyta Amelię za rękę. Jej dłonie są duże, ale kształtne. Jak u pianistki. Albo u rzeźbiarki. – Masz dłonie artystki.

Amelia przewraca oczami.

– I umysł przedstawiciela handlowego.

Tym razem jej paznokcie są pomalowane na fioletowo.

– Co to za kolor?

– „Sina dal”. A właśnie – czy masz coś przeciwko temu, żebym następnym razem, kiedy będę u was, pomalowała Mai paznokcie? Nie daje mi spokoju...

Tej wiosny Amelia robi Mai pierwszy manikiur. Zabiera ją do drogerii i pozwala wybrać dowolny kolor.

– A ty jak je wybierasz? – pyta Maja.

– Czasem zadaję sobie pytanie, jak się czuję. A czasem, jak chciałabym się poczuć.

Maja przesuwa wzrokiem po rzędach buteleczek. Sięga po czerwony lakier, ale zaraz odkłada go na miejsce. Zdejmuje z półki opalizujący srebrny.

– Ooo, ładny – zachwyca się Amelia. – A teraz najlepsze. Każdy kolor ma nazwę. Odwróć.

– Jak tytuł książki! „Nie wszystko złoto”. A twój jak się nazywa?

Amy wybrała dla siebie bardzo błady błękit.

– „Bez zobowiązań”.

W weekend Ajay zabiera Maję do portu. Dziewczynka rzuca się Amelii na szyję i prosi ją, żeby została.

– Chciałabym.

– To dlaczego nie zostaniesz?

– Bo mój dom jest gdzie indziej.

– A dlaczego nie tutaj?

– Bo mam pracę.

– Mogłabyś pracować z tatą.

– Wątpię. Chyba by mnie zamordował. Poza tym lubię swoją pracę.

Spogląda na Ajaya, który patrzy gdzie indziej. Rozlega się syrena.



– Pożegnaj się z Amy.

Amelia dzwoni do Ajaya z promu.

– Ja nie mogę się przeprowadzić na wyspę. Ty nie możesz się przeprowadzić na ląd. Nie bardzo widzę wyjście z tej sytuacji.

– Ja też nie. Jaki masz dzisiaj lakier na paznokciach?

– „Bez zobowiązań”.

– Czy to znaczące?

– Nie.

Tej wiosny matka mówi Amelii:

– Sama się krzywdzisz. Masz trzydzieści sześć lat, a czas leci. Jeżeli chcesz mieć dziecko, nie możesz marnować czasu na związki bez przyszłości.

A Ismay poucza Ajaya:

– To nie w porządku wobec Mai, że spędzacie tyle czasu z tą Amelią, skoro to nic poważnego.

Daniel też dorzuca swoje trzy grosze:

– Nigdy nie wywracaj swojego życia do góry nogami dla kobiety.

W czerwcu, zachęteni dobrą pogodą, Ajay i Amelia zapominają o tych i innych przestrożach. Amelia przyjeżdża z ofertą na jesień i zostaje na dwa tygodnie. Nosi szorty w paski oraz klapki w stokrotki.

– Przez resztę lata raczej nie spędzimy zbyt wiele czasu razem. Mam dużo podróży służbowych, a w sierpniu odwiedza mnie mama.

– Ja mógłbym przyjechać do ciebie.

– Prawie mnie nie będzie. Z wyjątkiem sierpnia, ale moja mama... jest specyficzna.

Ajay, nakładając krem z filtrem na jej silne, aksamitne plecy, dochodzi do wniosku, że nie wytrzyma bez niej. Postanawia wymyślić jakiś pretekst, żeby ściągnąć ją na wyspę.

Dzwoni do Amy tuż po jej powrocie do domu w Providence.

– Tak sobie myślę, że powinniśmy namówić Leona Friedmana, żeby przyjechał na podpisywanie książek w sierpniu, dopóki są turyści.

– Przecież ty nienawidzisz turystów. – Amelia nieraz słyszała jego tyrady na temat przyjezdnych: rodziców z dziećmi wchodzących do księgarni z lodami, pozwalających maluchom biegać wśród regałów i wszystkiego dotykać, głośno śmiejących się bywalców festiwalu teatralnego, emerytów, którym się wydaje, że jedna kąpiel w morzu tygodniowo załatwia temat higieny osobistej.

– Nieprawda – broni się Ajay. – Wiem, że często na nich narzekam, ale kupują dużo książek. A poza tym, jak zawsze powtarzała Nicole, wbrew

utartemu przekonaniu sierpień to najlepszy czas na spotkania autorskie. Ludzie są już wtedy tak wynudzeni, że nawet spotkanie z pisarzem to dla nich atrakcja.

– Nawet spotkanie z pisarzem – ironizuje Amelia. – Rzeczywiście drugorzędna rozrywka.

– Przynajmniej w porównaniu z *Czystą krwią*.

Amelia ignoruje tę uwagę.

– Tak się składa, że uwielbiam spotkania, na których autor czyta na głos.

Kiedy stawiała pierwsze kroki w branży, jej ówczesny chłopak zaciągnął ją na biletowany wieczór literacki Alice McDermott w domu kultury przy Dziewięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Amelia była przekonana, że nie lubi *Charming Billy*, ale kiedy usłyszała, jak McDermott ją czyta – gestykulując, kładąc nacisk na niektóre wyrazy – zdała sobie sprawę, że nie zrozumiała tej powieści. Później w metrze chłopak uznał za stosowne ją przeprosić. „Nie wiedziałem, że to będzie takie nudne” – powiedział. Amelia uśmiechnęła się i oznajmiła, że między nimi wszystko skończone.

– Dobrze – mówi – skontaktuję cię z osobą od promocji.

– Ale ty też byś przyjechała, prawda?

– Postaram się. W sierpniu mam na głowie mamę, więc...

Ajay sugeruje, by zabrała ją ze sobą.

– Chciałbym ją poznać.

– Mówisz tak, bo jej nie znasz.

– Amelio, kochana, musisz przyjechać. Specjalnie dla ciebie ściągam Leona Friedmana.

– Nie przypominam sobie, że bym mówiła, że chcę go poznać.

Lecz piękno rozmów przez Skype'a polega na tym, że Ajay widzi, że Amelia się uśmiecha.

W poniedziałek z rana Ajay dzwoni do dziewczyny odpowiedzialnej w Pterodactylu za promocję Leona Friedmana. Ma dwadzieścia pięć lat i, jak to zwykle bywa, jest niewdrożona. Musi wygooglować Friedmana, żeby się zorientować, o jaką książkę chodzi.

– A, *Roślina późno kwitnąca*. Jest pan pierwszą osobą, która zwraca się do nas z taką prośbą.

– Ta książka naprawdę nieźle u nas schodzi.

– Możliwe, że to będzie w ogóle pierwsze spotkanie Leona Friedmana z czytelnikami. Kiedykolwiek. Hmmm. – Na moment zapada cisza. – Zapytam

jego redaktorę, jak to widzi. Nie miałam okazji poznać pana Friedmana, ale właśnie patrzę na jego zdjęcie i wygląda na nim dość... sędziwie. Mogę do pana oddzwonić?

– O ile wiek nie przeszkadza mu w podróżowaniu, chciałbym zorganizować to spotkanie pod koniec sierpnia, zanim wszyscy stąd wyjadą. To nam pozwoli sprzedać więcej egzemplarzy.

Dziewczyna z wydawnictwa dzwoni parę dni później. Leon Friedman żyje i jest gotów zjawić się w sierpniu w Island Books.

Ajay od wielu lat nie urządził żadnego spotkania z autorem. Głównie dlatego, że nie ma do tego smykałki. Ostatnie takie spotkanie odbyło się jeszcze za życia Nicole, która zawsze sama wszystko organizowała. Ajay usiłuje sobie przypomnieć, jak to robiła.

Zamawia książki, wiesza w księgarni plakaty z leciwą twarzą Leona Friedmana, publikuje stosowne ogłoszenia w mediach społecznościowych i prosi znajomych oraz pracowników, by uczynili to samo. Nie może jednak pozbyć się wrażenia, że to wciąż mało. Imprezy książkowe organizowane przez Nicole zawsze opierały się na jakimś chwycie reklamowym. Co by tu wymyślić? Leon Friedman jest stary, a jego książka była klapą. To raczej nie przyciągnie tłumów. Rzecz jest romantyczna, ale strasznie przygnębiająca. Ajay postanawia zasięgnąć rady Lambiase'a. Ten proponuje mrożonkę, na przykład krewetki w cieście kokosowym, które – Ajay teraz to rozumie – są jego uniwersalną sugestią na każdą okazję.

– Swoją drogą – mówi policjant – skoro zaczynasz zapraszać pisarzy, to bardzo chciałbym poznać Jeffery'ego Deavera. Wszyscy w komisariacie jesteście jego wielkimi fanami.

Ajay dzwoni też do Daniela, od którego słyszy:

– Jedyne, czego trzeba na dobrym spotkaniu autorskim, to mnóstwo alkoholu.

– Podaj mi Ismay.

– To może nie jest ani oryginalne, ani książkowe, ale czy myślałeś o garden party? *Roślina późno kwitnąca*. Ogród, rośliny. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Wszyscy lubią kapelusze z kwiatami. Zrób konkurs na najładniejszy kapelusz, a pisarz niech będzie sędzią. Będzie wesoło, przyjdą te wszystkie twoje mamuśki, choćby po to, żeby porobić sobie zdjęcia w tych śmiesznych kapeluszach.

Ajay zamyśla się.

– Brzmi strasznie.

- To tylko sugestia.
- Ale są takie sytuacje, kiedy „strasznie” znaczy tyle co „dobrze”.
- Przyjmuję komplement. Amelia przyjedzie?
- Mam nadzieję. To dla niej ten cały cyrk.

W lipcu Ajay i Maja odwiedzają jedyny prawdziwy sklep jubilerski na Alice Island. Ajay wskazuje palcem stary pierścionek z kwadratowym kamieniem w prostej oprawie.

– Za zwyczajny – orzeka Maja. Jej wybór pada na żółty brylant wielki jak góra, którego cena, jak się okazuje, stanowi równowartość pierwszego wydania *Tamerlana* w idealnym stanie.

Ostatecznie decydują się na pierścionek z lat sześćdziesiątych z brylantem pośrodku i oprawą z emaliowanych płatków.

– Jak stokrotka – zauważa Maja. – Amy lubi kwiaty i wesołe rzeczy.

Ajayowi pierścionek wydaje się ciut jarmarczny, ale wie, że Maja ma rację – to ten Amelia wybrałaby dla siebie, to ten ją uszczęśliwi. Nie mówiąc o tym, że będzie jej pasował do kłapek.

W drodze powrotnej do księgarni Ajay uprzedza Maję, że Amelia może mu odmówić.

– Ale nawet jeśli odmówi, nadal będziemy się z nią przyjaźnić.

Maja kiwa głową, myśli, znów kiwa.

– Ale dlaczego miałyby odmówić?

– Bo ja wiem... Z mnóstwa powodów. Twój tata nie jest najlepszą partią.

Maja się śmieje.

– Jesteś głuptasem.

– Poza tym mieszkamy w trudno dostępnym miejscu, a Amy dużo podróżuje służbowo.

– Oświadczysz się na tej imprezie?

Ajay potrząsa głową.

– Nie chcę jej zawstydzić.

– Dlaczego uważasz, że to ją zawstydzi?

– Nie chcę, żeby myślała, że próbuję wywrzeć na nią presję, oświadczając się przy ludziach.

Kiedy miał dziewięć lat, tata zabrał go na mecz New York Giants. Obok nich siedziała kobieta. W przerwie jakiś mężczyzna oświadczył się jej na wielkim ekranie. Kobieta, czując na sobie wzrok kamery, oczywiście się zgodziła. Ale tuż po rozpoczęciu trzeciej kwarty wybuchnęła płaczem. Od

tamtej pory Ajay nie przepada za futbolem.

– No i chyba sam boję się wstydu – dodaje po chwili.

– Czyli po imprezie?

– Tak, jeżeli znajdę w sobie dość odwagi. – Spogląda na Maję. – Tak w ogóle to nie masz nic przeciwko?

– Nie. – Maja wyciera okulary w koszulkę. – Tato, powiedziałam jej, jak to było z tą wycieczką do Ogrodu Rzeźby Roślinnej.

– To znaczy?

– Powiedziałam, że wcale nie interesują mnie takie rzeczy i że raczej pojechaliśmy tam dla niej.

– Dlaczego jej to powiedziałaś?

– Bo kilka miesięcy temu mówiła, że czasem trudno cię rozgryźć.

– Obawiam się, że to prawda.

Autorzy nigdy nie są do siebie podobni na zdjęciach, lecz Ajay na widok Leona Friedmana stwierdza, że ma do czynienia ze skrajnym przypadkiem. Leon Friedman ze zdjęcia jest chudszy, ma dłuższy nos i zero zarostu. Prawdziwy Leon Friedman przypomina trochę Ernesta Hemingwaya, a trochę Świętego Mikołaja z centrum handlowego: duży czerwony nos, wydatny brzuch, krzaczaste białe brwi, błyszczące oczy. Prawdziwy Leon Friedman wygląda dziesięć lat młodziej niż na zdjęciu. Ajay przypuszcza, że może to efekt brody i większej liczby kilogramów.

– Leon Friedman, pisarz inny niż wszyscy – przedstawia się autor i wita Ajaya niedźwiedzim uściskiem. – Miło mi pana poznać. Pan Fikry, jak mniemam. Panna z Pterodactyla mówiła, że bardzo się panu podobała moja powieść. Śmiem pogratulować dobrego gustu.

– To ciekawe, że nazywa ją pan powieścią. Czy to powieść, czy bardziej pamiętnik?

– Ach, jak zwał, tak zwał. Czy nie znalazłby się dla mnie kieliszek winka? To mnie zwykle rozluźnia w takich sytuacjach.

Ismay zadbała o herbatę i kanapki, ale nie o alkohol, wychodząc z założenia, że nikomu nawet nie przyjdzie do głowy konsumować mocne trunki wczesnym popołudniem w niedzielę. Ajay idzie na górę po butelkę wina.

Kiedy schodzi na dół, Maja siedzi na kolanach u Leona Friedmana.

– Podoba mi się *Roślina późno kwitnąca* – mówi – ale chyba nie jestem grupą docelową.

- Ho, ho! Ależ to bardzo ciekawe spostrzeżenie, dziewczuszko!
- Mam dużo spostrzeżeń. Znam osobiście tylko jednego pisarza. Nazywa się Daniel Parish. Zna go pan?
- Nie wydaje mi się.
- Maja wzdycha.
- Z panem trudniej się rozmawia niż z Danielem. Jaka jest pana ulubiona książka?
- No cóż, obawiam się, że nie mam jednej ulubionej. Może lepiej powiesz mi, co byś chciała dostać na Gwiazdkę?
- Gwiazdkę? To dopiero za pięć miesięcy.
- Ajay zabiera córkę z kolan pisarza, oferując w zamian kieliszek wina.
- Dziękuję uprzejmie – kłania się Friedman.
- Czy byłby pan tak dobry i zechciał podpisać kilka egzemplarzy przed czytaniem?
- Ajay prowadzi pisarza na tyły księgarni, tam podsuwa mu karton z książkami i cienkopis. Widząc, że Friedman chce złożyć autograf na okładce, powstrzymuje go.
- Zwykle prosimy autorów o podpisywanie się na stronie tytułowej, jeżeli to nie kłopot.
- Przepraszam. Jestem mało otrzaskany.
- Nic nie szkodzi.
- Proszę powiedzieć, jak by pan chciał, żeby to spotkanie wyglądało?
- Już panu mówię. Najpierw przedstawię pana w kilku słowach, potem mógłby pan powiedzieć coś o książce, skąd wziął się pomysł, żeby ją napisać, i tak dalej, potem przeczytać kilka stron i na koniec odpowiedzieć na pytania z widowni, jeżeli starczy czasu. Poza tym na cześć pańskiej książki urządzamy konkurs na najładniejszy kapeluszek i będzie nam bardzo miło, jeśli zechce pan wskazać zwycięzcę.
- Fantastiko. Friedman. F-R-I-E-D-M-A-N. Łatwo pominąć to „i” – wzdycha.
- Doprawdy?
- Bardziej pasowałoby tam drugie „e”, nie uważa pan?
- Pisarze są ekscentrykami, więc Ajay postanawia to przemilczeć.
- Widzę, że lubi pan dzieci.
- O tak. W święta często jestem Świętym Mikołajem w domu towarowym koło mojego domu.
- Naprawdę? Kto by pomyślał.
- Chyba mam do tego talent.
- Chodzi mi o to... – Ajay nie chce urazić gościa. – Chodzi mi o to, że jest

pan Żydem.

- O tak.
- Podkreśla pan to w swojej książce. Niepraktykującym. Dobrze mówię?
- Jak zwał, tak zwał. Czy ma pan coś mocniejszego niż wino?

Do spotkania z czytelnikami Friedman przystępuje po kilku kieliszkach. Być może dlatego przekreśla kilka dłuższych nazw i obcych wyrażen: Chappaqua, *Après moi le déluge*, Hadassah, *L'chaim*, *challah* i jeszcze parę innych. Nie wszyscy pisarze czują się komfortowo, czytając na głos. Podczas rozmowy z czytelnikami Friedman odpowiada krótko i wężłowato.

- Jak pan się czuł po śmierci żony?
- Było mi diablo smutno.
- Jaka jest pańska ulubiona książka?
- Biblia. Albo *Wtorki z Morriem*. Ale raczej Biblia.
- Wygląda pan młodziej niż na zdjęciu.
- Bardzo dziękuję!
- Jak to było pracować w gazecie?
- Zawsze miałem brudne ręce.

Nieco lepiej idzie mu wybór najlepszego kapelusza i podpisywanie książek. Ajayowi udało się ściągnąć sporo ludzi, kolejka kończy się za drzwiami.

– Trzeba było ustawić barierki – zauważa Friedman. – Robimy tak w domu towarowym.

- W mojej branży na ogół to nie jest konieczne.

Ostatnimi osobami w kolejce są Amelia i jej matka.

– Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać. Mój chłopak i ja pewnie nie bylibyśmy razem, gdyby nie pańska książka.

Ajay szuka w kieszeni pierścionka zaręczynowego. Czy to właściwy moment?

- Niech cię uściskam, dziecko – mówi Friedman.

Amelia pochyła się nad stołem. Ajay dałby sobie rękę uciąć, że starzec zajrzał jej w dekolt.

- Oto potęga fikcji – konstatuje pisarz.

Amelia potakuje i spogląda mu w oczy.

- Ale pańska książka to nie fikcja, prawda? To się wydarzyło naprawdę?

– Oczywiście, moje dziecko.

- Pan Friedman pewnie miał na myśli potęgę opowieści – wtrąca Ajay.

Matka Amelii, kobieta o sylwetce pasikonika i usposobieniu modliszki,

włącza się do rozmowy:

– Być może pan Friedman próbuje powiedzieć, że książka nie może być trwałą podstawą związku. – Wyciąga dłoń w stronę pisarza. – Margaret Loman. Mój mąż też umarł kilka lat temu. Córka poleciła mi pański pamiętnik, czytałyśmy go w moim klubie książki dla wdów z Charleston. Wszystkie znajome były zachwycone.

– Och, jak miło. Jak... – Friedman uśmiecha się promiennie do pani Loman. – Jak...

– Tak?

Friedman odchrząkuje, ociera pot z czoła i nosa. Cały rumiany, jeszcze bardziej niż wcześniej przypomina Świętego Mikołaja. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, i wymiotuje na stertę świeżo podpisanych książek i na beżowe pantofle matki Amelii.

– Chyba trochę za dużo wypiłem – stwierdza, kończąc zdanie beknięciem.

– Najwyraźniej – zgadza się Margaret Loman.

– Mamo, na górze jest mieszkanie Ajaya. – Amelia pokazuje schody.

– A więc mieszka nad sklepem? Nie podzieliłaś się ze mną tym smakowitym... – W tej chwili pani Loman wpada w poślizg na powiększającej się kałuży wymiocin. Odzyskuje równowagę, ale jej kapelusz, który zdobył wyróżnienie, jest stracony.

Friedman zwraca się do Ajaya:

– Najmocniej pana przepraszam. Chyba za dużo wypiłem. Papieros i świeże powietrze zwykle robią mi dobrze na żołądek. Gdyby ktoś mógł mnie pokierować do wyjścia...

Ajay wyprowadza pisarza tylnymi drzwiami.

– Co się stało? – pyta Maja, która szybko znudziła się spotkaniem autorskim i wróciła do lektury *Złodzieja pioruna*. Podchodzi do stolika z książkami i na widok wymiocin sama wymiotuje.

Podbiega do niej Amelia.

– Wszystko w porządku?

– Nie spodziewałam się takiego widoku.

Tymczasem w bocznej uliczce Leon Friedman znów wymiotuje.

– Może się pan czymś struł? – zastanawia się Ajay.

Pisarz milczy.

– A może to ta podróż promem? Emocje? Upał? – Ajayowi nie zamykają się usta, sam nie wie czemu.

– Ma pan zapalniczkę? – pyta chrapliwie Friedman. – Zostawiłem swoją w środku, w torbie.



Ajay biegnie do środka. Nie może znaleźć torby Friedmana.

– Potrzebuję zapalniczki! – woła. Rzadko kiedy podnosi głos. – To pilne. Czy nie ma tu nikogo z zapalniczką?

Lecz wszyscy już sobie poszli, nie licząc sprzedawcy, który jest zajęty przy kasie, i paru maruderów ze spotkania z Friedmanem. Jakaś elegancko ubrana kobieta, mniej więcej w wieku Amelii, otwiera przepastną skórzaną torebkę.

– Ja mogę mieć.

Ajay stoi i czeka niespokojny, podczas gdy kobieta przetrząsa zawartość swojej bez mała walizy. „Oto dlaczego nie warto zapraszać autorów” – myśli.

– Przykro mi. – Kobieta rozkłada dłonie. – Rzuciłam palenie, po tym jak mój ojciec zmarł na rozedmę płuc, ale myślałam, że może ciągle mam gdzieś zapalniczkę.

– Nie szkodzi. Poszukam na górze.

– Czy autorowi coś dolega?

– Na pewno nic mu nie zalega – odpowiada Ajay, wbiegając po schodach.

Na piętrze spotyka Maję. Jest sama i ma wilgotne oczy.

– Wymiotowałam, tato.

– Przykro mi, skarbie. – Ajay znajduje zapalniczkę i z hukiem zamyka szufladę. – Gdzie Amelia?

– Oświadczysz się jej?

– Nie, skarbie. Raczej nie teraz. Pewien alkoholik potrzebuje zapalniczki.

Maja myśli.

– Mogę pójść z tobą?

Ajay chowa zapalniczkę do kieszeni i chcąc wszystko przyspieszyć, bierze Maję na rękę, choć jest już dużą i ciężką dziewczynką.

Schodzi z nią na dół i wraca do miejsca, gdzie zostawił Friedmana. Pisarz stoi w chmurze dymu. Wisząca leniwie u jego ust fifka osobliwie pyrkocze.

– Nie mogłem znaleźć tej torby.

– Miałem ją cały czas przy sobie.

– Co to za fajka? – pyta Maja. – Nigdy takiej nie widziałam.

Ajay w pierwszym odruchu zasłania jej oczy, lecz po chwili zaczyna się śmiać. Czyżby Friedman podróżował samolotem z marihuaną w bagażu?

– Maju – zwraca się do córki – pamiętasz, jak w zeszłym roku czytaliśmy *Alicję w Krainie Czarów*?

– Gdzie jest Friedman? – pyta Amelia.

– Zasnął na tylnym siedzeniu w samochodzie Ismay – odpowiada Ajay.

– Biedna Ismay.

– To dla niej nic nowego. Od lat robi za szofera po spotkaniach autorskich Daniela Parisha. – Ajay zagryza wargę. – Chyba wypadaloby, zebym pojechal z nimi.

Pierwotny plan byl taki, ze Ismay zawiezie Friedmana na prom, a nastepnie na lotnisko, lecz Ajay ma wobec niej wyrzuty sumienia.

Amelia go caluje.

– Jesteś dobrym człowiekiem. Zajmę się Mają i trochę tu posprzątam.

– Dzięki. Mimo wszystko szkoda. W końcu jutro wyjeżdżasz.

– Przynajmniej będzie co wspominać. Dzięki, że ściągnęłaś Leona Friedmana, choć muszę przyznać, że trochę inaczej go sobie wyobrażałam.

– Trochę.

Ajay całuje Amelię i marszczy brwi.

– Ten dzień miał być bardziej romantyczny.

– Było bardzo romantycznie. Czy może być coś bardziej romantycznego niż stary, lubieżny pijak zaglądający mi w dekolt?

– Nie tylko pijak. – Ajay naśladuje gest zaciągania się dymem.

– Może ma nowotwór?

– Może...

– Przynajmniej poczekał do końca spotkania.

– Moim skromnym zdaniem, gdyby zrobił to wcześniej, spotkanie tylko by na tym skorzystało.

Ismay trąbi.

– Pora na mnie. Naprawdę musisz nocować z mamą w hotelu?

– Nie muszę, Ajay. Jestem dorosła. Po prostu jutro z rana wracamy do Providence.

– Chyba nie zrobiłem na niej dobrego wrażenia.

– To się jeszcze nikomu nie udało. Nie przejmuj się nią.

– No dobrze. Może jeszcze zdążymy się zobaczyć.

Znów rozlega się klakson i Ajay wybiega.

Amelia bierze się do sprzątanía. Zaczyna od kałuży wymiocin. Maję prosi o pozbieranie mniej wstrętnych rzeczy: kwiatowych płatków, plastikowych kubków. W ostatnim rzędzie siedzi kobieta, która wcześniej szukała w torebce zapalniczki. Ma na sobie szary kapelusz z miękkim rondem i długą suknię z materiału à la jedwab. Jej rzeczy wyglądają trochę jak ze sklepu z tanią odzieżą, lecz Amelia poznaje, że są drogie.

- Była pani na spotkaniu?
- Tak.
- I jakie wrażenia?
- Miał w sobie dużo energii.
- O tak. – Amelia wyżyma gąbkę do wiadra. – Nie mogę powiedzieć, że odpowiadał moim wyobrażeniom.
- A jak go sobie pani wyobrażała?
- Myślałam, że będzie typem intelektualisty. Ale to brzmi pretensjonalnie. Może to nie jest właściwe słowo. Że będzie mądrzejszy.
- Kobieta kiwa głową.
- Nie, nie, rozumiem, o co pani chodzi.
- Może miałam nadmierne oczekiwania. Pracuję dla jego wydawcy. Mało tego, to moja ulubiona książka z całej naszej oferty.
- Dlaczego?
- Bo... – Amelia spogląda jej w oczy. Są życzliwe. Nieraz dała się zwieść takiemu życzliwemu spojrzeniu. – Czytałam ją krótko po tym, jak umarł mój ojciec. I chyba ten głos trochę mi go przypominał. Poza tym ta książka wydała mi się bardzo prawdziwa.
- Nie przeszkadzam pani?
- Nie, nie, proszę siedzieć.
- Trochę mi głupio tak siedzieć i patrzeć, jak pani sprząta.
- Lubię sprzątać, a pani jest zbyt elegancko ubrana, żeby mi pomagać. – Amelia zamiata podłogę długimi, rytmicznymi pociągnięciami.
- Wydawca ma obowiązek posprzątać po spotkaniu?
- Nie – śmieje się Amelia. – Tak się składa, że jestem też dziewczyną właściciela. Trochę mu pomagam.
- Kobieta kiwa głową.
- Jemu też ta książka musiała się bardzo podobać, skoro ściągnął Leona Friedmana po tylu latach.
- Tak naprawdę – Amelia zniża głos – zrobił to dla mnie. To była pierwsza książka, którą razem się zachwycaliśmy.
- Uroczo. Coś jak pierwsza restauracja.
- Właśnie.
- Może zamierza się pani oświadczyć?
- Nie powiem, żeby nie przeszło mi to przez myśl.
- Amelia wsypuje zawartość szufelki do kosza.
- Jak pani myśli, dlaczego ta książka słabo się sprzedała?
- *Roślina późno kwitnąca*? Czy ja wiem... Na tym rynku trudno się przebić.

Czasem samo to, że książka jest dobra, nie wystarcza.

– To musi być frustrujące.

– A pani coś pisze?

– Owszem, próbowałam.

Amelia się jej przygląda. Długie kasztanowe włosy są ładnie przycięte i idealnie proste. Jej torebka jest pewnie warta tyle ile samochód Amelii.

– Amelia Loman. – Wyciąga do niej rękę.

– Leonora Ferris.

– Leonora. Jak Leon – wtrąca piskliwie Maja, która czuje się już lepiej i popija mleczny koktajl. – Ja jestem Maja Fikry.

– Pani jest stąd? – pyta Amelia.

– Nie, przyjechałam specjalnie na to spotkanie.

Leonora wstaje, a Amelia składa jej krzesło i opiera o ścianę.

– W takim razie pani też musiała się bardzo spodobać ta książka. Dostanie się na Alice Island to nie taka prosta sprawa, wiem coś o tym. Tak jak wspominałam, mam tutaj chłopaka.

– To prawda – przyznaje kobieta, sięgając po torebkę.

Amelia doznaje przebłysku. Odwraca się i woła:

– „Nikt nie wędruje bez celu. Ci, którzy się zgubili, chcieli się zgubić”.

– To z *Rośliny późno kwitnącej* – odpowiada Leonora po chwili milczenia. – Widzę, że to rzeczywiście pani ulubiona książka.

– I jeszcze: „Kiedy byłem młody, nie czułem, że jestem młody”. Jakoś tak. Pamięta pani, co było dalej?

– Nie.

– Trudno, żeby pisarz pamiętał wszystko, co napisał.

– Miło było panią poznać. – Leonora kieruje się w stronę wyjścia.

Amelia kładzie jej dłoń na ramieniu.

– To pani, prawda? – pyta. – To pani jest Leonem Friedmanem.

Leonora kręci głową.

– Niezupełnie.

– To znaczy?

– Dawno temu pewna dziewczyna napisała powieść i próbowała ją sprzedać, ale nikt jej nie chciał. To była powieść o mężczyźnie w podeszłym wieku, który stracił żonę. Nie było w niej żadnych istot nadprzyrodzonych ani wymyślnego konceptu, więc pomyślała, że lepiej będzie, jeśli zmieni tytuł i przemianuje ją na pamiętnik.

– Ale to... ale tak się nie robi.

– Dlaczego? Pod względem psychologicznym książka jest jak najbardziej

prawdziwa.

– W takim razie co to był za człowiek?

– Zadzwoiłam do agencji aktorskiej. Ten pan zwykle wciela się w Świętego Mikołaja.

Amelia kręci głową.

– Nie rozumiem. Po co w ogóle organizować takie spotkanie? Czy nie szkoda fatygi? Po co ryzykować?

– Wiedziałam, że książka była niewypałem. Ale czasem człowiek chce się przekonać osobiście, czy to, co napisał, trafiło komuś do gustu.

Amelia spogląda na Leonorę.

– Czuję się trochę oszukana – mówi w końcu. – Jest pani naprawdę dobrą pisarką. Wie pani o tym?

– Tak, wiem.

Leonora Ferris odchodzi. Amelia wraca do księ-garni.

– To był strasznie dziwny dzień – zauważa Maja.

– Zgadzam się.

– Co to była za pani?

– Długo by opowiadać.

Maja unosi brwi.

– Daleka krewna pana Friedmana – mówi Amelia.

Kładzie Maję do łóżka, nalewa sobie wina i zastanawia się, czy powiedzieć Ajayowi o Leonorze Ferris. Nie chciałaby go zrazić do idei spotkań autorskich. Ani wyjść w jego oczach na idiotkę i osobę niekompetentną: sprzedała mu książkę, która okazała się fałszywką. Może zresztą Leonora Ferris ma rację. Może to nieistotne, czy książka opowiada prawdziwą historię w ścisłym tego słowa znaczeniu. Przypomina sobie zajęcia z teorii literatury na drugim roku studiów. „Co jest prawdą? – pytał wykładowca. – Czyż pamiętniki nie są konstrukcjami?”. Zawsze na tych zajęciach przysypiała, co było o tyle kłopotliwe, że chodziło na nie tylko dziewięć osób. Nawet po tych wszystkich latach robi się senna na samo wspomnienie.

Ajay zjawia się w domu tuż po dziesiątej.

– Jak się jechało? – pyta Amelia.

– Na szczęście Friedman prawie całą drogę spał. Byłbym wcześniej, ale przez ostatnie dwadzieścia minut czyściłem tylne siedzenie.

– To kiedy następne spotkanie autorskie, panie Fikry? Nie mogę się doczekać.

– Było aż tak źle?

– Nie. Właściwie to chyba wszystkim bardzo się podobało. No i zeszło

sporo książek. – Amelia wstaje. Jeżeli nie wyjdzie teraz, nie zdoła się powstrzymać, żeby nie powiedzieć mu o Leonorze Ferris. – Powinnam wracać do hotelu. Mamy prom wcześniej rano.

– Nie, poczekaj. Zostań chwilę. – Ajay szuka w kieszeni pudełeczka z pierścionkiem. Nie zamierza dłużej zwlekać, niech się dzieje, co ma się dziać. Taka okazja może się szybko nie powtórzyć. Wyciąga pudełeczko i rzuca w jej kierunku.

Amelia odwraca się i dostaje nim w czoło.

– Au! Co ty robisz?

– Próbowałem cię zatrzymać. Myślałem, że złapiesz. Przepraszam. – Podchodzi i całuje ją w czoło.

– Rzuciłeś trochę za wysoko.

– Jesteś ode mnie wyższa. Wziąłem zbyt dużą poprawkę.

Amelia podnosi pudełeczko z podłogi.

– To dla ciebie – mówi Ajay. – To...

Kłęka na jednym kolanie i zamyka jej dłoń w swoich. Czuje się przy tym sztucznie, jak aktor na scenie.

– Pobierzmy się – mówi z lekko zboląłą miną. – Wiem, że mieszkam na wyspie, że jestem samotnym ojcem, a mój biznes cienko przędzie. Wiem, że twoja mama mnie nie znosi i że jestem najgorszym organizatorem spotkań autorskich na świecie.

– To dość nietypowe oświadczyzny – zauważa Amelia. – Spróbuj skupić się na swoich zaletach.

– Chcę tylko powiedzieć... że coś wymyślimy. Obiecuję. Kiedy czytam książkę, chcę, żebyś ty też ją czytała. Zastanawiam się, co by o niej powiedziała Amelia. Chcę, żebyś była moja, Amy. W zamian ofiaruję ci książki, rozmowy i całe moje serce.

Amelia wie, że to wszystko prawda. Ajay z powodów, które sam skwapliwie przedstawił, jest kiepską partią dla niej i dla każdej innej kobiety. Dojazdy ją wykończą. Oświadcza się jej człowiek marudny i kłótniwy. Wydaje mu się, że wszystko wie najlepiej. A może mu się nie wydaje?

Ale przecież nieraz nie miał racji. Nieomylny Ajay Fikry nie wyczuł, że Leon Friedman nie jest tym, za kogo się podaje. Czy to w tej chwili takie ważne? Z jakiegoś powodu tak. Może świadczy o jego dziecinnej naturze, o braku kontaktu z rzeczywistością. Amelia przekrzywia głowę. Zachowam to w tajemnicy, bo cię kocham. Jak napisał kiedyś Leon Friedman (względnie Leonora Ferris), „milczenie jest ważnym składnikiem dobrego małżeństwa”.

Marszczy brwi. Ajay myśli, że go odrzuci.

- Trudno o dobrego człowieka – odpowiada w końcu.
- Masz na myśli opowiadanie O’Connor? To, które leżało u ciebie w gabinecie? Dość ponure skojarzenie w takiej chwili.
- Mam na myśli ciebie. Już myślałam, że cię nie znajdę. A okazało się, że dzielą nas tylko dwa pociągi i prom.
- Można też oszczędzić sobie fatygi, dojeżdżając samochodem.
- Można, o ile nie jest się tobą.

Następnej jesieni, krótko po tym, jak pożółkły liście, Amelia i Ajay biorą ślub.

Matka Lambiase’a – i zarazem jego osoba towarzysząca – mówi do niego:

– Ja w ogóle lubię wszystkie wesela, ale czy to nie wspaniałe, kiedy pobiera się dwoje w pełni dojrzałych ludzi?

Bardzo by chciała, żeby jej syn też kiedyś powtórnie się ożenił.

– Wiem, co masz na myśli, mamó. Tych dwoje na pewno dobrze to przemyślało. On wie, że ona nie jest ideałem. A ona wie, że on tym bardziej. Oboje wiedzą, że ideały nie istnieją.

Maja wybrała opiekę nad obrączkami, bo uznała, że to ważniejsza rola niż kroczenie za parą młodą z bukietem kwiatów.

– Jeżeli zgubisz kwiatek, dostaniesz inny – rozumuje. – Jeżeli zgubisz obrączkę, wszystkim będzie bardzo smutno. Nosiciel obrączek ma większą władzę.

– Mówisz jak Gollum – zauważa Ajay.

– Kto to jest Gollum?

– Taki jeden dziwny stwór – wyjaśnia Amelia. – Twój tata bardzo go lubi.

Przed ślubem Amelia wręcza Mai prezent: pudełko z ekslibrisami z napisem „Ta książka jest własnością Mai Tamerlane Fikry”. Na tym etapie swojego życia Maja bardzo lubi wszystko, co zawiera jej imię.

– Cieszę się, że będziemy rodziną – mówi Amelia. – Bardzo cię lubię.

Maja w skupieniu wkleja swój pierwszy ekslibris do książki, którą właśnie czyta.

– Tak. Ja też cię lubię. A, poczekaj. – Wyjmuje z kieszeni buteleczkę z różowym lakierem do paznokci. – Mam coś dla ciebie.

– Dziękuję. Nie miałam takiego różowego.

– Wiem. Dlatego ci kupiłam.

Amy odwraca buteleczkę i czyta: „Życie usłane różami”.

Ajay rzuca pomysł, by zaprosić Leona Friedmana. Amelia jest przeciwna. Ustalają, że jedna z koleżanek Amelii ze studiów odczyta podczas ślubu

fragment z *Rośliny późno kwitnącej*. Brzmi on następująco:

„Odgradzamy się od ludzi, bo myślimy, że jesteśmy nie do pokochania, lecz myślimy tak dlatego, że jesteśmy odgradzeni od ludzi. Nie znacie dnia ani godziny, ale kiedyś, idąc ulicą, spotkacie tego kogoś. I zostaniecie pokochani, bo pierwszy raz w życiu nie będziecie sami. Odrzucicie samotność”.

Pozostałe koleżanki Amelii ze studiów nie kojarzą kobiety, która czyta fragment, ale nie widzą w tym nic dziwnego. Vassar College to mała uczelnia, lecz to nie znaczy, że wszyscy się tam znają, poza tym Amelia zawsze zawierała znajomości w różnych kręgach.



## *Dziewczęta w letnich sukienkach*

1939, Irwin Shaw

*Mąż w towarzystwie żony przygląda się innym kobietom. Żonie to się nie podoba. Piękny zwrot akcji na końcu, choć pewnie zdołasz go przewidzieć. (Czy zwrot robi mniejsze wrażenie, jeżeli się go spodziewamy? Czy zwrot, którego nie da się przewidzieć, świadczy o złej konstrukcji? Oto pytania, na które warto sobie odpowiedzieć, pisząc).*

Nie żeby to miało jakiś związek z pisaniem, ale... Kiedyś pewnie będziesz chciała wyjść za mąż. Wybierz kogoś, kto nie będzie widział nikogo poza Tobą.

A.F.

Ismay czeka w przedpokoju swojego domu. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami, owijając prawą stopę wokół lewej łydki. Podpatrzyła to kiedyś u prezenterki telewizyjnej. Warunkiem koniecznym są bardzo szczupłe nogi oraz giętkie kolana. Zastanawia się, czy nie ubrała się zbyt lekko. Ma na sobie jedwabną sukienkę, a lato się skończyło.

Spogląda na telefon. Jest jedenasta rano, uroczystość pewnie już się zaczęła. Może powinna jechać bez niego?

Ale skoro i tak jest spóźniona, nie ma sensu, żeby jechała sama. Jeśli poczeka, będzie mogła zrobić mu awanturę. Życie składa się z drobnych przyjemności.

Daniel staje w drzwiach o jedenastej dwadzieścia sześć.

– Przepraszam. Moi uczniowie namówili mnie na drinki. A potem wszystko potoczyło się samo, wiesz, jak to bywa.

– Wiem. – Ismay nie ma już ochoty na niego krzyczeć. Wybiera milczenie.

– Nocowałem w biurze. Strasznie mnie łupie w krzyżu. – Całuje ją w policzek. – Fantastycznie wyglądasz. – Gwiżdże. – Wciąż masz niesamowite nogi.

– Przebieraj się. Śmierdzisz jak gorzelnia. Sam przyjechałeś?

– Nie jestem pijany, mam tylko kaca. To różnica.

– Cud, że jeszcze żyjesz.

– Być może – odpowiada, wchodząc po schodach.

– Weźmiesz z góry mój szal? – woła Ismay, lecz nie jest pewna, czy ją usłyszał.

„Ślub jak ślub – myśli Ismay. – Ajay wygląda niezbyt elegancko w karbowanym granatowym garniturze. Co mu szkodziło wypożyczyć smoking? To przecież Alice Island, a nie Jersey Shore. I skąd Amelia wytrzasnęła tę okropną suknię rodem z jarmarku historycznego? Jest bardziej żółta niż biała i poszerza ją w biodrach. Amelia zawsze nosi używane ciuchy, jak gdyby wszystko świetnie na niej leżało, a wcale tak nie jest. Kogo próbuje oszukać tymi wielkimi gerberami we włosach? Przecież nie ma już dwudziestu lat, na Boga. Kiedy się uśmiecha, widać głównie jej dziąsła. Kiedy zrobiłam się taka zgryźliwa? – zastanawia się Ismay. – Ich szczęście nie jest moim nieszczęściem. No, chyba że jest. Co jeśli stosunek szczęścia do nieszczęścia na świecie jest stały? Powinnam być miłsza. Nie od dziś wiadomo, że po czterdziestce człowiek zaczyna patrzeć na świat z nienawiścią. Amelia jest atrakcyjna, choć może nie tak piękna jak Nicole. No i ten uśmiech Mai. Wypadł jej kolejny ząbek. I Ajay – jest taki szczęśliwy. Skubany, ledwie powstrzymuje łzy”.

Ismay cieszy się jego szczęściem, cokolwiek to znaczy, lecz samo wesele jest dla niej ciężką próbą. Młodsza siostra wydaje się teraz bardziej martwa niż kiedykolwiek, a ona sama mimowolnie wraca pamięcią do swoich licznych niepowodzeń. Ma czterdzieści cztery lata. Poślubiła zbyt przystojnego mężczyznę, którego już nie kocha. Przez ostatnie dwanaście lat siedem razy poroniła. Jej ginekolog twierdzi, że weszła w perimenopauzę. To koniec.

Patrzy z daleka na Maję. Jest prześliczna: kręcone włosy, jasne oczy. I taka bystra. Ismay macha do niej, ale Maja chyba nie widzi, siedzi z nosem w książce. Nikt nie rozumie, dlaczego Maja nigdy nie nabrała szczególnej sympatii do Ismay. Lubi czuć się dorosłą, a Ismay, nauczycielka z dwudziestoletnim stażem, ma opinię osoby z talentem do dzieci. Dwadzieścia lat stażu. Chryste. Ani się obejrzała, a z młodej i pełnej wigoru nauczycielki, na której nogi popatrywali ukradkiem uczniowie, stała się starą panią Parish od szkolnych przedstawień. Ludzie dziwią się, że tak bardzo się w to angażuje. Oczywiście przesadzają z tym zaangażowaniem. Jak długo rok w rok można robić mierne przedstawienia, zlewające się jedno z drugim? Zmieniają się twarze, ale żadna z tych małych aktorek nie zostanie nową Meryl Streep.

Ismay otula się ciasniej szalem i wychodzi się przejść. Idzie na molo, zdejmuje buty na obcasikach i spaceruje po pustej plaży. Jest koniec września, powietrze ma w sobie coś z jesieni. Ismay usiłuje przy-pomnieć sobie tytuł książki, w której bohaterka na końcu wchodzi do morza i odbiera sobie życie.

To by było takie proste. Wchodzi się do wody i odpływa od brzegu. Pływie się jak najdalej i nie próbuje wracać. Woda zalewa płuca. Przez chwilę boli, ale krótko. A potem człowiek już nie cierpi. I ma czyste sumienie. Nie trzeba po nim sprzątać. Może kiedyś morze wyrzuci ciało na brzeg. A może nie. Daniel pewnie nawet by jej nie szukał. Albo szukałby mało energicznie.

Ach, no przecież. Ta powieść to *Przebudzenie* Kate Chopin. Czytała ją, mając siedemnaście lat, i była zachwycona.

Matka Mai zabiła się w ten sam sposób. Ismay zastanawia się, nie po raz pierwszy, czy Marion Wallace czytała *Przebudzenie*. Przez ostatnich kilka lat dużo myślała o Marion Wallace.

Wchodzi do wody – jest jeszcze zimniejsza, niż sądziła. „Potrafię to zrobić – myśli. – Muszę tylko iść przed siebie”.

„Może to zrobię”.

– Ismay!

Odwraca się mimo woli. To komendant Lambiase, irytujący znajomy Ajaya. Trzyma w dłoni jej buty.

– Nie za zimno na kąpiel?

– Trochę tak. Chciałam się tylko przewietrzyć.

Lambiase podchodzi bliżej.

– Rozumiem.

Ismay szczęka zębami. Lambiase zdejmuje marynarkę i przykrywa jej ramiona.

– To musi być dla ciebie trudne. Ajay był mężem twojej siostry, a teraz żeni się z inną kobietą.

– Tak. Chociaż Amelia wydaje się bardzo sympatyczna. – Ismay zaczyna płakać, lecz słońce już się schowało i może Lambiase tego nie zauważy.

– Wesela mają ten minus, że człowiek czuje się na nich strasznie samotny.

– Tak.

– Przepraszam, jeśli to, co powiem, będzie nie na miejscu, w końcu nie znamy się zbyt dobrze, ale... twój mąż jest idiotą. Gdybym ja miał taką ładną i wykształconą żonę...

– To rzeczywiście nie na miejscu.

– Przepraszam. Mam złe maniery.

- Tego bym nie powiedziała. Okryłeś mnie marynarką. Dziękuję.
- U nas jesień przychodzi wcześniej. Wracajmy lepiej do środka.

W Pequodzie przy barze Daniel czaruje druhnę Amelii pod szklanym wielorybem, który z okazji wesela został przystrojony lampkami bożonarodzeniowymi. Janine, blondynka w okularach rodem z filmów Hitchcocka, od lat pnie się razem z Amelią po szczeblach kariery w branży wydawniczej. Daniel nie wie, że otrzymała specjalne zadanie na ten wieczór: ma pilnować, by Wybitny Amerykański Powieściopisarz nie zrobił niczego głupiego.

Jest ubrana w żółtą kraciatą sukienkę, wybraną i kupioną przez Amelię („wiem, że to będzie jedyny raz, kiedy ją założysz”).

– To nie jest łatwy kolor – zauważa Daniel. – Ale ty wyglądasz w nim świetnie. Janine, prawda?

Kiwa głową.

– Druhna Janine – ciągnie Daniel. – Czy mam cię zapytać, czym się zajmujesz? Czy to zbyt nudne i sztapowe?

– Jestem redaktorką.

– Nie dość, że ładna, to jeszcze mądra. Jakie książki redagujesz?

– Ostatnio na przykład książkę obrazkową o Harriet Tubman, która zdobyła nagrodę Caldecott.

– No, no! – mówi Daniel, ale tak naprawdę jest rozczarowany. Od jakiegoś czasu rozgląda się za nowym wydawnictwem. Jego książki nie sprzedają się w takich nakładach jak dawniej i ma poczucie, że wydawca niedostatecznie się stara. Chciałby z nim zerwać, zanim on zerwie z nim. – Główną nagrodę?

– Nie, wyróżnienie.

– Na pewno jesteś dobrą redaktorką.

Janine spogląda na zegarek.

– Janine spogląda na zegarek – komentuje Daniel. – Nudzi ją ten stary pierdoła.

– Pozbyłabym się tego drugiego zdania – odpowiada z uśmiechem. – Czytelnik sam się domyśli. Lepiej to pokazać niż mówić wprost.

– Jeżeli tak ma wyglądać ta rozmowa, muszę się napić. – Daniel daje znak barmanowi. – Wódkę proszę. Najlepiej Grey Goose, jeśli macie. I trochę wody sodowej. – Zwraca się w kierunku Janine. – Dla ciebie?

– Kieliszek białego.

– A więc, družno Janine, całe to gadanie, że lepiej pokazać niż powiedzieć,

to pic na wodę. To rada Syda Fielda z książek dla scenarzystów, ale nijak się ma do pisarstwa. Powieści, w każdym razie te najlepsze, nie próbują udawać scenariuszy.

– Czytałam twoją książkę w gimnazjum.

– Och, zlituj się. Czuję się jak starzec.

– Mojej mamie bardzo się podobała.

Daniel udaje, że przestrelono mu serce. Ismay puka go w ramię.

– Jadę do domu – szepcze mu do ucha.

Wychodzi za nią na dwór.

– Poczekaj.

Ismay prowadzi, bo Daniel jest zbyt pijany. Mieszkają w The Cliffs, najdroższej dzielnicy Alice Island. Wszystkie tamtejsze domy są z widokiem. Droga dojazdowa wiedzie pod górę, jest kręta i słabo oświetlona, żółte znaki drogowe co chwila przypominają kierowcom, że powinni zachować ostrożność.

– Mogłabyś troszkę zwalniać na zakrętach, skarbie.

Ismay wyobraża sobie, że zjeżdża w przepaść i spadają do oceanu. Ta perspektywa sprawia jej większą przyjemność niż myśl o samotnym samobójstwie. Uzmysławia sobie nagle, że wcale nie chce umrzeć. Chce, żeby Daniel umarł. Albo przynajmniej zniknął z jej życia. Tak, zniknął. To by jej wystarczyło.

– Nie kocham cię już.

– Ismay, nie bądź nedorzeczna. Zawsze tak mówisz po weselach.

– Nie jesteś dobrym człowiekiem.

– Jestem skomplikowany. Może nie dobry, ale na pewno nie najgorszy. To jeszcze nie powód, żeby kończyć idealnie przeciętne małżeństwo.

– Ty jesteś pasikonikiem, a ja mrówką. Tylko że mam już dosyć bycia mrówką.

– To dość dziecinne porównanie, Ismay. Uważam, że stać cię na więcej.

Ismay zatrzymuje samochód na skraju drogi. Ręce jej się trzęsą.

– Jesteś zły. A co gorsza, przy tobie ja też stałam się złą.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Mija ich auto, tak blisko, że szyby drżą.

– Ismay, nie powinniśmy tu stać. Jeżeli masz ochotę się pokłócić, dojedźmy do domu i zrobmy to jak należy.

– Za każdym razem, kiedy ją widzę z Ajayem i Amelią, robi mi się niedobrze. Powinna być naszym dzieckiem.

– Co?

– Maja. Gdybyś miał trochę przyzwoitości, byłaby nasza. Ale ty zawsze idziesz po linii najmniejszego oporu. A ja ci na to pozwalam. – Spogląda mu w oczy. – Wiem, że miałeś romans z Marion Wallace.

– To nieprawda.

– Nie kłam! Wiem, że to nie przypadek, że postanowiła zabić się właśnie tutaj. Wiem, że zostawiła ci Maję, ale ty jej nie chciałeś, bo jesteś leniem i tchórzem.

– Skoro twoim zdaniem tak było, dlaczego nic nie zrobiłaś?

– Bo to nie moja sprawa! Byłam w ciąży! Miałam wypić piwo, którego ty nawarzyłeś?

Kolejne auto przemyka obok, prawie się o nich ocierając.

– Ale gdybyś wtedy zdobył się na trochę odwagi i przyszedł z tym do mnie, przygarnełabym ją. Wybaczyłabym ci i pokochałabym ją jak własne dziecko. Czekałam, aż coś powiesz, ale się nie doczekałam. Czekałam dniami, tygodniami, latami.

– Ismay, myśl sobie, co chcesz, ale nic mnie nie łączyło z Marion Wallace. Była jedną z wielu czytelniczek, które przyszły na moje spotkanie.

– Masz mnie za skończoną idiotkę?

Daniel wzdycha.

– Była tylko czytelniczką i raz się z nią przespałem. Skąd w ogóle miałbym wiedzieć, że to dziecko jest moje? – Próbuje złapać ją za rękę, ale mu się wrywa.

– Brzydzę się tobą. W ogóle cię już nie kocham. Ani trochę.

– A ja nadal cię kocham.

Tylne lustro rozbłyskuje światłem reflektorów.

Ktoś wjeżdża im w tył, spychając samochód na środek drogi, w poprzek jezdni.

– Chyba nic mi nie jest – mówi Daniel. – A tobie?

– Noga mnie boli. Nie wiem, czy nie jest złamana.

Znów światła, tym razem z naprzeciwka.

– Ismay, musisz zjechać.

Obraca głowę i widzi nadjeżdżającą ciężarówkę. Myśli: zwrot akcji.

W pierwszym rozdziale jego słynnego debiutu główna bohaterka ma bardzo poważny wypadek. Daniel strasznie się nad tym męczył, bo zdał sobie sprawę, że cała jego wiedza na temat strasznych wypadków samochodowych pochodzi z książek i filmów. Robił do tej sceny jakieś pięćdziesiąt podejść, a i tak nie był zadowolony z końcowego efektu. Wyszedł mu ciąg urywków w stylu modernistycznych poetów. Coś jak Apollinaire albo Breton, tyle że

dużo słabsze.

*Światła, od których poszerzają się źrenice.*

*Klakson, wąty i spóźniony.*

*Stal miękka jak bibułka.*

*Nie czuła bólu, ale tylko dlatego, że jej ciało było już gdzie indziej.*

„Tak – myśli Daniel ułamek sekundy po zderzeniu i tuż przed śmiercią. –  
To nie było wcale takie złe”.

## *Część druga*



## Rozmowa z ojcem<sup>9</sup>

1972, Grace Paley

*Umierający ojciec dyskutuje z córką o tym, jak należy opowiadać historie. Będziesz zachwycona, Maju, jestem tego pewien. Może nawet zejdę teraz na dół i od razu Ci to dam.*

A.F.

Na następne zajęcia z kreatywnego pisania Maja ma napisać o kimś, kogo chciałaby lepiej poznać. „Mój biologiczny ojciec jest dla mnie jak duch” – zaczyna. Pierwsze zdanie całkiem niezłe, ale co dalej? Kilka godzin i dwieście pięćdziesiąt słów później zmuszona jest uznać swoją porażkę. Jak ma napisać opowiadanie o kimś, o kim nic nie wie? On naprawdę jest jak duch. Już sam zamysł był z gruntu chybiony.

Ajay zrobił jej kanapkę z roztopionym serem.

– Jak tam, Hemingwayu?

– Słyszałeś kiedyś o pukaniu? – Maja bierze kanapkę i zamyka drzwi. Kiedyś uwielbiała mieszkać na poddaszu, ale ma już czternaście lat, a odkąd wprowadziła się do nich Amelia, mieszkanie wydaje się małe. Poza tym przeszkadza jej hałas. Przez cały dzień słycać klientów z dołu. Jak tu pisać w takich warunkach?

Zdesperowana, postanawia uczynić bohaterem kota Amelii.

„Błotosmętkowi nigdy by nie przyszło do głowy, że przeprowadzi się z Providence na Alice Island”.

Nie, inaczej.

„Błotosmętkowi nigdy by nie przyszło do głowy, że zamieszka w księgarni”.

Przekombinowane. Tak powie pan Balboni, nauczyciel pisania. Maja napisała już jedno opowiadanie z perspektywy deszczu i jedno z perspektywy bardzo starej książki w bibliotece. „Ciekawy pomysł – skwitował to drugie pan Balboni – ale następnym razem spróbuj napisać coś o człowieku. Czy na pewno chcesz się specjalizować w antropomorfizacji?”.

Postanowiła, że nie chce – sprawdziwszy najpierw znaczenie tego słowa w słowniku. Nie chce się w niczym specjalizować. Choć w pewnym sensie to

jest jej specjalność i nic na to nie poradzi. W dzieciństwie mnóstwo czytała i wyobrażała sobie życie klientów, a czasem również sekretne życie materii nieożywionej: imbryka do herbaty lub obrotowego stojaka z zakładkami do książek. Cokolwiek mówić o tych nie do końca prawdziwych przyjaciółach, dzięki nim nie czuła się samotna.

Nieco później puka do niej Amelia.

– Pracujesz? Masz chwilę?

– Wejdz.

Amelia siada na łóżku.

– Co piszesz?

– Nie wiem. W tym problem. Miałam jeden pomysł, ale nie wypalił.

– No to rzeczywiście problem.

Maja tłumaczy zadanie.

– To ma być o kimś ważnym dla mnie. Na przykład o kimś, kto umarł albo kogo chciałabym lepiej poznać.

– To może napisz o swojej mamie?

Maja kręci głową. Nie chce urazić Amelii, ale to trochę banalne.

– Wiem o niej tyle ile o moim biologicznym ojcu.

– Żyłas z nią przez dwa lata. Wiesz, jak miała na imię i coś tam jeszcze. Zawsze to jakiś punkt wyjścia.

– Ale ja wcale nie chcę jej lepiej poznać. Miała swoją szansę w życiu i wszystko spieprzyła.

– To nieprawda.

– Przecież się poddała.

– Pewnie miała swoje powody. Na pewno dała z siebie wszystko. – Matka Amelii zmarła dwa lata temu i choć miały niełatwą relację, Amelia tęskni za nią mocniej, niż się spodziewała. Jej matka do końca swych dni przysyłała jej co dwa miesiące nową bieliznę. Amelia przez całe życie w ogóle nie musiała kupować majtek ani staników. Ostatnio przypadkiem wylądowała w dziale z bielizną w T.J. Maxxie i rozplakała się, grzebiąc w koszu z figami. Pomyślała wtedy: „Nikt już nigdy nie będzie mnie tak kochał”.

– Może ktoś, kto nie żyje? – sugeruje Ajay przy kolacji. – Na przykład Daniel Parish? Bardzo go lubiłaś.

– Kiedy byłam mała.

– To nie dzięki niemu postanowiłaś być pisarką?

Maja przewraca oczami.

- Nie...
  - Kochała się w nim, kiedy była mała – mówi Ajay, zwracając się do Amelii.
  - Taaato! Wcale nie.
  - Pierwszy literacki obiekt westchnień jest bardzo ważny – wtrąca Amelia.
  - U mnie to był John Irving.
  - Kłamiesz – prostuje Ajay. – To była Ann M. Martin.
- Amelia śmieje się i dolewa sobie wina.
- Może masz rację.
  - Cieszę się, że dobrze się bawicie – mówi Maja. – Jeżeli o mnie chodzi, to pewnie nie zdam do następnej klasy i skończę jak moja matka. – Wstaje od stołu i biegnie do swojego pokoju. Po drodze uderza kolaniem o kant regału z książkami. Ich mieszkanie nie jest stworzone do teatralnych gestów. – Boże, jak tu ciasno.

Znika w pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi.

- Mam iść z nią porozmawiać? – pyta szeptem Ajay.
- Nie. Nastolatki potrzebują przestrzeni. Niech się trochę podąsa.
- Może ma rację. To mieszkanie jest dla nas za małe.

Od kiedy wzięli ślub, regularnie przeglądają ogłoszenia w internecie. Teraz, gdy Maja osiągnęła wiek nastoletni, mieszkanie na poddaszu z jedną łazienką skurczyło się dramatycznie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ajay często korzysta z toalety w księgarni, żeby nie musieć rywalizować z Mają i Amelią. Jego klienci są lepiej wychowani. Poza tym ostatnio ma niezłe obroty (a przynajmniej na stabilnym poziomie) i w razie wyprowadzki mógłby urządzić na piętrze dział dziecięcy z prawdziwego zdarzenia, z kącikiem do czytania, albo upchnąć tam upominki i kartki okolicznościowe.

Wszystkie nieruchomości na wyspie będące w zasięgu ich portfela to bardzo skromne domy, choć Ajay ma poczucie, że człowieka w jego wieku powinno być stać na coś więcej. Dziwne kuchnie, dziwne rozkłady, zbyt małe pokoje, złowróżbne wzmianki o kłopotach z fundamentami. Dopóki nie zaczęli rozglądać się za nowym lokum, Ajay mógł policzyć na palcach jednej ręki wszystkie razy, kiedy zrobiło mu się żal na myśl o *Tamerlanie*.

Tego wieczoru Maja znajduje pod drzwiami kartkę:

Maju,

jeżeli utknęłaś w martwym punkcie, spróbuj coś przeczytać:

Pięknisie Antoniego Czechowa, Dom dla lalek<sup>10</sup> Katherine Mansfield,

Idealny dzień na ryby J.D. Salingera, Brownies albo Pijąc kawę gdzie indziej ZZ Packer, Cmentarz, na którym leży Al Jolson<sup>11</sup> Amy Hempel, Grubego Raymonda Carvera, Obóz indiański Ernesta Hemingwaya.

Powinniśmy mieć je wszystkie na dole. Jeżeli nie będziesz mogła czegoś znaleźć, pytaj, choć i tak pewnie orientujesz się lepiej niż ja.

Buziak,

Tata

Maja wpycha kartkę do kieszeni i schodzi na dół do zamkniętej o tej porze księgarni. Wprawia w ruch obrotowy stojak z zakładkami – cześć, zakładki! – i skręca ostro w prawo do działu z beletrystyką.

Wręczając opowiadanie panu Balboniemu, Maja jest spięta i lekko podekscytowana.

– *Dzień na plaży?*

– To opowiadanie z perspektywy piasku – wyjaśnia. – Jest zima na Alice Island i piasek tęskni za turystami.

Pan Balboni poprawia się na krześle, jego czarne skórzane spodnie, te same co zawsze, skrzypią. Zawsze powtarza swoim uczniom, żeby starali się dostrzegać pozytywy w pracach kolegów i koleżanek.

– Zapowiada się bardzo plastycznie.

– Żartuję. Postanowiłam odejść od antropomorfizacji.

– Przeczytam z przyjemnością.

Tydzień później pan Balboni oznajmia, że przeczyta jedno z opowiadań na głos. Wszyscy prostują plecy. Miło jest być wybranym, nawet jeśli trzeba później słuchać krytyki. Krytyka też jest na swój sposób przyjemna.

– I co myślicie? – pyta, skończywszy.

– Bez obrazy – odzywa się Sarah Pipp – ale te dialogi są trochę słabe. Rozumiem, o co chodziło autorowi, ale dlaczego oni bez przerwy mówią pełnymi zdaniami? – Sarah Pipp prowadzi blog *Perski jednorożec* z recenzjami książek. – I dlaczego narracja jest w trzeciej osobie? Dlaczego w czasie teraźniejszym? Mnie się to wydało dziecinne.

Billy Lieberman, piszący o skrzywdzonych chłopcach, którzy przezwyciężają nadprzyrodzone przeszkody, stwierdza:

– Nie wiadomo nawet, o co chodzi w zakończeniu.

– Jest niejednoznaczne – zauważa pan Balboni. – Pamiętajcie, jak

w zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o wieloznaczności?

Maggie Markakis, która chodzi na te zajęcia tylko dlatego, że retoryka kolidowała jej w planie z matematyką, przyznaje, że opowiadanie jej się podobało, choć dostrzega w nim błędy rachunkowe.

Abner Shochet ma wielorakie zastrzeżenia: nie lubi, kiedy bohaterowie kłamią („Nudzą mnie już narratorzy niewiarygodni” – zetknęli się z tym pojęciem raptem dwa tygodnie temu), a co gorsza, uważa, że w opowiadaniu nic się nie dzieje. Mai nie jest przykro, bo wszystkie opowiadania Abnera kończą się tym samym zwrotem akcji: narrator budzi się ze snu.

– A co wam się podobało? – pyta nauczyciel.

– Gramatyka – odzywa się Sarah Pipp.

– To, że było smutne – mówi John Furness, który ma długie brązowe rzęsy, a jego włosy unoszą się nad czołem jak u popowego idola. John napisał opowiadanie o dłoniach babci, które wzruszyło do łez nawet nieczułą Sarah Pipp.

– Mnie też – przytakuje pan Balboni. – Muszę powiedzieć, że podobało mi się wiele rzeczy, które waszym zdaniem należałoby poprawić. Podoba mi się i nieco poważny styl, i wieloznaczność. Nie zgadzam się z uwagą o „narratorze niewiarygodnym” – chyba będziemy musieli to jeszcze powąłkować. Nie uważam też, żeby coś było nie tak z rachunkami. Moim zdaniem, obok *Dłoni mojej babci*, jest to najlepsze opowiadanie, jakie powstało na zajęciach w tym semestrze. Oba zgłosimy do międzyszkolnego konkursu prozatorskiego.

Abner wydaje z siebie cichy jęk.

– Nie powiedział pan, czyje to opowiadanie.

– No tak, racja. Autorką jest Maja. Brawa dla Johna i Mai.

Maja stara się nie tryskać dumą.

– Nieźle, co? Że wybrał nasze opowiadania – mówi John, który z jakiegoś powodu postanowił odprowadzić Maję do jej szafki z rzeczami.

– Tak. Podobało mi się twoje. – Maja mówi prawdę, ale też bardzo zależy jej na wygranej. Główna nagroda to wart sto pięćdziesiąt dolarów bon na zakupy w Amazon.com oraz trofeum.

– Co kupisz, jeśli wygrasz? – pyta John.

– Na pewno nie książki. Mogę je mieć od taty.

– Fajnie masz. Chciałbym mieszkać w księgarni.

– Nie mieszkam w księgarni, tylko nad księgarnią. I to wcale nie jest takie

fajne.

– Na pewno jest.

John odgarnia brązowe włosy z oczu.

– Moja mama pyta, czy nie chciałabyś się z nami zabrać samochodem na ceremonię.

– Ale przecież dopiero się dowiedzieliśmy.

– Znam moją mamę. Jest wielką zwolenniczką podwożenia się nawzajem.

Może spytaj tatę?

– Obawiam się, że mój tata też będzie chciał pojechać, a nie ma samochodu, więc pewnie poprosi o podwózkę mojego chrzestnego albo chrzestną. A twoja mama też będzie chciała jechać. Więc nie wiem, czy to ma sens. – Maja czuje się, jakby mówiła przez pół godziny.

John się uśmiecha, a jego podniesiona grzywka lekko podskakuje.

– Nie ma problemu. Może chciałabyś, żebyśmy zabrali cię dokądś kiedy indziej?

Uroczystość wręczenia nagród odbywa się w jednym z liceów w Hyannis. Co prawda w sali gimnastycznej (powietrze pachnie piłkami do różnych gier) i na dobrą sprawę jeszcze się nie zaczęła, lecz mimo to wszyscy mówią półszepem, jak w kościele. Już niedługo wydarzy się tutaj coś doniosłego i literackiego.

Spośród czterdziestu ośmiu opowiadań z dwudziestu szkół średnich tylko trzy najlepsze zostaną odczytane na głos. Maja dla wprawy przeczytała swoje Johnowi Furnessowi. Powiedział, że powinna wolniej mówić i równiej oddychać. Długo ćwiczyła oddychanie podczas czytania, co wcale nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Słuchała też, jak on czyta, i zrewanżowała mu się radą, że powinien to robić normalnym głosem, zamiast silić się na ton prezentera telewizyjnego. „Wiem, że ci się podoba” – odparł. Od tamtego czasu bez przerwy mówi do niej tym sztucznym głosem. Strasznie ją to irytuje.

Pan Balboni rozmawia z jakąś kobietą, bez wątpienia nauczycielką z innej szkoły. Jest ubrana jak nauczycielka – w kwiecistą sukienkę i beżowy kardigan z haftowanymi płatkami śniegu – i żarliwie przytakuje każdemu jego słowu. Pan Balboni, rzecz jasna, ma na sobie te same co zawsze skórzane spodnie oraz – ponieważ jest poza szkołą – skórzaną marynarkę, słowem, skórzany garnitur. Maja chciałaby mu przedstawić tatę, żeby móc posłuchać, jak chwali ją w jego obecności. Boi się tylko, że Ajay powie coś głupiego.

Kiedy w zeszłym miesiącu przyszła do księgarni jej anglistka, pani Smythe, wcisnął jej do rąk książkę i oznajmił: „Zachwyci panią ten kunsztowny erotyzm”. Maja miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Ajay jest dziś pod krawatem, Maja włożyła dżinsy. Zamierzała przyjść w sukience, którą wybrała jej Amelia, ale zmieniła zdanie, bo ktoś mógłby pomyśleć, że przywiązuje do tego wydarzenia zbyt wielką wagę. Amelia w tym tygodniu jest w Providence, ma dojechać, ale prawdopodobnie się spóźni. Maja wie, że będzie zawiedziona, gdy zobaczy ją w dżinsach.

Rozlega się stukot o podium. Nauczycielka w swetrze z płatkami śniegu wita wszystkich na uroczystości rozdania nagród w międzyszkolnym konkursie prozatorskim hrabstwa Island. Chwali wszystkich uczestników za bardzo różnorodne i wzruszające opowiadania. Uwielbia swoją pracę i bardzo by chciała, żeby wszyscy mogli wygrać. Wreszcie ogłasza pierwszego finalistę.

John Furness, oczywiście. To było do przewidzenia. Maja opiera się na krzeselku i słucha. Opowiadanie robi na niej trochę lepsze wrażenie niż ostatnim razem. Podoba jej się porównanie babcinych dłoni do bibuły. Zerka na Ajaya: jego nieobecny wzrok zdradza znudzenie.

Drugą wyróżnioną autorką jest niejaka Virginia Kim. Jej *Wędrówka* traktuje o adoptowanym dziecku z Chin. Ajay kilka razy kiwa głową. Widać, że to opowiadanie podoba mu się bardziej niż poprzednie.

Maja zaczyna się martwić, że nie znajdzie się w finale. Dobrze, że przyszła w dżinsach. Obraca się, szukając wzrokiem najszybszej drogi ucieczki. W drzwiach stoi Amelia. Unosi kciuk w optymistycznym geście. „Sukienka. Gdzie sukienka?” – pyta ruchem warg.

Maja wzrusza ramionami i odwraca się. Virginia Kim ma na sobie czarną aksamitną sukienkę z białym kołnierzykiem à la pokojówka. Czyta cicho, chwilami prawie szeptem. Jak gdyby chciała, żeby słuchacze nadstawiali uszu.

Niestety, *Wędrówka* zdaje się nie mieć końca. Jest pięć razy dłuższa niż *Dłonie mojej babci*, Maja po pewnym czasie przestaje słuchać. Nawet lot do Chin trwa krócej.

Jeżeli *Dzień na plaży* nie znajdzie się w pierwszej trójce, na pocieszenie pozostanie jej bankiet z ciastkami i pamiątkowe T-shirty. Tylko po co zostawać na bankiecie, jeżeli nie dostało się przynajmniej wyróżnienia?

Jeżeli dostanie wyróżnienie, będzie zła, że nie wygrała.

Jeżeli wygra John Furness, postara się go nie znienawidzić.

Jeżeli wygra ona, być może przeznaczy nagrodę na cele dobroczynne. Na

przykład na dzieci z ubogich rodzin albo na sierociniec.

Jeśli przegra, nic się nie stanie. Nie napisała tego opowiadania dla nagrody ani nawet dla zaliczenia. Gdyby chodziło tylko o zaliczenie przedmiotu, napisałaby o Błotosmętku. Kreatywne pisanie nie liczy się do średniej.

Gdy mistrzyni ceremonii ogłasza trzeciego finalistę, Maja łapie Ajaya za rękę.



# *Idealny dzień na ryby*

1948, J.D. Salinger

*Jeżeli coś cieszy się powszechnym uznaniem, to jeszcze nie powód, żeby tego nie lubić.*

Twoje opowiadanie Dzień na plaży – to, które zgłoszono na konkurs międzyszkolny – przypomina mi trochę opowiadanie Salingera. Piszę o tym, bo uważam, że zasługiwało na pierwszą nagrodę. To, które wygrało, a które, o ile dobrze pamiętam, nazywało się Dłonie mojej babci, było znacznie prostsze pod względem formalnym, narracyjnym, a już na pewno emocjonalnym. Nie martw się, Maju. Jako księgarz mogę cię zapewnić, że nagrody przekładają się czasem na sprzedaż, ale zwykle niewiele mówią o jakości prozy.

A.F.

*PS W Twoim opowiadaniu najbardziej podoba mi się empatia. Dlaczego ludzie postępują tak, a nie inaczej? Oto znak wielkiego pisarstwa.*

*PS2 Jeżeli miałbym się do czegoś przyczepić, to może powinnaś wcześniej wprowadzić wątek pływacki.*

## **Dzień na plaży**

Maja Tamerlane Fikry

Opiekun: Edward Balboni, Liceum Ogólnokształcące w Alicetown

Mary jest spóźniona. Ma własny pokój, ale dzieli łazienkę z sześcioma osobami i prawie zawsze ktoś jest w środku. Gdy wraca do pokoju, opiekunka do dziecka siedzi na jej łóżku.

– Mary, czekam na ciebie od pięciu minut.

– Przepraszam. Chciałam wziąć prysznic, a nie mogłam się dostać do łazienki.

– Jest już jedenasta. Zapłaciłaś mi, żebym zajęła się małą do dwunastej.

Kwadrans po jestem umówiona. Lepiej się nie spóźnij.

Mary dziękuje jej. Całuje dziecko w czoło.

– Bądź grzeczna.

Biegnie przez kampus na wydział filologii angielskiej. Wbiega po schodach. Zastaje swojego wykładowcę w drzwiach gabinetu.

– O, Mary. Właśnie wychodziłem. Myślałem, że już nie przyjdiesz. Wejź, proszę.

Siadają w gabinecie. Wykładowca wyjmuje jej pracę i kładzie na biurku.

– Mary, kiedyś miałaś same piątki, a teraz zawałasz wszystkie zajęcia.

– Przepraszam. Postaram się poprawić.

– Czy dzieje się coś złego? Jeszcze niedawno byłaś jedną z naszych najlepszych studentek.

– Nie. – Zagryza wargę.

– Twoje studia są finansowane ze stypendium. Już teraz jesteś w tarapatkach z powodu słabych ocen. Jeżeli powiem władzom wydziału, jak się sprawy mają, pewnie pozbawią cię stypendium albo przynajmniej wyślą na przymusowy urlop dziekański.

– Proszę tego nie robić! Nie mam się gdzie podziać. Stypendium to moje jedyne źródło utrzymania.

– To dla twojego własnego dobra, Mary. Powinnaś wrócić do domu i dobrze sobie wszystko przemyśleć. Niedługo święta. Rodzice zrozumieją.

Do akademika Mary wraca kwadrans po umówionym czasie. Opiekunka wita ją krzywym spojrzeniem.

– Mary, znów się spóźniłaś. Ja też mam swoje sprawy do załatwienia i przez ciebie jestem spóźniona. Przykro mi, bardzo lubię małą, ale nie widzę możliwości, żebym dłużej się nią zajmowała.

Mary zabiera dziecko.

– Dobrze.

– I jeszcze jedno. Jesteś mi winna za ostatnie trzy razy. Po dziesięć dolarów za godzinę, w sumie trzydzieści.

– Mogę ci zapłacić następnym razem? Miałam po drodze zahaczyć o bankomat, ale nie zdążyłam.

Opiekunka robi minę.

– Podrzucić do akademika kopertę z moim nazwiskiem. Chciałabym dostać te pieniądze przed świętami. Muszę kupić prezenty.

Mary kiwa głową.

– Pa, maleńka – żegna się opiekunka. – Wesołych świąt.

Dziecko gaworzy.

– Macie jakieś plany na święta?

– Pewnie pojedziemy odwiedzić moją mamę. Mieszka w Greenwich, w Connecticut. Zawsze stawia wielką choinkę i robi pyszną kolację.

Dostaniemy z Mają górę prezentów.  
– To super – stwierdza opiekunka.

Mary wkłada dziecko do nosidełka i udaje się do banku. Sprawdza stan konta za pomocą karty. Na rachunku bieżącym zostało jej siedemdziesiąt pięć dolarów i siedemnaście centów. Wypłaca czterdzieści dolarów i wchodzi do środka, żeby je rozmienić.

Wsadza trzydzieści do koperty z nazwiskiem opiekunki. Kupuje bilet i jedzie metrem do ostatniej stacji. W tej dzielnicy nie jest tak ładnie jak w okolicach jej kampusu.

Idąc wzdłuż ulicy, dochodzi do zaniedbanego domu ogrodzonego metalową siatką. Na podwórzu stoi pies na łańcuchu. Zaczyna szczekać, mała płacze.

– Nie bój się, skarbie – uspokaja ją Mary. – Pies jest uwiązany.

Wchodzi do środka. W domu jest brudno, wszędzie pełno dzieci. One też są brudne. Każde jest w innym wieku i strasznie hałasują. Niektóre poruszają się na wózkach.

– Cześć, Mary – wita ją niepełnosprawna dziewczynka. – Co tu robisz?

– Przyjechałam odwiedzić mamę.

– Jest na górze. Źle się czuje.

– Dzięki.

– To twoje dziecko? – pyta dziewczynka.

– Nie. – Mary zagryza wargę. – Koleżanki. Poprosiła mnie, żebym się nią zajęła.

– Jak tam Harvard?

– Świetnie.

– Pewnie masz same piątki.

Mary wzrusza ramionami.

– Zawsze jesteś taka skromna – zauważa dziewczynka. – Ciągłe jesteś w drużynie pływackiej?

Mary ponownie wzrusza ramionami. Wchodzi po schodach na górę.

Mama jest chorobliwie otyłą białą kobietą. Mary jest chuda i czarnoskóra. Mama nie może być biologiczną matką Mary.

– Cześć, mamó. Wesołych świąt. – Mary całuje ją w policzek.

– Cześć, prymusko. Nie spodziewałam się ciebie. To twoje dziecko?

Mary wzdycha.

– Tak.

– Jaka szkoda. Taka mądra z ciebie dziewczyna, po co komplikować sobie życie? Nie mówiłam ci, żebyś nie uprawiała seksu? Żebyś zawsze się zabezpieczała?

– Mówiłaś, mam. – Mary zagryza wargę. – Słuchaj, czy nie mogłabym tu jakiś czas pomieszkać z małą? Postanowiłam wziąć urlop dziekański i poukładać sobie życie. To by mi bardzo pomogło.

– Oj, Mary, żałuję, ale w tym domu nie ma już miejsca. Nie mam dla ciebie pokoju. Poza tym jesteś już pełnoletnia, nie dostanę na ciebie pieniędzy od stanu.

– Mam, nie mam dokąd pójść.

– Powiem ci, co powinnaś zrobić. Uważam, że powinnaś skontaktować się z ojcem dziecka.

Mary kręci głową.

– Nie znam go zbyt dobrze.

– W takim razie powinnaś oddać dziecko do adopcji.

Mary znów kręci głową.

– Nie mogę.

Wraca do akademika. Pakuje rzeczy dla dziecka do torby. Wkłada do niej pluszowego Elma. Puka jej sąsiadka.

– Cześć, dokąd się wybierasz?

Mary uśmiecha się pogodnie.

– Pomyślałam, że wyskoczę na plażę. Mała uwielbia plażę.

– Nie za zimno na plażowanie?

– Nie, czemu. Ubierzemy się bardzo ciepło. Zimą na plaży jest pięknie.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Może i tak.

– Kiedy byłam małą, tata bardzo często zabierał mnie na plażę.

Mary zostawia kopertę w akademiku opiekunki. Potem kupuje kartą kredytową bilety na pociąg i na prom na Alice Island.

– Dziecko nie potrzebuje biletu – oznajmia bileter na pirsie.

– Aha.

Na wyspie jednym z pierwszych miejsc, jakie widzi, jest księgarnia. Wchodzi do środka, żeby mała się ogrzała. Za ladą stoi mężczyzna. Ma nabzdyczoną minę i nosi conversy.

W księgarni leci piosenka *Have Yourself a Merry Little Christmas*.

– Robi mi się strasznie smutno, jak ją słyszę – oznajmia jakaś klientka. – To najsmutniejsza piosenka, jaką znam. Po co ktoś napisał taką smutną piosenkę o Bożym Narodzeniu?

– Szukam czegoś do czytania – odzywa się Mary.

Twarz księgarza trochę łagodnieje.

– A co pani lubi?

– O, bardzo różne rzeczy, ale najbardziej książki, w których bohater ma w życiu pod górkę, ale na końcu przewycięża wszystkie trudności. Wiem, że prawdziwe życie wygląda inaczej. I może właśnie dlatego lubię takie opowieści.

Księgarz odpowiada, że ma coś dla niej, ale kiedy wraca z książką, Mary już nie ma.

– Proszę pani?

Odkłada książkę na ladę, na wypadek gdyby wróciła.

Mary jest na plaży, ale bez dziecka.

Kiedyś dużo pływała. W liceum była mistrzynią stanu. Tego dnia fale są lekko wzburzone, a woda zimna. Mary dawno nie trenowała.

Odpywa od brzegu, mija latarnię. Nie wraca.

KONIEC

– Gratuluję – mówi Maja do Johna Furnessa na bankiecie, ściskając w dłoni zwinięty T-shirt.

Amelia trzyma jej dyplom: trzecie miejsce.

John wzrusza ramionami, włosy mu falują.

– Moim zdaniem to ty powinnaś wygrać. Ale to miło, że wybrali dwa opowiadania z Alicetown.

– To chyba zasługa pana Balboniego.

– Jeśli chcesz, możemy się podzielić nagrodą – proponuje John.

Maja potrząsa głową.

– Na co byś ją wydała?

– Oddałabym na cele charytatywne. Dla dzieciaków z biednych rodzin.

– Naprawdę? – pyta swoim telewizyjnym głosem.

– Mój tata raczej nie popiera zakupów przez internet.

– Chyba nie jesteś na mnie zła?

– Nie, skąd. Cieszę się. Nasi górą! – Szturcha go w ramię.

– Auuu.

– No to na razie. Musimy zdążyć na prom samo-chodowy.

– My też. Jest jeszcze dużo czasu.

– Mój tata ma trochę pracy w księgarni.

– No to do zobaczenia w szkole. – John znów mówi głosem prezentera.

W samochodzie Amelia gratuluje Mai wyróżnienia i wspaniałego opowiadania. Ajay milczy.

Maja podejrzewa, że jest rozczarowany. Odzywa się dopiero po zaparkowaniu auta:

– Takie konkursy to loteria. Ludziom jedne rzeczy podobają się bardziej niż inne. To jednocześnie piękne i straszne. Wszystko zależy od prywatnych gustów danej grupy ludzi w danym dniu. Weźmy choćby to, że wśród finalistów były dwie kobiety. To mogło przechylić szalę na korzyść jedyne go chłopaka. A może tydzień temu którejś z jurerek zmarła babcia i dlatego to opowiadanie przemówiło do niej wyjątkowo mocno. Nie dowiemy się. Ale jedno wiem na pewno. *Dzień na plaży* Mai Tamerlane Fikry to dzieło pisarki.

Maja spodziewa się, że teraz ją uściska, lecz Ajay tylko chwyta ją za dłoń i potrząsa nią, tak jak wita się czasem ze znajomymi – na przykład z autorami, którzy odwiedzają go w księgarni.

Przychodzi jej do głowy zdanie: „Dzień, kiedy tata uściśnął mi dłoń, był dniem, kiedy poczułam się pisarką”.

Na krótko przed końcem roku szkolnego Ajay i Amelia składają ofertę kupna domu. Znajduje się on w głębi wyspy, jakieś dziesięć minut piechotą od księgarni. Ma swoje zalety: cztery pokoje, dwie łazienki i ciszę niezbędną młodej pisarce do pracy, poza tym jednak trudno go nazwać domem marzeń. Poprzednia właścicielka w nim zmarła – nie chciała go opuścić, ale i niezbyt o niego dbała przez ostatnich pięćdziesiąt lat. Niskie sufity, tapety z kilku różnych epok do zdarcia, słabe fundamenty i tak dalej. Ajay nazywa go „domem za dziesięć lat”, w znaczeniu: „za dziesięć lat będzie się nadawał do mieszkania”. Amelia używa słowa „przedsięwzięcie” – i niezwłocznie przystępuje do jego realizacji. Maja, która właśnie przebrnęła przez wszystkie księgi *Władcy Pierścieni*, mówi o nim Bag End – „bo wygląda jak miejsce, gdzie mógłby mieszkać hobbit”.

Ajay całuje córkę w czoło. Jest dumny, że udało mu się ją wychować na takiego nerda.

## *Serce oskarżycielem*

1843, Edgar Allan Poe

*Nie wiem, czy wiesz, ale miałem kiedyś inną żonę niż Amelia i inny zawód niż sprzedawanie książek. Moja pierwsza żona nazywała się Nicole Evans. Bardzo ją kochałem. Zginęła w wypadku samochodowym. Jakaś część mnie umarła razem z nią i ożyła dopiero, gdy Cię znalazłem.*

Poznałem Nicole na studiach doktoranckich. Chciała pisać wiersze, a tymczasem ślęczała nad doktoratem na temat poetek dwudziestowiecznych (Adrienne Rich, Marianne Moore, Elizabeth Bishop; nie cierpiała Sylvii Plath). Ja zamierzałem się doktoryzować z literatury amerykańskiej. Miałem pisać o sposobie przedstawiania choroby w twórczości Edgara Allana Poeego – nigdy nie przepadałem za tym tematem, a z czasem zacząłem go serdecznie nienawidzić. Wtedy Nicole zwróciła mi uwagę, że są inne sposoby na życie wśród książek.

– Ciekawe jakie? – zapytałem.

Na co ona, że można prowadzić księgarnię.

– Słucham dalej.

– Czy wiesz, że w moim rodzinnym miasteczku nie ma ani jednej?

– Naprawdę? To dziwne, powinna być.

– No właśnie. Miasteczko bez księgarni to nie jest miasteczko.

Tak więc rzuciliśmy studia, wypłaciliśmy pieniądze z funduszu powierniczego, który założyli dla niej rodzice, przenieśliśmy się na wyspę i otworzyliśmy księgarnię o nazwie Island Books.

Czy muszę pisać, że nie mieliśmy wtedy pojęcia, w co się pakujemy?

Po śmierci Nicole nieraz próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądałoby moje życie, gdybym jednak zrobił ten doktorat.

Ale zbaczam z tematu.

To chyba najbardziej znane opowiadanie Poeego. Gdybyś chciała kiedyś poczytać, czym Twój tata zajmował się w poprzednim życiu, w pudełku podpisanym Różności znajdziesz moje notatki i dwadzieścia pięć stron pracy doktorskiej (głównie o Serce oskarżycielem).

A.F.

– Najbardziej nie lubię, kiedy na końcu książki nie wszystko trzyma się kupy  
– oznajmia podkomisarz Doug Lippman, wybierając cztery kawałki kisa z półmiska przystawek przygotowanych przez Lambiase’a. Wiele lat w roli organizatora policyjnego klubu książki nauczyło komendanta, że najważniejszą rzeczą, ważniejszą nawet od omawianego tytułu, jest poczęstunek.

– Podkomisarzu – zwraca się do niego Lambiase – są po trzy kawałki na głowę, inaczej nie starczy dla wszystkich.

Doug odkłada jeden kawałek na półmisek.

– No bo powiedzcie – ciągnie swój watek – co się właściwie stało ze skrzypcami? Czy coś przegapiłem? Bezcenny stradivarius nie znika sobie ot tak po prostu.

– Racja – potakuje Lambiase. – Jeszcze jakieś uwagi?

– Wiecie, czego nie znoszę? – odzywa się Kathy z wydziału zabójstw. – Nie znoszę, jak policjanci w książkach odwalają fuszerkę. Na przykład kiedy nie wkładają rękawiczek. Myślę sobie wtedy: bez jaj, zacieracie ślady zbrodni!

– U Deavera to się nie zdarza – wtrąca Sylvio z dyspozytorni.

– Gdyby tak wszyscy pisali jak Deaver – rozmarza się Lambiase.

– Ale jeszcze bardziej niż fuszerki nie znoszę, kiedy wszystko za szybko się wyjaśnia – mówi dalej Kathy. – Nawet u Deavera czasem tak jest. A przecież to nie takie proste. Śledztwa potrafią się ciągnąć latami. Trzeba poznać sprawę od podszewki.

– Słuszna uwaga, Kathy.

– Tak w ogóle to pyszny kisz.

– Z Costco – mówi Lambiase.

– Ja nie cierpię postaci kobiecych – odzywa się Rosie ze straży pożarnej. – Książkowa policjantka zawsze jest byłą modelką z rodziny z policyjnymi tradycjami. I ma co najwyżej jedną wadę.

– Obgryza paznokcie – podchwytuje Kathy. – Ma potargane włosy. Albo niewyparzony język.

Rosie się śmieje.

– To musi być jakaś męska fantazja.

– Mnie tam się podoba – wtrąca Doug.

– A może te skrzypce nie są takie ważne?

– Oczywiście, że są ważne.

– Może są tylko narzędziem fabularnym?

– Buuu! – Strażaczka Rosie pokazuje kciukiem podłogę. – Buuu!

Ajay przysłuchuje się dyskusji zza lady. Spośród wszystkich klubów



książki, którym Island Books udziela gościny, najbardziej lubi właśnie klub mundurowych. Lambiase woła w jego stronę:

– Ajay, wesprzyj mnie. Powiedz im, że nie zawsze musi być jasne, kto ukradł skrzypce.

– Wiem z doświadczenia, że czytelnicy wolą takie rzeczy wiedzieć. Choć sam nie mam nic przeciwko niedopowiedzeniom.

Po pierwszym zdaniu wybuchają głośne wiwaty i drugiego nikt już nie słyszy.

– Zdrajco! – woła Lambiase.

Ajay wzrusza ramionami. W tej samej chwili do księgarni wchodzi Ismay. Uczestnicy powracają do dyskusji, ale Lambiase nie może oderwać od niej wzroku. Jest ubrana w letnią białą sukienkę z rozkloszowaną spódnicą, która podkreśla jej drobną talię. Zapuściła swoje rude włosy, co złagodziło jej rysy. Lambiase przypomina sobie orchidee hodowane przez jego byłą żonę na parapecie.

Ismay podchodzi do Ajaya. Kładzie przed nim kartkę.

– W końcu wybrałam sztukę. Będę potrzebowała mniej więcej pięćdziesięciu egzemplarzy *Naszego miasta*.

– Klasyka – zauważa Ajay.

Wiele lat po śmierci Daniela Parisha i pół godziny po spotkaniu klubu książki Lambiase stwierdza, że nadszedł czas, by zadać Ajayowi pewne bardzo konkretne pytanie.

– Nie chciałbym się narzucać, ale czy mógłbyś się dowiedzieć, czy twoja szwagierka nie chciałaby umówić się na randkę z niebrzydkim stróżem prawa?

– Kogo masz na myśli?

– Siebie. Żartowałem z tym niebrzydkim. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem Misterem Universum.

– Nie, nie, pytałem, z kim chcesz się umówić. Amelia jest jedynaczką.

– Nie Amelia. Chodziło mi o twoją byłą szwagierkę, Ismay.

– Ach, no tak... – Ajay przez chwilę milczy. – Ismay? Naprawdę?

– Tak, zawsze miałem do niej słabość. Jeszcze w szkole średniej. Ona oczywiście nigdy nie zwróciła na mnie uwagi. Ale lata lecą i pomyślałem, że powinienem w końcu spróbować.

Ajay dzwoni do Ismay i przekazuje jej zapytanie.

– Lambiase? On?

– To porządny facet.

– Tak, tylko że... jeszcze nigdy nie umawiałam się z policjantem.

– Wyczuwam straszny snobizm.  
– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu zawsze wolałam intelektualistów.

„I świetnie na tym wyszłaś” – myśli Ajay, lecz zachowuje to dla siebie.

– Oczywiście moje małżeństwo było katastrofą – przyznaje Ismay.

Kilka wieczorów później spotyka się z Lambiase'em w El Corazon. Zamawia stek z krewetkami oraz dzin z tonikiem. Postanowiła nie silić się na kobiecość, bo i tak raczej nie będzie drugiej randki.

– Masz apetyt – zauważa Lambiase. – Ja poproszę to samo.

– To czym się zajmujesz poza godzinami pracy?

– Wierz mi lub nie, ale dużo czytam. Choć może dla ciebie to by nie było dużo. Wiem, że uczysz angielskiego.

– A co czytasz?

– Wszystkiego po trochu. Zacząłem od kryminałów, jak łatwo się domyślić. Ale potem Ajay przekonał mnie do innych książek. Ambitna proza, tak to się chyba nazywa. Choć w niektórych jak nam mój gust za mało się dzieje. Poza tym wstyd się przyznać, ale lubię książki dla nastolatków. Pewnie twoi uczniowie je czytają. No i czytam wszystko, co poleca Ajay. A on ma słabość do opowiadań...

– Wiem.

– I co poleca Maja. Lubię rozmawiać z nimi o książkach. Są bardzo odcytani. Prowadzę też klub książki dla policjantów. Może widziałaś plakaty.

Ismay kręci głową.

– Przepraszam, jeśli za dużo mówię. Chyba trochę się stresuję.

– Nie, nie. – Ismay upija łyczek. – Czytałeś coś Daniela?

– Tak, jedną powieść. Jego pierwszą.

– Podobała ci się?

– Nie była w moim guście. Ale pamiętam, że była bardzo dobrze napisana.

Ismay potakuje.

– Tęsknisz za mężem?

– Nieszczerólnie – odpowiada po chwili. – Może czasem za jego poczuciem humoru. Ale najwięcej zalet miał jako pisarz. Gdybym naprawdę za nim tęskniła, mogłabym czytać jego książki. Ale na razie jakoś nie miałam takiej potrzeby. – Śmieje się cicho.

– A co czytasz?

– Dramaty, trochę poezji. No i lektury moich uczniów: *Tess*, *Johny poszedł na wojnę*, *Pożegnanie z bronią*, *Modlitwa za Owena*, czasem *Wichrowe Wzgórze*, *Silas Marner*, *Ich oczy oglądały Boga*<sup>12</sup> albo *Zdobywam zamek*. Te książki są jak

starzy znajomi. Ale kiedy szukam dla siebie czegoś nowego, najbardziej lubię, kiedy bohaterem jest kobieta w dalekim kraju. Gdzieś w Indiach. Albo w Bangkoku. Czasem rzuca męża. Czasem go nie ma, bo rozsądek jej podpowiedział, że małżeństwo to nie dla niej. Lubię, gdy ma wielu kochanków. I nosi kapelusze, które chronią jej jasną cerę przed słońcem. I podróżuje, miewa różne przygody. Lubię opisy hoteli i walizek oblepionych naklejkami. Lubię opisy jedzenia, ubrań i biżuterii. Jakiś nieduży wątek miłosny, ale bez przesady. A to wszystko w historycznym kostiumie. Żadnych komórek, portali społecznościowych, w ogóle internetu. Najbardziej lubię lata dwudzieste i czterdzieste. Czasem z wojną w tle, ale bez krwawych scen przemocy. Trochę seksu, ale bez nadmiernie obrazowych opisów. I żadnych dzieci. Dzieci potrafią mi zepsuć powieść.

– Nie mam dzieci.

– W prawdziwym życiu mi nie przeszkadzają. Po prostu nie chcę o nich czytać. Zakończenie może być szczęśliwe albo smutne, wszystko mi jedno, byle miało sens. Bohaterka może się ustatkować, rozkręcić jakiś mały interes albo utopić się w oceanie. Aha, i przywiązuję wagę do okładki. Choćby nie wiem jak dobra powieść była w środku, nie mam ochoty obcować z czymś, co jest brzydkie. Pewnie jestem powierzchowna.

– Jesteś strasznie ładną kobietą.

– Zwyczajną.

– O nie.

– Poza tym atrakcyjność fizyczna to nie jest dobry powód, żeby się do kogoś zalecać. Powtarzam to bez przerwy moim uczniom.

– I to mówi ktoś, kto nie czyta książek z brzydką okładką.

– Tylko cię ostrzegam. Mogę się okazać złą książką z ładną okładką.

Lambiase wydaje cichy jęk.

– Znałem kilka takich.

– Na przykład?

– Moja pierwsza żona. Ładna i wredna.

– I postanowiłeś powtórzyć ten błąd?

– Nie, ciebie widuję na półce od lat. Przeczytałem streszczenie i opinie z tyłu okładki. Troskliwa nauczycielka. Matka chrzestna. Udziela się społecznie. Pomaga mężowi siostry i jego córce. Pechowe małżeństwo, pewnie zbyt pochopne, ale starała się, jak mogła.

– To bardzo pobieżny opis.

– Ale zachęca do dalszej lektury. – Uśmiecha się. – Zamawiamy deser?

– Bardzo dawno nie uprawiałam seksu – zaznacza Ismay w samochodzie. Jada do niej.

– Aha.

– Uważam, że powinniśmy pójść do łóżka – uściśla. – To znaczy, jeśli masz ochotę.

– Mam wielką ochotę. Ale jeszcze bardziej zależy mi na drugiej randce z tobą. Nie chciałbym iść teraz do łóżka, a potem patrzeć, jak chodzisz z innym facetem.

Ismay ze śmiechem prowadzi go do sypialni. Rozbiera się przy włączonym świetle. Niech wie, jak wygląda kobieta pod pięćdziesiątkę.

Lambiase cicho gwizdże.

– To miło z twojej strony, ale żałuj, że nie widziałeś mnie wcześniej. Bez tych blizn.

Długa szrama biegnie od kolana aż do biodra. Lambiase przesuwa po niej kciukiem: jest jak szew na lalce.

– One niczego nie zmieniają.

Po wypadku jej noga była złamana w piętnastu miejscach. Musiano jej wstawić protezę stawu biodrowego, poza tym jednak miała dużo szczęścia. Pierwszy raz w historii ich małżeństwa Daniel wziął cały ciężar na siebie.

– Czy to boli? – pyta Lambiase. – Mam być ostrożny?

Ismay potrząsa głową i mówi mu, żeby się rozebrał.

Rano budzi się pierwsza.

– Zrobię ci śniadanie.

Zaspany Lambiase potakuje. Ismay całuje go w ogoloną głowę.

– Strzyżesz się na zero, bo łysiejesz, czy dlatego, że tak lubisz?

– Jedno i drugie po trochu.

Ismay kładzie mu ręcznik na łóżku i wychodzi z sypialni. Lambiase ubiera się bez pośpiechu. Otwiera szufladę nocnego stolika i grzebie w jej rzeczach. Są tam luksusowo wyglądające balsamy, które pachną jak ona. Wciera sobie trochę w dłonie. Zagląda do jej szafy. Ubrania są malutkie: jedwabne sukienki, odprasowane bawełniane bluzy, ołówkowe spódnice z wełny, cienkie jak bibułka kaszmirowe kardigany. Wszystko w eleganckich odcieniach beżu i szarości, wszystko zadbane. Na górnej półce uporządkowane buty, każda para w swoim pudełku. Nad jednym z takich stosów dostrzega dziecięcy plecaczek w różowym kolorze.

Jego policyjny wzrok zatrzymuje się na tym plecaku. Choć wie, że nie

powinien, Lambiase zdejmuje go i rozpina. W środku znajduje piórnik na suwak z kredkami oraz kilka kolorowanek. Sięga po jedną z nich: na okładce jest napisane „Maja”. W głębi plecaka dostrzega jeszcze inną książeczkę. Cienką, prawie jak broszura. Spogląda na okładkę.

*Tamerlan i inne wiersze*  
Bostończyk

Na okładce widać ślady kredek.

Lambiase jest skonsternowany.

Jego policyjny umysł natychmiast stawia pytania: 1) Czy to ukradziony egzemplarz Ajaya? 2) Co by robił u Ismay? 3) Skąd ślady kredek na okładce i czyja to sprawka? Mai? 4) Co *Tamerlan* robi w plecaku z jej imieniem?

W pierwszej chwili chce zbiec na dół i zażądać od Ismay wyjaśnień, lecz zmienia zdanie.

Jeszcze przez kilka sekund przygląda się wiekowemu tomikowi.

Dociera do niego zapach naleśników. Widzi oczyma wyobraźni, jak Ismay smaży je dla niego. Pewnie ma na sobie biały fartuch i jedwabną koszulę nocną. A może sam fartuch i nic więcej. Smakowity widok. Może da się namówić na seks? Nie na kuchennym stole, bo to strasznie niewygodne, nawet jeśli na filmach wygląda bardzo zmysłowo. Może na kanapie. Może znów w sypialni. Jej materac jest taki miękki, a prześcieradło gładkie i puszyste.

Lambiase jest dobrym policjantem i wie, że powinien teraz zejść na dół i wymówić się od wspólnego śniadania.

Ale, ale, czy to nie odgłos wyciskanych pomarańczy? Czy Ismay nie podgrzewa syropu klonowego?

Książka jest zniszczona.

Zresztą ukradziono ją dawno, dawno temu. To już ponad dziesięć lat. Ajay jest szczęśliwym mężem i ojcem. Mai niczego nie brakuje. Ismay wiele wycierpiała.

Nie mówiąc o tym, że bardzo mu się podoba. Poza tym to przecież nie jego sprawa. Chowa książkę z powrotem do plecaka i odkłada go na miejsce.

Lambiase uważa, że policjanci dzielą się na dwie grupy. Jedni z wiekiem stają się coraz bardziej surowi, drudzy – coraz mniej. On sam nie jest już tak pryncypialny jak w początkach kariery. Życie nauczyło go, że ludzie robią różne głupstwa i że zwykle mają swoje powody.

Schodzi na dół i siada przy okrągłym stole w kuchni, zasłanym najbielszym

obrusem, jaki kiedykolwiek widział.

– Cudowny zapach – mówi.

– Miło jest mieć komu gotować. Myślałam, że nigdy nie zejdziesz. – Ismay nalewa mu świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Ma na sobie turkusowy fartuch, a pod spodem czarny dres.

– Czytałaś może to konkursowe opowiadanie Mai? Moim zdaniem to ona powinna zgarnąć główną nagrodę.

– Nie czytałam go jeszcze.

– Maja opisuje w niej ostatni dzień życia swojej matki, tak jak go sobie wyobraża.

– Zawsze była dojrzała ponad swój wiek.

– A mnie zawsze ciekawiło, dlaczego jej matka wybrała akurat naszą wyspę.

Ismay obraca naleśnik, a potem drugi.

– Kto zrozumie ludzi?

## *Żelazkogłowy*<sup>13</sup>

2005, Aimee Bender

*Żeby było jasne: nie wszystko nowe jest gorsze od starego.*

Małżeństwu z głowami w kształcie dyni rodzi się dziecko z głową w kształcie żelazka. Ze względów, które uważam za oczywiste, dużo teraz myślę o tym opowiadaniu.

*A.F.*

*PS Myślałem jeszcze o Kuli w łeb<sup>14</sup> Tobiasa Wolffa. Też warto przeczytać.*

W święta Bożego Narodzenia odwiedza ich mama Ajaya, całkiem do niego niepodobna. Paula jest drobną białą kobietą o długich siwych włosach, które ostatni raz obcinała dziesięć lat temu, zanim odeszła z pracy w firmie komputerowej i udała się na emeryturę. Robi biżuterię z malowanych kamyków. Prowadzi zajęcia dla więźniów z czytania i pisania. Ratuje husky syberyjskie. Co tydzień chadza do innej restauracji. Umawia się na randki z kobietami i z mężczyznami. Przeszła na biseksualizm, nie robiąc z tego wielkiego halo. Ma siedemdziesiąt lat i uważa, że trzeba próbować nowych rzeczy, bo inaczej życie mija się z celem. Zjawia się z trzema identycznie zapakowanymi prezentami tej samej wielkości, zapewniając, że to wcale nie z lenistwa. „Po prostu uznałam, że wszyscy troje będziecie z tego zadowoleni”.

Maja nie musi nawet rozdzierać papieru, od razu domyśla się, co jest w środku.

Widziała je w szkole. Ostatnio prawie wszyscy je mają, ale jej tata tego nie pochwała. Nie spieszy się z rozpakowywaniem, by mieć więcej czasu do namysłu, jak zareagować, by nie urazić ani babci, ani taty.

– Czytnik e-booków! Od dawna o takim marzyłam. – Zerka w stronę Ajaya. Ten kiwa głową, lecz skacze mu powieka. – Dziękuję, babciu. – Maja całuje Paulę w policzek.

– Dziękuję, mamó – mówi Amelia, która ma już służbowy czytnik, ale postanawia się tym nie chwalić.

Ajay, kiedy już wie, co dostał, przerywa rozpako-wywanie. A nuż zdoła podarować ten czytnik komuś innemu.

– Dziękuję, mamó – mówi, po czym gryzie się w język.

– Ajay, masz dziwną minę – zauważa Paula.

– Nieprawda.

– Trzeba iść z duchem czasu.

– Niby dlaczego? Co ci się tak podoba w naszych czasach? – Ajay nieraz o tym rozmyślał i za każdym razem dochodził do wniosku, że tak zwany postęp ogołaca świat ze wszystkiego, co najwartościowsze. Najpierw sklepy z płytami, potem sklepy z filmami, potem gazety i czasopisma, a teraz nawet wielkie księgarnie znikają jedna po drugiej. Z jego punktu widzenia jedyną rzeczą gorszą niż świat pełen dużych sieci księgarskich jest świat, w którym nie ma ich wcale. Cokolwiek o nich mówić, duże księgarnie przynajmniej sprzedają książki, a nie farmaceutyki i durnostojki! Przynajmniej zdarza im się zatrudniać ludzi z dyplomem z literatury, znających się na książkach i umiejących doradzić czytelnikom! I przynajmniej sprzedają mnóstwo popeliny, dzięki czemu Island Books może się skupić na przyzwoitej prozie!

– Zacołanie technologiczne to najszybsza droga do starości!

„Pokaźna emerytura i ten jeden pogląd – oto co mama wyniosła z dwudziestu pięciu lat pracy w IBM-ie” – myśli uszczypliwie Ajay.

Bierze głęboki oddech, długi łyk wody, jeszcze jeden oddech. Czaszka uciska mu mózg. Nie chce popsuć atmosfery, mama rzadko ich odwiedza.

– Tato, zrobiłeś się trochę czerwony – mówi Maja.

– Ajay, wszystko w porządku? – pyta go matka.

Opuszcza zaciśniętą pięść na stolik.

– Mamó, czy ty zdajesz sobie sprawę, że to piekielne urządzenie zniszczy moją księgarnię, a co gorsza, doprowadzi niechybnie do rychłego upadku wielowiekową kulturę czytelnictwa?

– Dramatyzujesz – odzywa się Amelia. – Uspokój się.

– Dlaczego mam się uspokoić? Nie podoba mi się ten prezent. Wolałbym, żeby w moim domu nie było ani jednego, a co dopiero trzy. Wolałbym, żebyś kupiła mojej córce coś mniej szkodliwego, na przykład lufkę do palenia narkotyków.

Maja chichocze.

Matka Ajaya wygląda, jakby lada chwila miała się rozpłakać.

– Zapewniam cię, że nie kupiłam tego prezentu nikomu na złość.

– Spokojnie – interweniuje Amelia. – To wspaniały prezent. Wszyscy troje uwielbiamy czytać i jestem pewna, że będziemy z niego korzystać. Ajay



drama-tyzuje.

– Przepraszam cię, Ajay – mówi Paula. – Nie wiedziałam, że masz tak radykalne poglądy w tej sprawie.

– Mogłaś zapytać!

– Zamknij się, Ajay. Mamo, przestań przepraszać. To doskonały prezent dla rodziny moli książkowych. Teraz księgarnie szukają sposobów, by oprócz książek papierowych sprzedawać e-booki. Ajay po prostu nie chce...

– Wiesz, że to jedna wielka ściema! – przerywa jej Ajay.

– Nie bądź gburem – strofuje go Amelia. – Nie możesz chować głowy w piasek i udawać, że czegoś nie ma. Nic w ten sposób nie osiągniesz.

– Czujecie dym? – odzywa się Maja.

Sekundę później rozlega się alarm przeciwpożarowy.

– Cholera! Pieczeń! – Amelia biegnie do kuchni, Ajay za nią. – Ustawiłam przypomnienie w telefonie, ale nie zadziałało.

– Wyciszyłem twój telefon, żeby nie psuł nam świąt.

– Co takiego? Nie dotykaj mojego telefonu.

– Dlaczego nie używasz minutnika w piekarniku?

– Bo mu nie ufam!!! Ten piekarnik ma chyba ze sto lat, jak wszystko w tym domu, gdybyś nie zauważył. – Krzycząc, Amelia wyciąga płonąca pieczeń.

Ponieważ pieczeń nie nadaje się do spożycia, pozostają im przystawki.

– Przystawki lubię najbardziej – mówi mama Ajaya.

– Ja też – potakuje Maja.

– Szkoda, że nie można się nimi najeść – mamrocze Ajay. Boli go głowa, a to, że pije kolejny kieliszek wina, nie pomaga.

– Czy ktoś mógłby poprosić Ajaya, żeby podał wino? – mówi Amelia. – I żeby zostawił trochę dla innych?

– Brawo, zachowujesz się bardzo dojrzałe – kwituje złośliwie Ajay i napełnia jej kieliszek.

– Nie mogę się doczekać, aż będę mogła go wypróbować – szepcze Maja do zmartwionej babci. – Ale to dopiero w łóżku. – Strzela oczami w stronę taty.

– No bo wiesz.

– Bardzo słusznie – odpowiada szeptem Paula.

Późnym wieczorem, leżąc już w łóżku, Ajay wciąż wałkuje temat czytelnika.

– Wiesz, co jest najgorsze?

– Nie wiem, ale pewnie zaraz się dowiem – mówi Amelia, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Każdemu się wydaje, że ma dobry gust, ale większość ludzi się myli. Powiedziałbym nawet, że większość ludzi ma fatalny gust. Zostawieni sami sobie czytają chłam i nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

– Wiesz, jaka jest zaleta czytników?

– Nie wiem, wieczna optymistko. I nie chcę wiedzieć.

– Otóż osoby, których mężowie na stare lata muszą nosić okulary do czytania – i nie wymieniam tutaj żadnych nazwisk – osoby, których mężowie wchodzą w tak zwany wiek średni i pogarsza im się wzrok; osoby, które mieszkają pod jednym dachem z jęczącym pierdołą...

– Przejdiesz wreszcie do rzeczy?

– Otóż te nieszczęśliwe istoty mogą przynajmniej do woli powiększać czcionkę!

Ajay milczy.

Amelia odkłada książkę, lecz kiedy się odwraca, by posłać mężowi triumfujący uśmiech, spostrzega, że całkiem zastygł. To znów ta jego przypadłość. W takich chwilach Amelia zawsze się o niego martwi, choć wie, że nie powinna.

Półtorej minuty później Ajay dochodzi do siebie.

– Zawsze byłem dalekowidzem. To nie ma nic wspólnego z moim wiekiem. Amelia bierze chusteczkę i wyciera mu ślinę z kącików ust.

– Boże, miałem zanik świadomości?

– Tak.

Wyrywa jej chusteczkę. Nie lubi być pielęgnowany.

– Długo?

– Jakies półtorej minuty. – Amelia robi pauzę. – Czy to dłużej niż zwykle?

– Może trochę dłużej, ale mieści się w normie.

– Może powinieneś się zbadać?

– Nie. Przecież wiesz, że mam tak od dziadka.

– Od dziadka?

– Od dziecka. A co powiedziałem? – Ajay wstaje z łóżka i kieruje się do łazienki. Amelia idzie za nim. – Amy, błagam, daj mi trochę przestrzeni.

– Nie zamierzam.

– Super.

– Chcę, żebyś poszedł do lekarza. To już trzeci atak od Święta Dziękczynienia.

Ajay kręci głową.

– Skarbie, moja polisa zdrowotna jest do niczego. A doktor Rosen powie mi tylko, że mam to samo co zawsze. Porozmawiam z nią w marcu na badaniu okresowym.

Amelia wchodzi do łazienki.

– Może powinna ci przepisać inne lekarstwa? – Wciska się między niego a lustro, sadowiąc bujną pupę na blacie z dwiema umywalkami, który zainstalowali w zeszłym miesiącu. – Jesteś bardzo ważny.

– Nie jestem prezydentem.

– Jesteś ojcem Mai. I miłością mojego życia. I dostarczycielem kultury dla mieszkańców tej wyspy.

Ajay przewraca oczami, po czym całuje Amelię, wieczną optymistkę, w usta.

Już po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku; Paula szczęśliwie wróciła do Arizony; Maja do szkoły, Amelia do pracy. „Najwspanialsze w świętach jest to, że się kończą” – myśli Ajay. Lubi rutynę codziennych zajęć. Lubi rano robić śniadanie, a potem biec do pracy.

Ubiera się w dres, rozgrzewa się od niechcienia, wkłada opaskę na uszy, zapina na sobie plecak i rusza biegiem do księgarni. Teraz, gdy już nad nią nie mieszka, jego trasa wiedzie w przeciwnym kierunku niż dawniej, kiedy jeszcze żyła Nicole, kiedy Maja była małym dzieckiem, kiedy ożenił się z Amelią.

Przebiega obok domu Ismay, w którym kiedyś mieszkał Daniel, a teraz, choć trudno w to uwierzyć, mieszka Lambiase. Biegnie obok miejsca, gdzie Daniel zginął. Obok nieistniejącej już szkoły tańca. Jak się nazywała ta nauczycielka? Jakiś czas temu przeniosła się do Kalifornii, a lokal stoi pusty. Kto teraz będzie uczył tańca dzieci z Alice Island? Mija podstawówkę Mai, potem jej gimnazjum i liceum. Maja ma chłopaka. Młodego Furnessa. On też pisze. Bez przerwy się kłóca. Biegnie na skróty przez łąkę. Gdy jest już prawie na Captain Wiggins Street, nagle traci przytomność.

Jest pięć stopni mrozu. Budzi się z posiniałą dłonią.

Wstaje i przyciska ręce do kurtki, żeby je ogrzać. Jeszcze nigdy nie stracił przytomności podczas biegania.

– Madame Olenska – mówi na głos.

Bada go doktor Rosen. Ajay ma się dobrze jak na swój wiek, ale w jego oczach lekarka dostrzega coś dziwnego.

– Miewasz ostatnio jakieś inne problemy?

– Hmm. Może to po prostu starość, ale ostatnio mam coś z mówieniem.

– Z mówieniem?

– Łapię się na tym. To nic poważnego, ale czasem się przejęzyczam. Myślę jedno, a mówię co innego. Na przykład „dziadka” zamiast „dziecka”. A tydzień temu zamiast *Grona gniewu* powiedziałem *Wrona śniegu*. Co w moim zawodzie stanowi oczywiście pewien problem. Byłem przekonany, że mówię *Grona gniewu*. Moja żona zasugerowała, że może są jakieś leki, które mogłyby pomóc?

– Afazja – stwierdza lekarka. – Nie podoba mi się to. – Zważywszy na wieloletnią skłonność Ajaya do zaników świadomości, postanawia skierować go do neurologa w Bostonie.

– Co słyhać u Molly? – Ajay zmienia temat. Mrukliwa dziewczyna nie pracuje u niego już od sześciu albo siedmiu lat.

– Właśnie przyjęli ją na zajęcia z kreatywnego pisania na... – Doktor Rosen wymienia nazwę uczelni, ale Ajay nie słucha. Myśli o swoim mózgu. Uderza go ten paradoks: próbuje zrozumieć szwankujący narząd za pomocą szwankującego narządu. – ...wymyśliła sobie, że napisze „wielką amerykańską powieść”. Chyba powinnam mieć pretensje do ciebie i do Nicole.

– Biorę to na siebie.

– Glejak wielopostaciowy.

– Mógłby pan mi to zapisać? – prosi Ajay. Przyszedł sam. Chciał się upewnić, zanim powie rodzinie i znajomym. – Żebym mógł sobie wygooglować.

Jest to tak rzadki nowotwór, że onkolog ze szpitala w Bostonie znał go dotąd jedynie z opracowania akademickiego – oraz z serialu *Chirurgi*.

– Co się stało z tym pacjentem, o którym pan czytał?

– Zmarł. Po dwóch latach.

– Dwóch dobrych latach?

– Pierwszy rok był w miarę dobry.

– A ten pacjent w serialu? – Ajay chwyta się ostatniej deski ratunku.

Śmiech onkologa jest z gatunku tych najgłośniejszych, ma w sobie coś z ryku piły łańcuchowej.

– Wie pan, wydaje mi się, że prognozując, nie powinniśmy polegać na telenowelach.

– Ale jak to się tam skończyło?

– O ile dobrze pamiętam, pacjent przeszedł operację, żył jeszcze przez dwa kolejne odcinki i wydawało się, że jest zdrowy, oświadczył się swojej dziewczynie lekarce. A potem dostał zawału, co prawdopodobnie nie miało żadnego związku z rakiem, i umarł.

– Aha.

– Moja siostra pisze scenariusze dla telewizji. Oni chyba mówią na to „wątek trzyodcinkowy”.

– A więc pożyję jeszcze co najmniej trzy odcinki i maksymalnie dwa lata?

Śmiech lekarza znów tnie powietrze.

– Grunt to nie tracić poczucia humoru. Myślę, że to realna prognoza.

Onkolog chce od razu ustalić termin operacji.

– Tak szybko?

– Pańskie symptomy były zwodnicze, bo pokrywały się z wcześniejszymi dolegliwościami. Tomografia pokazała, że nowotwór jest już dość zaawansowany. Na pana miejscu bym nie zwlekał.

Koszt operacji to prawie równowartość ich wkładu własnego w dom. Nie wiadomo jeszcze, jaką część tej kwoty pokryje skromniutkie ubezpieczenie zdrowotne Ajaya.

– Ile czasu zyskam, poddając się operacji?

– To zależy, ile uda się wyciąć. Jeśli wszystko, dziesięć lat. Jeżeli nie, może dwa. Ten rodzaj nowotworu ma przykry zwyczaj nawracania.

– Czy po usunięciu guza będę warzywem?

– Nie lubimy używać tego słowa. Ale nowotwór znajduje się w lewym płacie czołowym. Pewnie będzie pan miewał problemy z mową. Wzmózona afazja i tak dalej. Natomiast nie wytniemy aż tyle, żeby przestał pan być sobą. Oczywiście nieleczony guz szybko się rozrośnie i zniszczy ośrodek mowy. To się stanie prędzej lub później, bez względu na to, czy zdecyduje się pan na zabieg.

Ajayowi nie wiedzieć czemu przypomina się Proust. Choć mówi wszystkim, że przeczytał całość, tak naprawdę przebrnął tylko przez pierwszy tom *W poszukiwaniu straconego czasu* i kosztowało go to wiele trudu. Teraz przychodzi mu do głowy, że przynajmniej nie będzie musiał czytać reszty.

– Muszę to przedyskutować z żoną i córką.

– Naturalnie. Ale proszę tego nie odwlekać.

W pociągu powrotnym rozmyśla o studiach Mai, o niespłaconym kredycie za dom, który kupili przed niespełna rokiem. Idąc wzdłuż Captain Wiggins Street, wie już, że nie może sobie pozwolić na operację, jeśli miałyby to doprowadzić jego najbliższych do finansowej ruiny.

Postanawia odwlec rozmowę z nimi i dzwoni do Lambiase'a. Spotykają się w barze.

– Opowiedz mi jakąś dobrą historię policyjną. Dowolną. Coś, co mnie rozerwie i pozwoli na chwilę zapomnieć o problemach.

– A jakie ty masz problemy? Idealna żona. Idealna córka. Interes się kręci.

– Powiem ci, jak skończysz.

Lambiase kiwa głową.

– Dobrze. Niech się zastanowię. Jakieś piętnaście lat temu był tu taki jeden chłopaczek. Przez miesiąc nie chodził do szkoły. Codziennie mówił rodzicom, że pójdzie, a potem nie przychodził na lekcje. Nawet jak go zawieźli, to wymykał się i gdzieś szedł.

– Dokąd?

– No właśnie. Rodzice myślą sobie: musiał się wpakować w jakieś kłopoty. Chłopak jest trudny, trzyma z trudną młodzieżą. Wszyscy dostają słabe oceny i noszą spodnie nisko w kroku. Jego rodzice mają stoisko z jedzeniem na plaży, więc w domu się nie przelewa. Martwią się o niego jak diabli. Więc myślę sobie: będę go śledził cały dzień. Chłopak idzie do szkoły, ale szybko urywa się z lekcji. Idę za nim i dochodzimy do budynku, w którym nigdy wcześniej nie byłem. Stoję na rogu Main i Parker. Kojarzysz, gdzie to jest?

– Biblioteka.

– Bingo. Jak wiesz, mało wtedy czytałem. No więc wchodzę za nim po schodach, widzę, jak siada w ostatnim rzędzie w czytelni, przy jednym z tych stolików ogrodzonych ściankami, i myślę: oho, pewnie będzie tam wciągał jakieś prochy. No bo miejsce idealne. Nikt nie patrzy. I co się okazuje?

– Pewnie czytał książki. To się chyba samo nasuwa.

– Siedzi nad wielką książką. Jest w połowie. *Niekończący się żart*. Mówi ci to coś?

– Teraz to już zmyślasz.

– Chłopak czyta *Niekończący się żart*. Mówi, że u niego w domu się nie da, bo ma piątkę rodzeństwa i musi się nimi zajmować, a w szkole też nie może, bo koledzy by się z niego śmiali. Więc urywa się z lekcji, żeby móc w spokoju poczytać. Bo ta książka wymaga dużego skupienia. „Amigo – mówi – szkoła to zawracanie gitary. W tej książce jest wszystko”.

– Z tego „amigo” wnoszę, że to był Latynos. Jakoś nie zauważyłem, żeby

na wyspie mieszkało wielu.

– Kilku się znajdzie.

– I co zrobiłeś?

– Zawlokłem go z powrotem do szkoły. Dyrektor radzi się mnie, jak go ukarać. Pytam chłopaka, ile czasu potrzebuje, żeby skończyć tę książkę. Mówi, że jakieś dwa tygodnie. Więc doradziłem dyrektorowi, żeby zawiesił go na dwa tygodnie.

– Zmyślasz. Przyznaj się. Chłopak z problemami nie uciekał z lekcji, żeby czytać *Niekończący się żart*.

– Uciekał, Ajay, jak Boga kocham – mówi Lambiase, lecz po chwili wybucha śmiechem. – Byłeś przygnębiony. Chciałem cię trochę podnieść na duchu.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Ajay zamawia drugie piwo.

– Co mi chciałeś powiedzieć?

– To zabawne, że wspomniałeś o *Niekończącym się żarcie*. Dlaczego akurat ten tytuł?

– Widzę go za każdym razem, jak przychodzę do księgarni. Zajmuje dużo miejsca na półce.

Ajay kiwa głową.

– Kiedyś pokłóciłem się o tę książkę ze znajomym. On był nią zachwycony. Ja wprost przeciwnie. Ale najśmieszniejsze w tej historii jest coś, do czego teraz ci się przyznam, a mianowicie...

– Tak?

– Nie doczytałem jej do końca. – Ajay się śmieje. – I na szczęście już nie będę musiał. Ani tego, ani Prousta, Bogu dzięki. A tak w ogóle to zepsuł mi się mózg. – Wyjmuje kartkę i czyta na głos: – Glejak wielopostaciowy. Człowiek staje się warzywem, a na koniec umiera. Ale przynajmniej nie trwa to długo.

Lambiase odstawia piwo.

– Musi być na to jakiś zabieg.

– Jest, ale kosztuje miliardy. I tylko odsuwa w czasie to, co nieuniknione. Nie zamierzam pozbawiać Amelii i Mai środków do życia tylko po to, żeby pożyć kilka miesięcy dłużej.

Lambiase dopija piwo i skinieniem dłoni zamawia następne.

– Uważam, że decyzja powinna należeć do nich.

– Podejmą ją pod wpływem emocji.

– Mają do tego prawo.

- Najlepszym wyjściem byłoby, gdybym strzelił sobie w łeb. Lambiase kręci głową.
- Zrobiłbyś to Mai?
- Twoim zdaniem lepiej, żeby opiekowała się ojcem warzywem i nie miała za co studiować?

Tego wieczoru w łóżku, zgasiwszy światło, Lambiase przytula Ismay.

– Kocham cię. I chcę, żebyś wiedziała, że nie osądzam cię za nic, co się wydarzyło w przeszłości.

– Aha. Już prawie śpię i nie wiem, o czym mówisz.

– Wiem o plecaku w szafie – szepcze Lambiase. – I że tam jest ta książka. Nie wiem, jak się tam dostała, i nie muszę tego wiedzieć. Ale powinna wrócić do właściciela.

Po długiej ciszy Ismay odpowiada:

– Jest zniszczona.

– Nawet zniszczony *Tamerlan* może mieć dużą wartość. Ostatni egzemplarz został sprzedany za pięćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów, sprawdziłem na stronie domu aukcyjnego. Przypuszczam, że nawet zniszczona kopia może być warta przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy. Ajay i Amy potrzebują tych pieniędzy.

– Po co im one?

Lambiase mówi jej o nowotworze Ajaya. Ismay chowa twarz w dłoniach.

– Ja bym to widział tak: wycieramy książkę z odcisków palców, wkładamy do koperty i zwracamy. Nikt nie musi wiedzieć, kto to zrobił.

Ismay zapala lampkę.

– Od jak dawna o tym wiesz?

– Od pierwszej nocy z tobą.

– I nie przeszkadzało ci to? Dlaczego na mnie nie doniosłeś? – Ismay przygląda mu się przenikliwie.

– Bo pomyślałem, że to nie moja sprawa, Izzie. Nie nocowałem u ciebie jako policjant. I nie miałem prawa grzebać w twoich rzeczach. Pomyślałem, że na pewno kryje się za tym jakaś historia. Jesteś dobrym człowiekiem, a nie miałas w życiu lekko.

Ismay siada. Trzęsie się. Podchodzi do szafy i ściąga plecak z góry.

– Chcę, żebyś wiedział, jak to było.

– Nie muszę.

– Ale ja chcę ci powiedzieć. Tylko mi nie przerywaj. Jeżeli będziesz mi



przerywał, nie dam rady.

– Dobrze, Izzie.

– Marion Wallace przyszła do mnie, kiedy byłam w piątym miesiącu ciąży. Przyszła z Mają, która miała wtedy może półtora roku. Marion była bardzo młoda, bardzo ładna, bardzo wysoka, miała zmęczone piwne oczy. Powiedziała, że Maja jest córką Daniela. A ja na to – i teraz się tego wstydzę: „Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?”. Mimo że widziałam jak na dłoni, iż mówi prawdę. Znałam przecież mojego męża. Wiedziałam, co to za typ mężczyzny. Zdradzał mnie, od kiedy się pobraliśmy albo jeszcze dłużej. Ale uwielbiałam jego książki, a przynajmniej tę pierwszą. I byłam głęboko przekonana, że człowiek, który ją napisał, naprawdę istnieje. Że ktoś, kto ma złe serce, nie mógłby tak pięknie pisać. Myliłam się. Daniel pięknie pisał, ale był złym człowiekiem. Co nie znaczy, że mogę zwalić całą winę na niego. Ja też jestem winna. Wydarłam się na Marion Wallace. Miała wtedy osiemnaście, może dziewiętnaście lat. „Myślisz, że jesteś pierwszą zdzirą, która przychodzi i mówi, że urodziła dziecko Daniela?”. Zaczęła mnie przeproszać. Mówiła, że Daniel Parish nie musi się opiekować jej córeczką. Tak go nazywała, imieniem i nazwiskiem. Fanka, rozumiesz. Szanowała go. „Daniel Parish nie musi się nią opiekować. Przysięgam, że nie będę pani więcej nachodzić. Potrzebuję tylko trochę pieniędzy na początek. Obiecał mi, że pomoże, a teraz nie mogę go nigdzie znaleźć”. Nie zdziwiło mnie to. Daniel zawsze dużo podróżował – gościnne wykłady w szkole w Szwajcarii, wyjazdy do Los Angeles, z których nic nie wynikało. „Dobrze – powiedziałam – spróbuję się z nim skontaktować i zobaczę, co da się zrobić. O ile potwierdzi twoją wersję”. Ale oczywiście już wtedy dobrze wiedziałam, że to prawda! „Jeżeli potwierdzi twoją wersję, może jakoś pomożemy”. Zapytała mnie, kiedy ma się odezwać. Odparłam, że sama się z nią skontaktuję. Wieczorem rozmawiałam z Danielem przez telefon. Dobrze nam się rozmawiało, nie chciałam poruszać tematu Marion Wallace. Daniel był troskliwy jak nigdy, robił plany w związku z dzieckiem. „Kiedy się urodzi, stanę się innym człowiekiem, zobaczysz” – powiedział. Słyszałam to wcześniej wiele razy. „Nie, naprawdę. Nie będę tyle podróżował. Będę spędzał więcej czasu w domu, pisał, opiekował się tobą i kartofelkiem”. Zawsze był dobry w mydleniu oczu, a ja bardzo chciałam uwierzyć, że odtąd w naszym małżeństwie wszystko się zmieni. I postanowiłam, że sama załatwię temat Marion Wallace. Jakoś ją przekupię.

Ludzie w miasteczku zawsze myśleli, że moja rodzina jest bogatsza niż w rzeczywistości. Nicole i ja miałyśmy fundusze powiernicze, ale nie było

tego wiele. Ona wydała swoje pieniądze na księgarnię, a ja na ten dom. To, co mi zostało, szybko roztrwoniał mój mąż. Jego pierwsza książka dobrze się sprzedała, ale z kolejnymi było już gorzej, a on zawsze lubił wytworne życie, mimo że nie miał regularnych dochodów. Ja jestem tylko nauczycielką. Sprawialiśmy wrażenie bogatych, ale byliśmy biedni.

Po śmierci mojej siostry Ajay był na najlepszej drodze do zapicia się na śmierć. Zaglądałam do niego wieczorami z poczucia obowiązku wobec Nicole. Wchodziłam do środka, wycierałam mu wymiociny z twarzy i zawlekałam go do łóżka. Któregoś dnia przychodzę, Ajay jak zwykle śpi z głową na stole, a naprzeciwko niego stoi *Tamerlan*. Od razu dodam, że byłam przy tym, jak znalazł tę książkę. Nawiasem mówiąc, nigdy nie zaproponował, że podzieli się ze mną pieniędzmi, a tak by chyba wypadało. Gdyby nie ja, ten sknera w ogóle by nie poszedł na tę wyprzedaż. Tak czy inaczej, kładę go do łóżka i wracam do salonu, żeby po nim posprzątać, zmywam podłogę, a na koniec, całkiem bezmyślnie, chowam książkę do torebki.

Następnego dnia wszyscy szukają *Tamerlana*, ale mnie wtedy nie ma w mieście. Pojechałam do Cambridge. Odwiedzam Marion Wallace w jej akademiku i rzucam *Tamerlana* na łóżko. „Masz, sprzedaj. To jest warte mnóstwo pieniędzy”. Patrzy podejrzliwie na tę książkę i pyta: „Czy to nie kradzione?”. Na to ja, że książka należy do Daniela i że prosił, żebym ją zawiozła, ale nie wolno jej mówić, skąd ją ma. Niech ją zanieś do domu aukcyjnego albo do handlarza starymi książkami. Niech powie, że znalazła ją gdzieś na wyprzedaży. Wracam na wyspę, Marion Wallace przez dłuższy czas nie daje znaków życia, wydaje się, że mamy ten problem z głowy. – Ismay urywa.

– Ale okazało się inaczej?

– Zjawiała się z Mają i książką tuż przed Bożym Narodzeniem. Powiedziała, że była we wszystkich domach aukcyjnych i u wszystkich handlarzy w okolicach Bostonu i nikt nie chciał tej książki, bo nie ma proveniencji, a ostatnio policja pytała o skradziony egzemplarz *Tamerlana*. Wyjmuje książkę i chce mi ją oddać. Pytam ją: „A co ja mam z tym zrobić?”. Ona tylko kręci głową. Książka ląduje na podłodze, mała ją podnosi i zaczyna wertować, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Wielkie piwne oczy Marion Wallace zalewają się łzami. „Czytała pani *Tamerlana*? – pyta mnie. – Ten wiersz jest taki smutny”. Potrząsam głową. „Jest o tureckim zdobywcy, który zamienia władzę na miłość swojego życia, biedną wieśniaczkę”. Przewracam oczami i mówię: „A więc tak to sobie wyobrażasz? Ty jesteś biedną

wieśniaczką, a ja niedobrą żoną, która nie chce ci oddać miłości twojego życia?”.

Zaprzecza. Mała płacze. Marion mówi, że najgorsze jest to, iż wiedziała, co robi. Daniel przyjechał na jej uczelnię spotkać się z czytelnikami. Była zakochana w jego książce, a kiedy szła z nim do łóżka, wiedziała, że jest żonaty, bo tysiąc razy czytała jego notkę biograficzną. „Popełniłam tyle błędów” – mówi. „Nie mogę ci pomóc” – odpowiadam. Ona kręci głową i podnosi małą z podłogi. „Nie będziemy już pani więcej niepokoić. Wesołych świąt”.

I odchodzą. Jestem roztrzęsiona, więc idę do kuchni zaparzyć sobie herbatę. Dopiero kiedy wracam, widzę, że mała zostawiła na podłodze plecak, a obok leży *Tamerlan*. Podnoszę książkę i myślę sobie: zakradnę się do Ajaya i odłożę ją na miejsce. Ale patrzę, a tu cała okładka porysowana. Mała ją zniszczyła! Wrzucam ją do tego plecaka i chowam w szafie. Nawet się nie staram dobrze jej ukryć. Myślę, że może Daniel ją znajdzie i zapyta, skąd się tam wzięła – ale gdzie tam. Daniel ma to gdzieś. Wieczorem dzwoni Ajay, pyta mnie, czym się karmi małe dzieci. Maja jest u niego. Jadę mu pomóc.

– Następnego dnia fale wyrzucają ciało Marion Wallace koło latarni – kończy za nią Lambiase.

– Tak. Czekam, aż Daniel jakoś to skomentuje, może rozpozna tę dziewczynę i przyzna się, że jest ojcem dziecka. Ale nie. A ja nie poruszam tego tematu, bo jestem tchórzem.

Lambiase obejmuje ją.

– To bez znaczenia – mówi po chwili. – Jeżeli nawet doszło do przestępstwa...

– Oczywiście, że doszło.

– Jeżeli nawet doszło do przestępstwa – powtarza – to i tak wszyscy, którzy o tym wiedzieli, nie żyją.

– Oprócz Mai.

– Mai nie mogło się bardziej poszczęścić.

Ismay kręci głową.

– Prawda?

– Moim zdaniem, zabierając tę książkę, uratowałaś Ajayowi życie. Ja tak to widzę.

– Co z ciebie za policjant? – dziwi się Ismay.

– Starego typu.

Nazajutrz wieczorem, jak w każdą trzecią środę miesiąca od dziesięciu lat, w księgarni Island Books zbiera się policyjny klub książki. Na początku były to spotkania policjantów, którzy mieli obowiązek uczestnictwa, jednak z czasem klub zyskał dużą popularność. Obecnie jest największą na wyspie grupą skupiającą czytelników. Policjanci nadal stanowią większość, ale towarzyszą im żony, a czasem nawet dzieci, o ile ich wiek na to pozwala. Przed kilkanaście laty Lambiase zmuszony był wprowadzić zakaz wnoszenia broni po tym, jak podczas zażartej dyskusji na temat *Domu z piasku i mgły* pewien młody posterunkowy wygrażał koledze pistoletem (Lambiase przyznał później w rozmowie z Ajayem, że wybór tej książki był błędem: „Ciekawa postać policjanta, ale trochę za dużo zawiłych problemów moralnych. Od tej pory będę się raczej trzymał łatwiejszej prozy gatunkowej”). Poza tym jednym incydentem spotkania klubu są wolne od przemocy – nie licząc, rzecz jasna, treści omawianych książek.

Lambiase tradycyjnie zjawia się w księgarni wcześniej, żeby wszystko przygotować i porozmawiać z Ajayem.

– Znalazłem to pod drzwiami. – Wręcza mu szarą bąbelkową kopertę z jego imieniem i nazwiskiem.

– Pewnie kolejny egzemplarz przedpremierowy – wzdycha Ajay.

– Nie mów tak. Może to przyszyły bestseller.

– O tak. Wielka amerykańska powieść, jestem pewien. Odłożę na kupkę: „Rzeczy do przeczytania, zanim mózg mi wysiadzie”.

Ajay kładzie paczkę na ladzie. Lambiase się jej przygląda.

– Nigdy nie wiadomo.

– Wiesz, jestem jak dziewczyna, która od bardzo dawna umawia się na randki. Przeżyłem zbyt wiele rozczarowań, zbyt wiele niespełnionych obietnic. Ciebie, policjanta, to nie dotyczy?

– Ale co?

– Cynizm. Nie masz tak, że w którejś chwili zaczynasz spodziewać się po ludziach tylko najgorszego?

Lambiase potrząsa głową.

– Nie. Spotykam tyle samo dobrych ludzi, ile złych.

– Ciekawe kogo.

– Na przykład ciebie, mój drogi. – Lambiase odchrząkuje, Ajay nie wie, co powiedzieć. – Masz jakieś dobre kryminały, których jeszcze nie czytałem? Potrzebuję nowych pomysłów do klubu książki.

Ajay podchodzi do działu z powieściami kryminalnymi. Przebiega wzrokiem po grzbietach, głównie czarnych i czerwonych ze srebrnymi bądź

białymi tytułami, złożonymi w całości z wielkich liter. Tę monotonię od czasu do czasu przełamuje fluorescencyjna eksplozja. „Wszystkie kryminały wyglądają podobnie” – myśli Ajay. Czym się różni jedna książka od drugiej? Bo przecież są różne. By się przekonać, trzeba zajrzeć do środka. Trzeba uwierzyć. I czasem się rozczarować, żeby innym razem móc się zachwycić.

Sięga po jedną z nich i podaje przyjacielowi.

– Może ta?

## *O czym mówimy, kiedy mówimy o miłości*

1980, Raymond Carver

*Dwie pary piją alkohol i rozmawiają o tym, co jest, a co nie jest miłością.*

Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego dużo łatwiej pisze się o prozie, której nie lubimy, nie cierpimy, w której dostrzegamy oczywiste braki, niż o takiej, którą uwielbiamy\*. To moje ulubione opowiadanie, ale kiedy próbuję to uzasadnić, mam pustkę w głowie.

(Ty i Amelia jesteście moimi ulubionymi ludźmi).

A.F.

\* *Co tłumaczy w dużej mierze fenomen inter-netu.*

– Pozycja numer dwa tysiące dwieście. Dostaliśmy ją na krótko przed rozpoczęciem aukcji. Rzadka okazja dla koneserów starych książek. *Tamerlan i inne wiersze* Edgara Allana Poe'go. Poe napisał ten zbiór, mając osiemnaście lat, i wydał go pod pseudonimem Bostończyk. Nakład wyniósł zaledwie pięćdziesiąt egzemplarzy. *Tamerlan* będzie perłą każdej szanującej się kolekcji bibliofilskiej. Niniejszy egzemplarz ma lekko wytarty grzbiet i okładkę porysowaną kredką. Te wady nie umniejszają jednak w żadnym stopniu piękna książki ani jej wyjątkowości. Cena wywoławcza to dwadzieścia tysięcy dolarów.

Licytacja kończy się na kwocie siedemdziesięciu dwóch tysięcy, nieznacznie przekraczającej cenę minimalną. Po odliczeniu prowizji i podatku zostaje mniej więcej tyle, ile Ajay musi dopłacić do operacji i pierwszej rundy radioterapii.

Nawet odebrawszy czek, Ajay wciąż się waha, czy powinien poddać się leczeniu. Podejrzewa, że więcej sensu miałoby wydanie tych pieniędzy na studia Mai, która w przyszłym roku kończy liceum.

– Nie ma mowy. Jestem bystra. Dostanę stypendium. Napiszę najsmutniejszy list motywacyjny w historii świata, o tym jak matka porzuciła mnie w księgarni, a mój adopcyjny tata zachorował na bardzo rzadką odmianę raka mózgu, a mimo to, proszę, wyrosłam na porządną obywatelkę. Ludzie to kupią, tato.

– To bardzo nieładnie, mój mały molu. – Ajay uśmiecha się do potwora, którego stworzył.

– Ja też mam pieniądze – przypomina Amelia.

Mówiąc krótko: obie najważniejsze kobiety w jego życiu nie życzą sobie jego śmierci. Ajay umawia się więc na operację.

– Teraz, kiedy tu jestem, myślę sobie, że *Roślina późno kwitnąca* to był jednak sentymentalny gniot – mówi Amelia z goryczą. Wstaje i podchodzi do okna. – Wolisz, żeby rolety były opuszczone czy podniesione? Przy podniesionych mamy trochę naturalnego światła i piękny widok na szpital dziecięcy. Przy opuszczonych możesz podziwiać trupią bladość mojej cery w blasku świetlówek. Wybór należy do ciebie.

– Podniesione – odpowiada Ajay. – Chcę cię zapamiętać jak najpiękniejszą.

– Pamiętasz ten fragment u Friedmana o tym, że nie da się tak naprawdę opisać pokoju szpitalnego? Bo pokój, w którym leży ktoś bliski, to zbyt bolesny temat, by móc o nim pisać, bla, bla, bla. Jak mogliśmy wtedy myśleć, że to poetyckie? Jestem zniesmaczona. Z perspektywy czasu muszę przyznać rację tym wszystkim ludziom, którzy uznali, że nie warto kupować tej książki. I projektantowi okładki, który umieścił na niej stopy. Bo wiesz co? Nie ma nic prostszego niż opisanie pokoju w szpitalu. Jest szary. Obrazki na ścianach najgorsze z możliwych. Nawet Holiday Inn by ich nie wziął. I ten wszechobecny zapach, jakby ktoś próbował zatuszować smród moczu.

– Byłaś zachwycona *Rośliną późno kwitnącą*.

Wciąż nie powiedziała mu prawdy o Leonie Friedmanie.

– Ale nie sądziłam, że po czterdziestce zagram jedną z głównych ról w swoistej adaptacji.

– Naprawdę uważasz, że powinienem poddać się tej operacji?

Amelia przewraca oczami.

– Naprawdę. Po pierwsze, zaczyna się za dwadzieścia minut, więc i tak już raczej nie odzyskalibyśmy pieniędzy. Po drugie, ogolili ci głowę i wyglądasz jak terrorysta. Nie ma sensu teraz rezygnować.

– Czy warto wydawać tyle pieniędzy na dodatkowe dwa lata życia, które i tak prawdopodobnie będą gówniane?

– Warto. – Amelia chwyta go za dłoń.

– Kobieta, z którą się ożeniłem, mówiła, że bardzo ceni sobie w drugim człowieku podobną wrażliwość. Kobieta, z którą się ożeniłem, zerwała z prawdziwym amerykańskim bohaterem, bo nie był dobrym rozmówcą.

Zdajesz sobie sprawę z tego, co nas czeka?

– To zupełnie co innego – upiera się Amelia. Chwilę później krzyczy: – Kurwa mać!

Ajay jest przestraszony, bo Amelia nigdy nie prze-klina.

– Co się stało?

– Nic. Po prostu bardzo lubię twój mózg.

Ajay się śmieje, Amelia cicho szlocha.

– No, dość już tego płaczu. Nie chcę, żebyś się nade mną litowała.

– Kiedy ja się nie lituję nad tobą, tylko nad sobą. Wiesz, ile czasu mi zajęło znalezienie ciebie? Wiesz, na ilu byłam beznadziejnych randkach? Przecież nie założę – z trudem łapie oddech – nie założę znowu konta na Match.com.

– Jak zwykle wybiegasz myślami naprzód, Wielki Ptaku.

– Wielki Ptaku? Nie wydurniaj się. Nie możesz wymyślać mi nowego przezwiska w takiej chwili!

– Poznasz kogoś. Ja poznałem.

– Chrzań się. Ty mi się podobasz. Przyzwyczyłam się do ciebie. Nie chcę nikogo innego, ty debilu.

Ajay ją całuje. Amelia wsuwa dłoń pod jego szpitalną koszulę i kładzie mu ją między nogami.

– Uwielbiam seks z tobą. Czy jeżeli po tej operacji staniesz się warzywem, będę mogła dalej uprawiać z tobą seks?

– Jasne.

– Nie stracisz do mnie szacunku?

– Nie. – Ajay milknie. – Nie wiem, czy odpowiada mi kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa.

– Czekaleś cztery lata, zanim zaprosiłeś mnie na randkę.

– Istotnie.

– Byłeś dla mnie niemiły, kiedy się poznaliśmy.

– Nie przeczę.

– To koniec. Jak mam sobie teraz kogoś znaleźć?

– Widzę, że niezbyt się przejmujesz moim mózgiem.

– Twój mózg długo nie pociągnie. Oboje to wiemy. Ale co ze mną?

– Biedna Amy.

– Tak. Do tej pory byłam żoną księgarza, co samo w sobie jest godne politowania. A niedługo będę wdową po księgarzu.

Pokrywa pocałunkami każdy skrawek jego zepsutej głowy.

– Lubiłam ten mózg. Lubię ten mózg! To bardzo dobry mózg.

– Ja też.



Przychodzi po niego pielęgniarka.

– Kocham cię – mówi Amelia, wzruszając bezsilnie ramionami. – Chciałabym ci powiedzieć coś mądrzejszego na pożegnanie, ale to jedyne, co mi przychodzi do głowy.

Po przebudzeniu Ajay stwierdza, że słowa są w większości na swoim miejscu. Nie od razu je znajduje, ale są, nie zniknęły.

Krew.

Tabletki.

Wymioty.

Wiadro.

Hemoroidy.

Biegunka.

Woda.

Pęcherze.

Pielucha.

Lód.

Po operacji trafia do skrzydła szpitala, gdzie czeka go miesięczna radioterapia. Ponieważ promieniowanie bardzo osłabia układ odpornościowy, nie wolno mu przyjmować żadnych gości. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie samotny – nawet po śmierci Nicole. Najchętniej by się upił, ale jego napromieniowany żołądek by tego nie wytrzymał. Tak wyglądało jego życie, zanim pojawiły się w nim Maja i Amelia. Człowiek nie jest wyspą. A przynajmniej nie powinien nią być.

W przerwach między wymiotowaniem i niespokojnym pólsem sięga po czytnik, który dostał od mamy na gwiazdkę. (Zdaniem pielęgniarek czytnik jest bardziej higieniczny niż papierowa książka. Ajay żartuje, że producent powinien zacytować ich opinię na opakowaniu). Trudno mu przebrnąć przez powieść, bo co chwila zasypia. Lepiej idzie mu z opowiadaniem. Zresztą zawsze wolał opowiadania. Teraz, czytając, dochodzi do wniosku, że musi sporządzić nową listę opowiadań, które Maja powinna przeczytać. Maja będzie pisarką, to pewne. Ajay nie jest pisarzem, ale zna się trochę na tym fachu i chciałby przekazać jej swoją wiedzę. „Maju, powieści bez wątpienia mają swój urok, lecz w uniwersum prozy nie ma nic elegantszego nad

opowiadanie. Opanuj sztukę pisania opowiadań, a świat będzie twój” – przychodzi mu do głowy na chwilę przed zaśnięciem. Muszę to zapisać. Wyciąga rękę po długopis, ale w pobliżu miski, o którą się opiera, nie ma długopisu.

Po miesiącu radioterapii lekarze stwierdzają, że guz nie skurczył się ani nie urósł. Dają mu rok życia.

– Musi pan się liczyć z postępującym upośledzeniem mowy i całej reszty – oznajmia onkolog tonem, który wydaje się Ajayowi niestosownie bez troski. Nieważne. Ajay cieszy się, że wraca do domu.

# *Sprzedawca książek*<sup>15</sup>

1980, Roald Dahl

*Opowiadanie o pewnym księgarzu i jego nietypowej metodzie wyłudzenia pieniędzy od klientów. Postacie, jak to u Dahla, są groteskowo wyrachowane. Zwrot akcji następuje bardzo późno i nie rekompensuje mankamentów fabuły. W zasadzie Sprzedawca książek nie powinien być się znaleźć na tej liście – nie wyróżnia się niczym szczególnym. Na pewno daleko mu do Barana na rzeź. Dlaczego więc wybrałem opowiadanie, które jest zaledwie przeciętne? To proste: Twój tata utożsamia się z postaciami. Są dla mnie ważne. Im dłużej się tym param (sprzedawaniem książek, ale i życiem, o ile nie zabrzmi to strasznie ckliwie), tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że właśnie o to w tym wszystkim chodzi. O współodczuwanie, mój mały nerdzie. Tylko tyle i aż tyle.*

*A.F.*

„To takie proste – myśli. – Maju – ciśnie mu się na usta – wszystko już rozumiem”.

Ale mózg nie pozwala mu tego wypowiedzieć na głos.

Czytamy, bo chcemy czuć, że nie jesteśmy sami. Czytamy, bo jesteśmy sami. Czytając, nie jesteśmy sami. Nie jesteśmy sami.

„Moje życie jest w tych książkach – chciałby jej powiedzieć. – Przeczytaj, a dowiesz się wszystkiego o mnie”.

Jesteśmy nie tyle powieściami....

Właściwa analogia wymyka mu się, ale jest tuż-tuż.

Nie tyle opowiadaniem... – Choć akurat w tej chwili jego życie zdecydowanie ma w sobie coś z krótkiej formy.

Jesteśmy utworami zebranymi.

Jako doświadczony czytelnik wie, że nie ma zbiorów złożonych z samych doskonałych opowiadań. Jedno uda się bardziej, inne mniej. Czasem trafi się perła. Koniec końców ludzie pamiętają właśnie te perły, a i to niezbyt długo.

Niezbyt długo.

– Tato.

Ajay próbuje zrozumieć, co Maja do niego mówi. Ruch warg, dźwięki. Co mogą oznaczać?

Na szczęście Maja powtarza.

– Tato.

Tak. Tato. Jestem tatą. Stałem się tatą. Ojcem Mai. Tatą Mai. Tatą. Co za słowo. Takie małe, a takie wielkie. Zawiera w sobie cały świat.

Zaczyna płakać. Wezbrane uczucia nie mogą znaleźć ujścia w słowach.

Już wiem, po co są słowa. Ratuja przed nadmiarem uczuć.

– Nie, tato. Nie trzeba.

Maja obejmuje go.

Lektura przychodzi mu coraz trudniej. Przebrnięcie przez opowiadanie kosztuje go wiele wysiłku. Powieści w ogóle nie wchodzi już w grę. Łatwiej mu pisać niż czytać. Co nie znaczy, że pisanie przychodzi mu z łatwością. Píše jeden akapit dziennie. Akapit dla Mai. Niewiele, ale to wszystko, co może jej dać.

Ma jej coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– Boli? – pyta Maja.

„Nie” – myśli Ajay. Mózg nie ma receptorów bólowych, nie może boleć. Utrata mocy umysłowych okazała się procesem zdumiewająco bezbolesnym. Jego zdaniem to wręcz powinno boleć.

– Boisz się?

„Nie samej śmierci, ale tej roli, w której się znalazłem. Z każdym dniem jest mnie jakby coraz mniej. Dzisiaj myśli bez słów. Jutro ciało bez myśli. Takie życie. Ale dopóki jesteś obok, cieszę się, że tu jestem. Nawet bez książek i słów. Nawet bez myśli. Jak to wyrazić, do cholery? Czy to w ogóle możliwe?”.

Maja patrzy na niego i sama zaczyna płakać.

– Maju. Liczy się tylko jedno słowo.

Czy go zrozumiała? Ma zmarszczone czoło. Chyba nie wyraził się jasno. Niech to szlag. Ostatnio coraz bardziej bełkocze. Najłatwiej mu się porozumieć pojedynczymi słowami. Ale nie wszystko da się wyrazić jednym słowem.

Spróbuj jeszcze raz. Nie przestanie próbować.

– Maju. Jesteśmy tym, co kochamy. Jesteśmy tym, co kochamy.

Maja kręci głową.

– Tato, przepraszam cię, ale nie rozumiem.

– Nie jesteśmy tym, co zbieramy, kupujemy, czytamy. Jesteśmy, tak długo, jak żyjemy, miłością. Tym, co kochaliśmy. Ludźmi, których kochaliśmy. Oni żyją w nas zawsze.

Maja nadal kręci głową.

– Nie rozumiem, tato. Chciałabym, ale nie rozumiem. Mam zawołać Amy? A może spróbujesz to napisać?

Ajay się poci. Kiedyś rozmowa była przyjemnością. Czymś łatwym. „No dobrze – myśli. – Skoro trzeba się zmieścić w jednym słowie, trudno”.

– Miłość – mówi. Modli się, by go zrozumiała.

Maja ściera brwi, próbuje czytać z jego twarzy.

– Zimno? Zimno ci?

Ajay kiwa głową. Maja bierze jego dłonie w swoje. Było mu zimno w ręce, a teraz jest ciepło. Prawie zrozumiała, o co mu chodzi. Może jutro pójdzie lepiej.

Na pogrzebie wszystkim chodzi po głowie to samo: co teraz będzie z Island Books? Ludzie przywiązują się do księgarń, bardziej niż Ajay Fikry był skłonny przypuszczać. Pamiętają, kto wcisnął *Fałdkę czasu* w zakończone obgryzionymi paznokciami dłonie ich dwunastoletniej córki, kto sprzedał im dobry przewodnik po Hawajach, kto przekonał ich, że ciotka o bardzo specyficznym guście będzie zachwycona *Atlasem chmur*. A przede wszystkim lubią Island Books. I choć nie zawsze są wiernymi klientami, choć zdarza im się kupić e-booka lub zamówić książki przez internet, są dumni z tego, że mają księgarnię przy głównej ulicy, że to jedno z pierwszych miejsc, jakie człowiek napotyka po wyjściu z portu.

Na pogrzebie podchodzą do Mai i Amelii, oczywiście z szacunkiem, i szepczą:

– Nikt nam nie zastąpi Ajaya, ale czy będziecie chciały znaleźć kogoś do prowadzenia księgarni?

Amelia nie wie, co robić. Kocha Alice Island. Kocha Island Books. Nie ma doświadczenia w prowadzeniu księgarni. Zawsze pracowała po stronie wydawcy, a teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje comiesięcznej wypłaty i ubezpieczenia zdrowotnego. Zatrudnienie kogoś do prowadzenia księgarni w tygodniu nie wchodzi w grę. Dojazdy byłyby zbyt dużym problemem. Jedyne rozsądne wyjście to przenieść się na stały ląd. Po tygodniu chandry, bezsenności i dreptania w miejscu postanawia zamknąć księgarnię. Budynek wraz z ziemią jest sporo wart (Nicole i Ajay kupili go przed wieloma laty za gotówkę). Amelia kocha Island Books, ale nie widzi innej możliwości. Przez miesiąc rozgląda się za kimś, kto odkupiłby od niej księgarnię, ale nie znajduje chętnego. W końcu wystawia budynek na sprzedaż. Island Books zniknie z końcem lata.

– To koniec pewnej epoki – mówi Lambiase do Ismay znad jajecznicy w miejscowym barze.

Jest przygnębiony wiadomością, choć i tak zamierza wkrótce opuścić wyspę. Wiosną stuknie mu dwadzieścia pięć lat służby, przez ten czas odłożył sobie pokaźną sumę. Marzy mu się zakup jachtu i przeprowadzka na którąś z wysp Florydy, wzorem emerytowanego gliniarza z powieści Elmore'a Leonarda. Od jakiegoś czasu namawia do tego Ismay i chyba coraz lepiej mu idzie, bo Ismay nie wynajduje już tylu przeszkód co kiedyś, mimo że należy do dziwnego gatunku ludzi, którzy lubią zimę w Nowej Anglii.

– Miałem nadzieję, że kogoś znajdą. Ale prawda jest taka, że bez Ajaya, Mai i Amelii to nie byłoby już to samo miejsce. Nie miałyby tej samej duszy.

– Zgoda – mówi Ismay. – Chociaż boję się pomyśleć, co tam będzie. Pewnie Forever 21.

– Co to jest Forever 21?

Ismay śmieje się z niego.

– Naprawdę nie wiesz? Nie pojawiło się ani razu w żadnej z tych młodzieżowych książek, którymi się zaczytujesz?

– Te książki są inne, niż myślisz.

– Forever 21 to sieciówka odzieżowa. Zresztą to by jeszcze było pół biedy. Boję się, że zrobią tam bank. – Upija łyżeczek kawy. – Albo aptekę.

– Może bar ze smoothies. Uwielbiam smoothies.

Ismay zaczyna płakać.

Kelnerka zatrzymuje się przy ich stoliku. Lambiase daje znak, że może zabrać talerze.

– Wiem, co czujesz – mówi do Ismay. – Mnie też się to nie podoba. Wiesz, że zanim poznałem Ajaya i zacząłem zaglądać do jego księgarni, prawie nie czytałem książek? Nie wyrobiłem sobie w dzieciństwie nawyku czytania, bo nauczyciele w szkole powtarzali, że wolno mi to idzie.

– Bardzo łatwo wmówić dziecku, że nie lubi czytać – zauważa Ismay.

– Z angielskiego miałem same trójki. Dopiero kiedy Ajay adoptował Maję, zacząłem czytać książki, które mi polecał, bo chciałem mieć pretekst, żeby ich odwiedzać. No i spodobało mi się.

Ismay zalewa się łzami.

– I wiesz co? – ciągnie Lambiase. – Bardzo polubiłem księgarnie. W moim zawodzie człowiek spotyka mnóstwo ludzi. Zwłaszcza latem przewija się wielu wczasowiczów. Widuję ludzi z branży filmowej, muzycznej, dziennikarskiej. Ale ci od książek są wyjątkowi. To branża prawdziwych dam i dżentelmenów.

– Nie przesadzałabym.

– Mówię ci, Izzie. Księgarnie przyciągają dobrych ludzi. Takich jak Ajay i Amelia. Lubię rozmawiać o książkach z ludźmi, którzy lubią o nich rozmawiać. Lubię papier. To, jaki jest w dotyku. I to uczucie, kiedy mam książkę w tylnej kieszeni spodni. I lubię zapach książki prosto z księgarni.

Ismay całuje go.

– Jesteś najzabawniejszym policjantem, jakiego znam.

– Martwię się o Alice Island, jeśli nie będzie tu ani jednej księgarni – oznajmia Lambiase, dopijając kawę.

– Ja też.

Lambiase pochyla się nad stołem i całuje ją w policzek.

– Słuchaj, mam taki głupi pomysł. Co byś powiedziała, gdybyśmy jednak zostali i przejęli księgarnię?

– Biorąc pod uwagę sytuację ekonomiczną, to rzeczywiście głupi pomysł.

– No tak. Pewnie tak.

Kelnerka pyta, czy życzą sobie deser. Ismay dziękuje, ale Lambiase wie, że jeśli coś zamówi, Ismay chętnie się poczęstuje. Prosi o kawałek ciasta wiśniowego i dwa widelczyki.

– Ale może mimo wszystko? – kontynuuje. – Mam oszczędności, moja emerytura będzie przyzwoita, twoja też. Ajay mówił, że latem wczasowicze kupują mnóstwo książek.

– Teraz wczasowicze mają czytelniki – wtrąca Ismay.

– To prawda. – Lambiase daje za wygraną.

Jedzą ciasto wiśniowe. W pewnej chwili Ismay mówi:

– Moglibyśmy tam urządzić księgarniokawiarnię. Może to by nam pomogło zwiększyć obroty.

– Tak, Ajay czasem o tym wspominał.

– A piwnicę przeznaczyć na salkę teatralną. Dzięki temu spotkania autorskie nie musiałyby się odbywać pośrodku księgarni. Może nawet moglibyśmy wynajmować tę przestrzeń na spotkania albo przedstawienia.

– Twoje doświadczenie by się przydało – zauważa Lambiase.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? Nie jesteśmy najmłodszy. Co z Florydą? Z ciepłymi zimami?

– Przeprowadzimy się tam na starość. Nie jesteśmy jeszcze tacy starzy – odpowiada Lambiase po chwili namysłu. – Mieszkam na Alice Island od urodzenia. To mój jedyny dom. Lubię to miejsce i nie chcę, żeby straciło urok. Każde miasteczko powinno mieć księgarnię, Izzie.

Mniej więcej rok po odsprzedaniu księgarni Lambiase'owi i Ismay Amelia postanawia odejść z Pterodactyla. Maja wkrótce skończy liceum, a ona sama ma już dość ciągłego podróżowania. Znajduje pracę w dużej sieci sklepów z siedzibą w Maine, będzie odpowiadać za kupowanie książek. Tuż przed odejściem sporządza z myślą o swoim następcy, tak jak to kiedyś uczynił Harvey Rhodes, krótkie notatki na temat wszystkich kontrahentów.

„Island Books – pisze. – Właściciele: Ismay Parish (była nauczycielka) i Nicholas Lambiase (były policjant). Lambiase ma świetny kontakt z klientami, poleca im zwłaszcza kryminały i literaturę młodzieżową. Parish dawniej organizowała szkolne przedstawienia teatralne i jest niezawodna, jeśli chodzi o urządzenie spotkań autorskich. Księgarnia z kawiarnią i niewielką sceną. Świetna strona internetowa. Wszystko na solidnych fundamentach położonych przez Ajaya Fikry'ego, pierwotnego właściciela o nieco wybredniejszym guście. Nadal mają w ofercie mnóstwo ambitnej prozy, ale nie zamawiają rzeczy, które na pewno się nie sprzedadzą. Kocham Island Books z całego serca. Nie wierzę w Boga. Nie wyznaję żadnej religii. Ale to miejsce jest dla mnie czymś w rodzaju kościoła. Jest święte. Dopóki istnieją takie księgarnie, jestem spokojna o przyszłość tej branży. Amelia Loman”.

Czytając ostatnich kilka zdań, czuje lekkie zakłopotanie, więc kasuje wszystko po „nie zamawiają rzeczy, które na pewno się nie sprzedadzą”.

„...nie zamawiają rzeczy, które na pewno się nie sprzedadzą”. Jacob Gardner jeszcze raz przegląda notatki swojej poprzedniczki, po czym wyłącza telefon i wielkimi, pewnymi krokami schodzi z promu na ląd. Ma dwadzieścia siedem lat, dyplom ukończenia studiów (specjalizacja: kreatywne pisanie non-fiction), których jeszcze nie spłacił, i dużo zapału. Nie może uwierzyć, że trafiła mu się taka dobra praca. Oczywiście zarobki mogłyby być wyższe, ale kocha książki, kocha je od małego. Uważa, że uratowały mu życie. Wytatuował sobie nawet na nadgarstku ten słynny cytat z C.S. Lewisa. Pomyśleć, że będą mu płacić za mówienie o książkach. Mógłby to robić za darmo – choć lepiej, żeby jego pracodawca o tym nie wiedział. Pieniądze są mu potrzebne, życie w Bostonie nie jest tanie. Tak naprawdę chodzi mu przede wszystkim o to, by mógł dalej oddawać się swojej pasji: historii mówionej gejowskich artystów rewiowych z początków dwudziestego wieku. Co nie zmienia faktu, że Jacob Gardner czuje w sobie powołanie. Widać to nawet po jego chodzie. Przypomina trochę misjonarza. Nawiasem mówiąc,



wychowano go w wierze mormońskiej, ale to inna historia.

Księgarnia Island Books jest pierwszą, którą odwiedza w nowej pracy. Nie może się doczekać, aż wpadnie tam i opowie właścicielom o tych wszystkich wspaniałych książkach, które przywiózł w firmowej torbie. Razem będzie tego chyba ze dwadzieścia kilo, ale prawie ich nie czuje, bo chodzi na siłownię. W tym roku Pterodactyl ma wyjątkowo mocną ofertę. To będzie bułka z masłem. Czytelnicy nie mają wyjścia, muszą te książki pokochać. Miła kobieta, która go zatrudniła, poleciła mu, żeby zaczął od Island Books. Właściciel uwielbia kryminały? To się świetnie składa, bo ulubionym tytułem Jacoba z bieżącej listy jest debiutancka powieść o młodej amiszce, która znika bez śladu w dużym mieście. Jego zdaniem to pozycja obowiązkowa dla wszystkich szanujących się miłośników literatury kryminalnej.

Gdy przekracza próg fioletowego budynku sprzed stu lat, rozlega się dźwięk wietrznego dzwonka. Z głębi księgarni wita go chropawy, lecz uprzejmy głos.

Jacob mija regał z historią i wyciąga dłoń do stojącego na drabinie mężczyzny w średnim wieku.

– Dzień dobry. Mam dla pana świetną książkę!

---

<sup>1</sup> Oryg. *Lamb to the Slaughter*. Brzmienie tytułów literackich podano zgodnie z ich polskim wydaniem. W przypadku książek, które nie zostały dotąd przetłumaczone na język polski i opublikowane lub adaptowane scenicznie czy filmowo, jest to przekład na potrzeby niniejszej powieści, a tytuł oryginału podano w przypisie. Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.

<sup>2</sup> Oryg. *Infinite Jest*. Pierwsze wydanie powieści z 1996 roku liczyło ponad tysiąc stron.

<sup>3</sup> Oryg. *Old school*.

<sup>4</sup> Cytat z dramatu Williama Szekspira *Antoniusz i Kleopatra*, przeł. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski, Gdańsk 1995.

<sup>5</sup> Oryg. *The Monster at the End of this Book*, Jon Stone.

<sup>6</sup> Oryg. *Little Pea*, Amy Krouse Rosenthal.

<sup>7</sup> Oryg. *What Feels Like the World*.

<sup>8</sup> Oryg. *Caps for Sale*, Esphyr Slobodkina.

<sup>9</sup> Oryg. *A Conversation with My Father*.

<sup>10</sup> Oryg. *The Doll's House*.

<sup>11</sup> Oryg. *In the Cemetery Where Al Jolson is Buried*.

<sup>12</sup> Oryg. *Their Eyes Were Watching God*, Zola Neale Hurston.

<sup>13</sup> Oryg. *Ironhead*.

<sup>14</sup> Oryg. *Bullet in The Brain*.

<sup>15</sup> Oryg. *The Bookseller*.

Przekład: Łukasz Witczak  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska  
Redakcja: Tatiana Hardej  
Korekta: Małgorzata Kluska, Katarzyna Skwark

Projekt okładki: Krzysztof Rychter  
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Benjamin Harte/Arcangel Images; © Olga Lebedeva/[Istockphoto.com](https://www.istockphoto.com)

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel./fax (22) 646 05 10, 828 98 08  
e-mail: [biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-7881-449-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Krzysztof Talarek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow